

- VIII Łódzkie Spotkania Baletowe
- Lekcja trudnego języka
- Krzysztof Kolumb nie podróżował samotnie
- Polowanie

(1)

Kamikadze

PAWEŁ TOMASZEWSKI

W listopadzie 1983 roku Mieczysław Rykała po raz trzeci w życiu wyrzucony został z pracy. Pierwszy raz zdarzyło się to w Państwowym Technikum Rolniczym w Sędziejowicach, gdzie zaczął pracować zaraz po studiach. Ponieważ zauważył, że w szkole bezkarnie popełniane są nadużycia, a śmiało o tym głośno mówić, szybko stał się tam człowiekiem wielce niewygodnym i niepożądanym. Pozbyto się go wtedy po cichu, dając najpierw wyraźne do zrozumienia, że spokojnego życia mieć on nie będzie. Młody, niedoświadczony zgodził się odejść oficjalnie na własną prośbę. Było to w maju 1968 roku.

W trzy lata później pozbyto się Mieczysława Rykała z Zakładu Doświadczalnego Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa w Błoniu koło Łęczycy, gdzie także wyciągnął na światło dzienne różne oszustwa i malwersacje popełniane przez ówczesną dyrekcję placówki w pełnym majestacie prawa. W uznaniu tych zasług otrzymał oczywiście wymówienie i tak zwany wilczy bilet, z którym przez pięć miesięcy bezskutecznie szukał pracy w dawnym powiecie łeczyckim. Przypięto mu wówczas etykiety rozrabiacza, człowieka konfliktowego i niepewnego politycznie, jednakże sądy, do których się odwoływał, musiały w końcu przyznać, iż to właśnie on marce i wydały wyrok nakazujący przywrócić go z powrotem do pracy.

Trzecie wymówienie wręczono Mieczysławowi Rykała w Zespole Szkół Mechanizacji Rolnictwa w Piatku, w którym zatrudniony był zaledwie przez pół roku. Tym razem było to zwolnienie dyscyplinarne ze skutkiem natychmiastowym, a jego bezpośrednią przyczyną — rzekome pobicie dyrektora szkoły. Rykała znów odwołał się, twierdząc uparcie, że żadnego pobicia nie było, a prawdziwe przyczyny wyrzucenia go ze szkoły są zupełnie inne. Niestety, zarówno Terenowa Komisja Odwoławcza ds. Pracy przy naczelniku miasta w Łęczycy, jak i Okręgowy Sąd Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Warszawie zgodnie odrzuciły odwołanie jako nieuzasadnione w świetle przedstawionych faktów. Dyrektor ZSMR w Piatku, Stanisław Cisak z zadowoleniem mówi, że jest to wyrok ostateczny, prawomocny i sprawiedliwy. Mimo to Mieczysław Rykała nie zamierza rezygnować z dalszych starań o powrót do pracy w Piatku i przywrócenie mu dobrego imienia w oczach opinii publicznej. Jest głęboko przekonany, iż oto znowu został skrzywdzony, co w końcu kiedyś udowodni, a sprawiedliwości stanie się wreszcie zadość.

Zanim osobiście poznałem większość postaci występujących w tym reportażu z Mieczysławem Rykała na czele, wpadł mi w ręce artykuł Andrzeja Szmarka „Czyni i rekoczy w „nauczycielskim””, opublikowany na łamach nie istniejącego już tygodnika „Tu i Teraz”, w numerze 15 z bieżącego roku. Zapisalem sobie wtedy w moim reporterskim notatniku:

16 listopada 1983 — pobicie dyr. Ciska w pokoju nauczycielskim przez M. Rykała w obecności nauczycieli: H. Kubiak, J. Piotrowskiej i K. Dziegielewskiego. Dyrektor wzywa MO, uzyskuje zaświadczenia lekarskie, potwierdzające pobicie. Rykała dostaje wymówienie za ciężkie naruszenie obowiązków pracowniczych (art. 52 par. 1 pkt 1 kodeksu pracy). Odwołuje się do komisji ds. pracy w Łęczycy, gdzie ujawnia, że źródłem konfliktu były wydarzenia w miejscowości Vehlefanz w NRD w sierpniu 1983 roku. Był tam razem z dwójkiem innych nauczycieli, jako opiekun praktyk wakacyjnych uczniów



Foto: Grzegorz Galasiński

Jarmark czyli zgoda płci

ANDRZEJ MAKOWIECKI

W życiu każdego osobnika rodzaju męskiego przychodzi w końcu dzień, że trzeba iść na stadion i zobaczyć jak to wszystko wygląda naprawdę. Znalazłem pewnego czcigodnego pisarza, który obejrzał po raz pierwszy żywy mecz piłkarski w wieku sześćdziesięciu lat — cóż to był za wrażliwy kibic! Cieszył się wszystkim jak dziecko, któremu zaczęły własnie wypadać mleczne zęby, a siła zdziwienia była u niego wstrząsająca. Nie mógł na przykład zrozumieć, czemu widzowie strasznie denerwują się, bluźnią i złoszczą tylko dlatego, że ktoś tam nie trafił w piłkę albo kopnął ją w odwrotnym kierunku. Sedzia główny skojarzył mu się momentalnie z katem, a dwóch jego bocznych pomocników z psami, które zaganiają niesforne stado na soczystym, zielonym pastwisku. W sumie był zachwycony, wyłosił jednak opinię, że zawodnicy obydwu

drużyn powinni bardziej kochać się, szanować i współpracować ze sobą dla ogólnego efektu.

Większość mężczyzn wszelako trafia na mecz już w wieku chłopięcym z solidną podbudową teoretyczną dotyczącą się w równej mierze reguł gry, jak i fachowego słownika. I tak oto siedmioletni Marek W., wykształcony skądinąd w piłkarskim fachu przez bodwórkę szkolną i telewizję, poszedł z ojcem po raz pierwszy w życiu na stadion LKS, kiedy drugiego czerwca odbywał się tam szalenie reklamowany Jarmark.

Okolo 11.30, trochę spóźnieni, syn z ojcem mineli bramę przy ulicy Karolewskiej, przeszli obok kortów tenisowych, na których tego dnia nie było żadnych zawodów i zasiadli na koronie trybuny głównej, podczas gdy na trybunach bocznych pokrzykiwało bez entuzjazmu kilkanaście tysięcy ludzi, a w jednym z wyjazdowych

sektorów obok boiskowego zegara przygrywała grupa beatowa z Wielkiej Brytanii.

W siedmioletniej głowie Marka W. zachodziły jakieś skomplikowane procesy, jako że muzyce towarzyszyły liczne eksplozje, wyizolowany sektor, spowity chmurami burego dymu, zdawał się płonąć, jezory ognia lizały raz po raz zaimprovizowana estrada i skomplikowana aparatura nagłaśniająca, z której dobywały się trudne do opisanania jęki i wrzaski.

Wyszczerywszy nadkruszone lekko uzebienie, Marek seplecił ze zgrozą:

— Pożar, tata! Pożar!

— Jaki tam pożar! — uspokoił go rodzic. — To wszystko na niby, syneczku.

— Ogień na niby?

— Na niby.

— Nieprawdźliwy?

— Prawdźliwy, ale...

Nie tylko myśleć racjonalnie ale też działać

Na kolejną dyskusję redakcyjną zaprosiliśmy grono profesorów różnych dziedzin i specjalności, naukowców i działaczy — byłych rektorów Uniwersytetu Łódzkiego. Gośćmi „Odgłosów” byli: prof. dr hab. JANUSZ GÓRSKI, prof. dr hab. ANDRZEJ NADOLSKI, prof. dr hab. ROMUALD SKOWROŃSKI, prof. dr hab. ADAM SZPUNAR oraz prof. dr JERZY WRÓBLEWSKI.

Okazją do wspomnień i refleksji było 40-lecie Uniwersytetu Łódzkiego, choć przyznajemy, iż inicjatorem dyskusji nie chodziło jedynie o zadumę nad przeszłością. Stąd w wypowiedziach rektorów znalazło się wiele szerszych i głębszych konstatacji dotyczących również współczesności i przyszłości nauki polskiej, perspektyw Uniwersytetu, regionu i kraju.

— Rok pięćdziesiąty szósty to okres ważnego przełomu. Na ile był to także przełom w życiu uczelni?

A. SZPUNAR: — Niewątpliwie był ścisły związek października 1956 z losami Uniwersytetu. Dotyczyło to także miesięcy i lat następnych. W latach 1950—1956 Uniwersytet Łódzki przechodził bardzo poważny kryzys, nie byłismy w tym odosobnieni. W podobnej sytuacji były także i inne uczelnie, zwłaszcza te słabsze, mniej silnie zakorzenione w swoim środowisku.

Wydarzenia 1956 roku miały charakter przełomowy, a chociażby dlatego, że w tym właśnie czasie Uniwersytet uzyskał samorządność, mógł decydować o wielu ważnych sprawach, jak chociażby uruchamianiu nowych kierunków kształcenia itp. Wystarczy powiedzieć, że Uniwersytet Łódzki, który w latach pięćdziesiątych miał trochę charakter kadubowy, zaczął powoli uzyskiwać znaczące miejsce wśród innych wyższych uczelni w kraju.

Jeśli oceniam tamten okres jako przełomowy, to nie oznacza, iż widzę go jako okres łatwy. Wprost przeciwnie, lata 1956—1962, w których pełniłem funkcję rektora, nie były okresem wolnym od trudności, a nawet burz. Mieliśmy szereg poważnych wówczas kłopotów i problemów dotyczących przede wszystkim: budynków Uniwersytetu (nowe gmachy dopiero wtedy zaczęły powstawać) oraz z kadra nauczycieli, a to dlatego, że wielu profesorów odeszło do Warszawy i nasz Uniwersytet był pod tym względem osłabiony. Sądzę jednak że większość tych trudności została przewyżczona, Uniwersytet okrzepł i rozwijał się. Z ważnych wydarzeń tamtego okresu pragnę wspomnieć o połączeniu Uniwersytetu z Wyższą Szkołą Ekonomiczną. Wtedy też zostały nawiązane kontakty zagraniczne, dzięki którym nasza uczelnia przestała mieć charakter swoistego zaciszciska. Ponadto współpraca z władzami partyjnymi i miejskimi układała się bardzo pomyślnie. Mieliśmy z ich strony dużą pomoc i zrozumienie. A kiedy pierwszy z wspomnianych, nowych gmachów — Biblioteka Uniwersytecka została wreszcie otwarta, to odczuwaliśmy to przeświadczenie, że jesteśmy na dobrej drodze.

— A kadra panie profesorze? Wspomniał pan o wcześniejszych trudnościach?

A. SZPUNAR: — One też na szczęście zostały rozwiązane. W okresie, o którym mowa Uniwersytet mógł przecież chlubić się tak znakomitymi uczniami, jak profesorowie: Dylik, Dmochowski, Jażdżewski. Bardzo wysoko była wówczas notowana łódzka socjologia i wiele innych kierunków.

Krótko mówiąc, wydaje mi się, iż lata te były pomyślnie dla Uniwersytetu. Zadania i inicjatywy, działania wówczas podjęte, kontynuował w latach 1962—1965 nieżyjący już rektor Hrabec.

— W drugiej połowie lat sześćdziesiątych mieliśmy do czynienia z ważnymi wydarzeniami, które również nie ominęły uczelni.

A. NADOLSKI: — Moją kadencję rektorską poprzedziły trzy lata prorektoratu. Kierowałem sprawami wychowawczymi. Życie uczelni toczyło się w miarę normalnie, aż do roku 1968, kiedy to, jak wiadomo, wystąpiły pewne zjawiska nienormalne, które wymagały włączenia

6

7

4

Ogłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
 Telefon: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36 52 44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36 80 99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorozwiński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałusiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Brul Krzysztof Drzewiecki Bohdan Gadomski Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Krzyp. Włodzimierz Krzemieński Edmund Lewandowski Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panaszewski, Ewa Pankiewicz-Karol J. Strwiński.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch” 90 950 Łódź ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rekwizytów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłat dokonuje się używając blankietu wplat na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch” 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmują RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnego — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzez działający okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1794 P-2.

Przeгляд prasy

Czy warto wiedzieć, jak to dawniej było naprawdę? Zainteresowanie przeszłości bierze się przecież nie z prostej ciekawości. Jest ono potrzebne dla prawidłowego rozwoju świadomości społecznej, dla kształtowania się samowiedzy o własnej społeczności, o narodzie. Jest też potrzebne dla prawidłowego rozwoju życia politycznego. Bierze się stąd że każdy z nas zdaje sobie sprawę, iż w polityce nie ma pełnej jawności, że pewne fakty i wydarzenia ma swoje tło, o którym możemy się dowiedzieć dopiero po latach. I nie przypadkiem „Kultura” w swoim nowym wydaniu już na drugiej stronie publikuje artykuły Ryszarda Badowskiego z cyklu: „Wczoraj — ściśle tajne”. Bo tylko wówczas, gdy poznamy materiały utajnione w archiwach, skonfrontujemy to ze wspomnieniami ludzi, którzy w tych wydarzeniach brali udział, zestawimy to ze znanymi już faktami, wtedy możemy otrzymać obraz w pełnych historycznych wymiarach. Wiele emocji budzi

SPÓR O JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Postać tego polityka między innymi „utajniona” celowo ukryta w przeszłości, naturalnym prawem kontrastu znalazła się w centrum społecznego zainteresowania i budzi również kontrowersje u historyków. Może nie tyle życie Józefa Piłsudskiego, bo to jest znane i już dość dokładnie opisane, ale — co dziwne — dzieje tego ciała do śmierci.

Olgierd Terlecki w „ZYCIU LITERACKIM” pominął był polemiczny felieton pt. „Nie było „przezwyciężania oporów” (nr 23 z 9 czerwca 1985 roku). W felietonie tym przekonał, że nie było żadnych oporów ze strony Kościoła w ułożeniu trumny ze zwłokami Józefa Piłsudskiego na Waweli. Dowodzi — w oparciu o notatkę Janusza Jedrzejewicza, wówczas ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego — że sprawa miejsca dla ciała Józefa Piłsudskiego została załatwiona przez niego samego w rozmowie z metropolitą Sapieha w 1933 roku. Wtedy to Józef Piłsudski rozmawiał z metropolitą o złożeniu holdu prochom Jana III Sobieskiego w 250-lecie odsieczy wiedeńskiej. Gdy 13 maja 1935 roku przyjechała do Krakowa delegacja z Bolesławem Wieniawą Długoszewskim na czele i oryzywiała z sobą list w sprawie złożenia zwłok Józefa Piłsudskiego nie było w tekście — słowa „Wawel”. To właśnie metropolita Sapieha podjął taką decyzję. 23 czerwca 1937 roku postanowił nieoczekiwanie orzeczenie trumne ze zwłokami Józefa Piłsudskiego z krypty św. Leonarda do Krypty Srebrnych Dzwonów. Jakże było to tej decyzji? Olgierd Terlecki dowodzi, że „była to jednak decyzja nie polityczna, tak to się najczęściej dziś przedstawia, lecz po prostu gospodarska”. Do krypty św. Leonarda trzeba było przechodzić przez katedrę, a Krypta Srebrnych Dzwonów miała osobne wejście.

Innego zdania jest Jerzy Marek Nowakowski, który w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM” pominął artykuł „Droga do Krypty Srebrnych Dzwonów” (nr 24 z 16 czerwca 1985 roku), w którym dowodzi, że była to jednak decyzja polityczna.

PRZENIESIENIE TRUMNY

uznaje za wynik nie tylko sporów między sanacją a endecką nastawiona częścią kleru, ale też jako wynik wewnętrznej walki wśród sanacyjnych obozów. Przedstawia więc ten incydent na szerszym tle społecznym i politycznym.

Istotnie w katedrze na Wawelu, gdy spoczyły tam zwłoki Józefa Piłsudskiego, zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Każda wycieczka, która przybywała do Krakowa, stawiała sobie za cel złożenie wizyty w krypcie św. Leonarda, a wejście do niej było właśnie przez katedrę.

Stały więc przed tym wejściem długie koleki, gwaro było i zdarzało się, że zniecierpliwione dzieci siusiły po katedrze kościoła. Zdarzyło się i tak że podjęci wierni pamięci Marszałka oficerowie zrobili stypę w krypcie, co oni tam pili trudno dziś doświadczyć, ale jest fakt, że pili. Przychodzili do katedry ludzie, którzy nie byli katolikami lub wręcz chrześcijanami i nie potrafili uszanować miejsca kultu. Mogło to zdenerwować metropolitę Sapieha. Ale ten ostrzy spór między sanacją a dostojnikiem kościoła, bo na metropolitę Sapieha obrazili się aż prezydent Ignacy Mościcki, został szybko załagodzony i wyciszony. Dlaczego?

„Stara zasada prawnicza mówi — pisze J. M. Nowakowski — że sprawy czynu należy szukać wśród tych, którym przynosi on korzyść. Zarówno odwołanie się do tej zasady jak i lista osób najaktywniej zaangażowanych w kampanię skierowaną przeciwko arcybiskupowi świadczą o insynuacji płynącej ze środowisk skupionych wokół grupy pułkownikowskiej, odsuniętej w 1936 roku od władzy przez Mościckiego i Rydzę. Solidarnie z pułkownikami działała lewica sanacyjna, przeciwna ewolucji obozu w kierunku totalitaryzmu”.

Jeśli więc nawet metropolita Sapieha nie miał celów politycznych przenosząc trumny ze zwłokami Józefa Piłsudskiego z krypty do krypty, to fakt ten mimo wszystko nabrał znaczenia politycznego.

Przeniesienie w czasie nam nieco bliższe, W „KULTURZE” (nr 2 z 12 czerwca 1985 roku) Ryszard Badowski ujawnia fakty związane z hitlerowskimi nalotami na Moskwę w 1941 roku. Wtedy to — na początku nalotów —

DWIE BOMBY SPADŁY NA KREML

„Jedna — pisze Ryszard Badowski — ułaskiła w suficie Wielkiego Pałacu Kremlońskiego nad Salą Głogojewską i nie wybuchła. Druga trafiła w Arsenal dokładnie naprzeciwko mieszkania i gabinetu Stalina. W czasie bombardowania Stalina nie było w Kremlu. Zginęła załoga działka przeciwlotniczego, znajdującego się na dachu. Fakt ten stanowił przez wiele lat ściśle tajemnicę państwową”.

W trakcie nalotów na Moskwę Niemcy doskonalili swoją taktykę, jak też doskonalili sposoby walki z nimi obrona przeciwlotnicza Moskwy. Prof. Aleksiej Fiodorow, który w czasie wojny dowodził eskadrą pułkiem i dywizją bombowców, był autorem kilku forteli, takie wymyślono dla zmylenia Niemców. Pod Moskwą wybudowano fałszywe miasto, na które sam Aleksiej Fiodorow rzucił bombe oświetlającą aby wskazać Niemcom cel i hitlerowcy lotnicy dali sięabrać.

Spodziewano się że Niemcy zaatakują Moskwę 7 listopada 1941 roku, ale mglista pogoda uniemożliwiła tak atak, jak i defiladę lotniczą nad maszerującymi wojskami. 30 kluczy bojowych samolotów szturmowych i myśliwskich miało przelecieć nad Placem Czerwonym, a następnie na sygnał 999 rzucić się do ataku na wojska niemieckie pod Moskwę. Zolnierze dywizji syberyjskich prosto z Placu Czerwonego metrem byli podwożeni na stanowiska bojowe. Niemcy ataki lotnicze na Moskwę nazwali operacją „Tajfun”. Zakończyła się ona ostatecznie 5 grudnia 1941 roku. W listopadzie 1941 roku Niemcy wysłali na Moskwę 1953 samoloty, z których przedarło się nad miasto tylko 28 maszyn. W czasie nalotów na Moskwę Niemcy stracili 1392 maszyny.

Państwa koalicji antyhitlerowskiej miały pełne przekonanie o trudach toczony wojny, ale też wierzyły, że musi nastąpić ostateczna i nieodwracalna klęska hitlerowskich Niemiec. Do tego też dążyły. Z najeźdźcą walczyły okupowane narody. Dokonywały się wewnętrzne przewrótciowości. Losy narodów brały w swoje ręce ugrupowania lewicowe. Tak stało się też w Polsce. Wówczas na arenie politycznej

POJAWIŁ SIĘ EDWARD OSÓBKA-MORAWSKI

Był działaczem PPS, mało jednak znanym. Sam uważał, że

rolę jaką mu wyznaczyło życie, powinien być wiązany do siebie, któryś ze starszych działaczy PPS. „...pewną rolę odegrał przypadek” — powiedział w rozmowie z Lukaszem Wyrzykowskim były pierwszy premier E. Osóbka-Morawski. Rozmowę opublikował „TY-GODNIK KULTURALNY” (nr 24 z 16 czerwca 1985 roku). Stało się to za przyczyną Józefa Stalina, który podsunął Wandzie Wasilewskiej, „żeby do rozmów dotyczących spraw żywnościowych dla Polski na czele delegacji stanął ktoś z PPS-u młody i żeby nie był antyradziecki”. Wybór padł właśnie na Edwarda Osóbkę-Morawskiego. Gdy przekonał się, jak wielkie obowiązki wzięł na siebie, jak wielką odpowiedzialność, to dwukrotnie składał dymisję, i oba razy nie została przyjęta.

„...mam tę satysfakcję — mówi dziś Edward Osóbka-Morawski — że nikt nie może mi zarzucić, iż kompromitowałem Polskę Ludową”. A przecież nie było to łatwe. „...jeszcze niedawno — opowiada E. Osóbka-Morawski — prawie cały naród był za rządem londyńskim, nawet lewica zabiegała u niego o uznanie, prowadził rozmowy z przywódcami państw sojuszników i nagle w 1943 r. zaczyna się to walić. Pojawiamy się my. Następnie uznajemy linię Curzona — wywołując różnorakie nastroje, realizujemy szereg reform. Czy cały naród mógł nas od razu pokochać? ... A jednak czuliśmy w tych pierwszych latach szerokie społeczne poparcie”.

Było to 40 lat temu, a już pojawiają się mity i nieporozumienia. Na przykład w sprawie granic. „Konferencja w Poczdamie nie ustalała naszych zachodnich granic. O tym zdecydowano już w Jaltce, a nasze stanowisko reprezentował Stalin... Gdy obradowano w Poczdamie (...), ziemie zachodnie i północne obsadzili polscy osadnicy, granicy strzegł polski żołnierz, a wcześniej przesiedlono z tych terenów kilka milionów Niemców”. Edward Osóbka-Morawski przy ustalaniu linii Curzona nie zgodził się na przyłączenie całej Puszczy Białowieskiej do ZSRR i otrzymał jej połowę. „Tutaj — mówi — bez fałszywej skromności mogę powiedzieć, iż jest to moje osiągnięcie”. To on stał na czele delegacji, która była w Poczdamie, choć niektórzy zupełnie kogoś innego plasują na jej czele. W Poczdamie ustalono tylko ostateczny kształt zachodniej granicy Polski.

I na koniec refleksja o rządzeniu Polakami. „Nieprawda też jest, iż Polakami jest trudno rządzić. Trzeba kierować się kilkoma zasadami: społeczeństwo musi być przekonane, iż ma patriotyczny rząd, prawdziwy i sprawiedliwy. Żaden rząd nie jest aż tyle wart, na ile wierzy w niego a priori społeczeństwo, ale dopiero kiedy go nie cenią, jest naprawdę nie wart. Żaden premier i jego rząd nie ma stu rozumów i stu sił. Jego siłą jest społeczne poparcie”.

A już zupełnie na zakończenie przejrzenia prasy wiadomość iż

W „SZPILKACH” ZNOW POJAWIŁ SIĘ ROMAN GORZELSKI

tym razem jako autor „Listu z Łodzi” (nr 23 z 6 czerwca 1985 roku). W liście tym pisze on tak:

„Łódź, która ocalała z wojny prawie w stanie nienaruszonym dopiero dziś dostaje za swoje. Czego nie zdemolowała historia — rozwalają dziś poniekąd budowniczo. A przecież dopiero teraz to widac na tle monotoni betonowych i brzydkich bloków, secesyjno-eklektyczna Łódź ma swoją specyficzną urodę. Cóż z tego: władze miejskie z uporem maniackim demontują stare domy i na to miejsce wtykają obrzydliwe nowe bloki”.

Mnie też się nie podobają nowe bloki. Ale wiem przynajmniej jedno. Secesja nie zaszkodziła głodu mieszkaniowemu. Ludzie czekają na mieszkanie po 10 lat. I ich mało obchodzi czy wydelikacjonnych estetyków. Można — i nawet trzeba — kochać starą Łódź, ale mądrą miłością, która nie zabija i nie hamuje koniecznych zmian.

LUCJAN BOGUSZ

40 lat „Głosu Robotniczego”

20 czerwca 1945 roku ukazał się w Łodzi pierwszy numer „Głosu Robotniczego” — wówczas organu KL i KW PPR Pierwszyna naczelnym redaktorem był Edward Uzdowski. Od tego czasu — przez minione 40 lat — gazeta wiernie towarzyszyła swoim czytelnikom. Najpierw w Łodzi i województwie łódzkim, a następnie — po zmianie podziału administracyjnego — czytelnikom województwa łódzkiego miejskiego, plockiego, Piotrkowskiego, skierniewickiego i sieradzkiego.

Przez te 40 lat gazeta zmieniła swoją szatę graficzną, udoskonaleniu uległ warsztat dziennikarski, zmieniły się formy orzekazu informacji i treści publicystycznych, rozszerzyły się kontakty z czytelnikami, przybyło inicjatyw dziennikarskich. Gazeta zainicjowała akcje fundowania mieszkań dla sierot, wystąpiła z pomysłem odbudowy pomnika Tadeusza Kościuski na placu Wolności, przeprowadziła zbiórki na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie, organizowała spotkania ludzi żyjących, odkrywców i ludzi inicjatyw społecznych. Od wielu lat gazeta prowadzi loterie „GR” i urządziła w czerwcu Dni „Głosu Robotniczego”, fundując czytelnikom i mieszkańcom regionu wiele interesujących imprez, koncertów, spotkań z aktorami i ludźmi filmu.

Na swoje czterdziestolecie „Głos Robotniczy” w salach wystawowych Muzeum Historii Miasta Łodzi zaprezentował dzieje pisma. Na wystawie pokazano nie tylko stare roczniki gazet od samego początku do dziś, ale też pokazano ludzi, którzy byli z „Głosem Robotniczym” związani, pisali na jego łamach lub w przeszłości byli dziennikarzami tej gazety. Pokazano książki dziennikarzy „GR” i wiele innych pamiątek składających się w sumie na minione 40 lat pisma.

Tego samego dnia zespół „Głosu Robotniczego” zaprosił gości i czytelników do Teatru Wielkiego gdzie odbył się akt dekoracji odznaczeniami państwowymi, Honorowymi Odznakami Miasta Łodzi i województwa piotrkowskiego oraz odznakami „Zasłużony dla RSW”. Tadeusz Czachowicz udekorował Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i zastępcę redaktora naczelnego — Henryka Pawliaka, Krzyżami Kawalerskimi Orderu Odrodzenia Polski udekorowano: Janinę Adamską, Zofię Dombrowską, Janinę Malisz, Marię Rapalę, Józefa Skoniecznego i Henryka Zawirę.

W uroczystości wzięli też udział: kierownik Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR — Bogdan Jachacz, prezes ZG RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Wiesław Rodyń, prezes Głównego Urzędu Kontroli Prasy — Stanisław Koscielni, przedstawiciele władz partyjnych i państwowych z województw: plockiego, piotrkowskiego, skierniewickiego i sieradzkiego oraz zagraniczni goście z pism, z którymi gazeta stale współpracuje.

W sobotę i niedzielę — mimo nie najlepszej pogody — odbył się tradycyjny festyn na Zdrowiu.

Kolegom z gazety partyjnej „Głos Robotniczy” z okazji minionych czterdziestu lat, z okazji wysokich odznaczeń składamy serdeczne gratulacje i życzenia. Życzymy wysokiego uznania czytelników, coraz lepszych materiałów dziennikarskich i końca wreszcie kłopotów z papierem!

A. B. SEKATOR



Foto: Grzegorz Gałusiński

Czerwiec 1905 roku w Łodzi

(1)

1. 31 MAJA 1905 ROKU MICHAŁ ARCIMOWICZ WRACAŁ

z Warszawy do Piotrkowa Trybunalskiego i po drodze wstąpił do Łodzi, aby przekonać się, jakie tam panują nastroje. Władze carskie w Łodzi — mając poparcie fabrykantów — domagały się przysłania wojska. Gubernator piotrkowski, M. Arcimowicz powatpiewał w celowość takiej decyzji. Zapoznawszy się jednak z sytuacją, jaka panowała w Łodzi, zmienił zdanie.

„Obecnie — pisał w depeszy z 1 czerwca 1905 roku do generala gubernatora warszawskiego K. Maksymowicza — po bliższym zaznajomieniu przekonałem się, że sytuacja w Łodzi pogarsza się i nastroj robotników staje się coraz bardziej niepokojący, doszedłem do wniosku, iż pozostawienie w Łodzi przysłanych dodatkowo pułków — Perejesławskiego dragonów i Tomskiego piechoty — jest bezwarunkowo konieczne, i że tylko pod tym warunkiem można żywić nadzieję zapobieżenia i położenia kresu obecnym i możliwym w najbliższej przyszłości zakłóceniom porządku przez robotników”.

W Łodzi było istotnie niespokojnie. Nadal strajkowano. 2 czerwca policjant łódzki Harion Chrzanowski meldował gubernatorowi M. Arcimowiczowi, że 30 i 31 maja 1905 roku strajkowano w 28 fabrykach. Strajkownicy, co prawda, niewielkie grupy robotników, ale w sumie uzbierało się przeszło 2 tysiące strajkujących.

Ludzie byli już zmęczeni strajkami, 3 czerwca 1905 roku Socjaldemokratyczny Związek Robotniczy Fabryk Scheiblera i Grohmana wydał następujące oświadczenie:

„Dzisiaj, wyczerpani głodem, wracamy do pracy, uprzedzamy jednak, że nie przestaniemy walczyć, dopóki nie zostaną zaspokojone nasze żądania, które pozwolą nam później walczyć o dalsze nasze cele”.

Mimo tego zmęczenia, mimo głodu, strajki trwały nadal. 10 czerwca 1905 roku „Rozwój” poinformował, że strajkowało 15 tysięcy osób w 19 fabrykach.

Były też próby „kupowania” robotników, zjednywania ich różnymi sposobami, aby tylko zaprzestali strajków i wysuwania żądań. Przed uleganiem takim próbom ostrzegali Łódzki Komitet Robotniczy PPS. W wydanej specjalnie w tym celu odezwie pisano:

„A najmocniej przeszkadza nam w tej walce brak solidarności i brak zrozumienia naszych interesów klasowych. W jedności, w zgodzie — sila robotników! A tymczasem wielu nieświadomych ludzi łamie tę jedność i zawiera ugody z fabrykantami lub przyjmuje na powrót wyrzucanych majstrów za pieniądze. Hańba państwu na takie niegodne i plamiące robotników postępkę. Wstrętnie jest widzieć „bale” wyprawiane przez fabrykantów dla powracających do pracy robotników, którzy przy szklance piwa bratają się ze swymi nęścicielami!”.

Wyrzucanie zniechędzonych majstrów trwało nadal. W Łodzi wyrzucono z fabryk około 100 majstrów. 4 czerwca 1905 roku zebrało się Stowarzyszenie Majstrów Fabrycznych, aby nadal radzić nad swoją sytuacją. Na początku maja powołano 12-osobowy sąd polubowny, który miał rozstrzygnąć zatarę między majstrami a robotnikami. Na zebraniu 4 czerwca przysiężli też robotnicy. Wyjaśnili zgromadzonym majstrom, że polubownie niczego się nie załatwi. Robotnicy nie mają bowiem pretensji do tych, którzy szanują godność robotników i zachowują się po ludzku. Natomiast tych, którzy zachowują się grubiańsko wobec robotników, biora łapówki, napastują robotnice, strzeżają fabrykantom, wszelkimi sposobami uciekają robotników i ich wyzyskują, tych może tylko osadzić sprawiedliwość ludu. Właśnie takich majstrów „powyrzucano z fabryk w workach, na taczkach za dziedziniec fabryczny, za bramę, do rynsztoków”.

A ci, którzy nie czują się z nimi solidarni powinni na trwałe związać się z proletariatem. Rosła nienawiść do wszystkich, którzy wspomagali wyzysk 3 czerwca 1905 roku grupa ludzi pod przewodnictwem Piotra Cybuchowskiego zdemolowała burdel, który mieścił się w domu Roberta Olpera przy ulicy Długiej nr 31 (Gdańska). Właścicielem burdelu był Piotr Hartz. Zdemolowano też burdel małżonków Gity i Daniela Tutzmanów przy ul. Konstantynowskiej 7 (Obrońców Stalingradu).

Narastała też nienawiść do policji. Strzelano do policjantów, uniemożliwiano im zajmowanie wyznaczonych stanowisk, utrudniano korzystanie z telefonów zainstalowanych w portierniach czy kantorach fabrycznych. Wielu policjantów zostało pobitych lub zabitych.

2. 11 CZERWCA 1905 ROKU W ŁAGIEWNIKACH

był odpust. Przed klasztorem zgromadziło się około 12 tysięcy osób. Próbowano rozwijać czerwone sztandary, ale policja uniemożliwiała jakiegokolwiek demonstrowanie. Rozdawano ulotki.

Również następnego dnia ludzie tłumnie przybyli do Łagiewnik. Wybrał się tam i kupiec z Radogoszcza, Józef Szwele. Stał się świadkiem następującego zdarzenia.

Około godziny 17 od strony kościoła w kierunku wsi Modrzew szedł żandar Jan Primaczenko — przysyłany tu dla wzmocnienia miejscowej policji. Naprzeciw niemu szedł pochód robotników z czerwonym sztandarem. Żandar zwrócił się do strażników ziemskich, aby pochód rozpuścili, ale oni wymówili się innymi rozkazami. Jan Primaczenko poszedł więc sam przeciwko grupie robotników. Ci zażądali od żandarma, aby oddał honory czerwonomu szandarowi. Żandar odmówił. Posypywał się na niego kamieniem i kijem. Zaczął uciekać w kierunku Łagiewnik. Oddano za nim kilka strzałów. Gdy upadł, demonstranci dopadli go, ktoś wyciął jego szablę i rozpruł żandarowi brzuch. Policja naliczyła później 26 ran, w tym 6 postrzałów.

Zwłoki żandarma Jana Primaczenki przewieziono do kaplicy cmentarnej w Złierzcu. Na

wieś o tym ludzie przybyli pod cmentarz i domagali się usunięcia zwłok żandarma. Wojsko rozpuściło zgromadzonych. Nikogo nie udało się ująć. Również sprawcy śmierci Jana Primaczenki zostali nieznani.

13 czerwca 1905 roku nieznani sprawcy zdemolowali urząd gminny w Łagiewnikach.

3. 18 CZERWCA 1905 ROKU BYŁA NIEDZIELA

Łato tego roku było upalne. W czerwcu dni są najdłuższe. Kiedy tylko była możliwość wybierano się do lasu. Brano kosz z jedzeniem, piwo, gorzalkę, harmonie. Rozkładano się pod krzakami, jedzono, pito, śpiewano i rozprawiano o polityce. Takie wyprawy do lasu były świetną okazją do robotniczych zebrań. Tak było i 18 czerwca.

Wracano ulicą Łagiewnicką. Wracano tłumnie. Policja naliczyła 5 tysięcy osób. Śpiewano Nad tłumem powiewały czerwone sztandary. Było ich cztery. Bojownicy strzelali na wiat. Była godzina 20.30. Szli w stronę placu Kościelnego.

Przeciwko powracającym wysłano policjanta Kinczowa. Dano mu do pomocy 6 kozaków z 3 Uralskiego pułku kozaków i 18 dragonów z 46 Perejesławskiego pułku dragonów. Policjant i żołnierze powitano strzałami, kamieniami i kijami. Żołnierzom udało się jednak zepchnąć część tłumy w stronę Rynku Bałuckiego, gdzie ludzie rozbiegli się, a część pochowała się do bramach domów przy ulicy Zawadzkiej (Zawiszy Czarnego). Z bram nadal strzelano do wo-

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Z rewolwerem i kamieniem w rękę

ska i rzucano kamieniami. Na pomoc interwenującym przysłał półrotę 39 Tomskiego pułku piechoty. W wyniku starć na ulicy Zawadzkiej było 5 zabitych i 11 rannych. Czterech kozaków i jeden dragon odnieśli kontuzje.

Tegoż dnia, mniej więcej w tym samym czasie, na ulicy Rzgowskiej zebrało się około 200 młodych Żydów. Ubrojeni w kije szli ulicą Rzgowską w kierunku ulicy Piotrkowskiej. Zatrzymał ich patrol wojskowy na Górnym Rynku (plac Władysława Reymonta), a przybyłe na pomoc wojsko rozpuściło.

19 czerwca 1905 roku, w poniedziałek, „Rozwój” doniósł jedynie, że w niedzielę wieczorem zastrajkowali kelnerzy Hotelu Manteuffla i „przybyli do ogrodu gości na kolację znaleźli się nagle bez obsługi”. Dopiero następnego dnia „Rozwój” poinformował o tym, co działo się 18 czerwca na ulicy Zawadzkiej. Była to informacja nader lakoniczna. Obok liczby 5 zabitych i 11 rannych podano liczbę 27 osób aresztowanych.

4. POGRZEB WYZNACZONO NA 20 CZERWCA 1905 ROKU

Wyznaczono go w godzinach między 13.30 a 17, w porze — jak to określiła policja — „jako najmniej niebezpieczną ze względu na zmniejszony ruch uliczny”. Nakazano oznaczyć to rodzinom „o pierwszej po południu, kiedy robotnicy wrócą do fabryk po przerwie obiadowej”. Policja obawiała się demonstracji, gdyż już od rana tajemnicy donosili, że ludzie chcą tłumnie wziąć udział w pogrzebie zabitych.

Zwłoki zastrzelonych przez policję znajdowały się w domach nr 25 i 28 przy ulicy Zawadzkiej, w domu nr 7 przy ulicy Sikawskiej, w domu nr 39 przy ulicy Młynarskiej i w domu nr 20 przy ulicy Jekaterynuburskiej (Jerzego). Policja trasy pogrzebów tak wyznaczyła, aby nie przebiegały one koło dużych fabryk. Nic to jednak nie pomogło.

Kondukt pogrzebowy z ulicy Jekaterynuburskiej przedarł się przez szpaler policji zagradzający ulicę Cmentarną, poszedł do ulicy Ogrodowej, tam przetrwał szpaler kozaków i połączył się z innymi zmierzającymi na cmentarz na Dolach. Na Ogrodowej zdarzył się przykry wypadek. Przy zmianie niosących trumne, zsunęła się ona z ramion robotników o tak przechylała się, że nieboszczyk wypadł na bruk. Podbiegli policjanci i pomogli włożyć zwłoki do trumny. Ball się, aby moment ten nie stał się okazją do dodatkowej demonstracji.

Na ulicę Widzewska (Jana Kilińskiego) wkroczył już jeden gigantyczny kondukt. Nad zgromadzonymi ludźmi powiewały czerwone i czarne sztandary. Było ich 14. Kondukt wielokrotnie zatrzymywał się, aby wysłuchać przemówień. Przerwywano je gromkimi okrzykami: „hura!”.

„Wojska towarzyszące konduktowi — skarżył się później policjant łódzki, Harion Chrzanowski — odnosiły się do tych wszystkich manifestacji biernie, policja zaś nie miała siły, by położyć im kres”.

Wieczorem setka młodych wdarła się do teatru „Apollo” i przerwała przedstawienie na znak żaloby.

5. W ŚRODĘ, 21 CZERWCA 1905 R.

słońce weszło o godzinie 3.39, a zaszło o 20.24. Dzień trwał 16 godzin i 24 minuty. Imieniny obchodzili: Alojzy i Domyśław. Teatr Wielki zapowiedział komedię Michała Bałuckiego „Radcy pana radcy”, z której dochód przeznaczono

na „Kropkę mleka”. W ogrodzie Grand Hotelu miała koncertować „Lutnia”. Strajkowało w Łodzi 7.421 robotników w 28 fabrykach.

Tegoż dnia rozeszła się po Łodzi pogłoska, że dwóch rannych Żydów, przewiezionych do Szpitala im. Małżonków Poznańskich, który to szpital mieścił się na ulicy Północnej, niedaleko Helenowa, zmarło z ran i zostało potajemnie pochowanych przez policję. Ludzie szybko zgromadzili się przed szpitalem na Północnej i na cmentarzu na Dolach.

Korespondent pisma „Z pola walki”, który przyjechał do Łodzi specjalnie na pogrzeb dwu zmarłych Żydów, tak relacjonował przebieg wypadków:

„...wstałem do drożki i pojechałem na Srednią, spodziewając się spotkać żalobną procesję po drodze...”

I rzeczywiście spostrzegłem przy końcu Wiedzińskiej czerwony sztandar. Przyłączyłem się do towarzyszy i poszedłem ze śpiewami i okrzykami rewolucyjnymi ulicą Srednią do Nowego Rynku i dalej na Piotrkowską. Na Nowym Rynku stali żołnierze przy magistracie; podczas pochodu niektórzy z nich zdejmowali czapki. Na Piotrkowskiej za ulicą Przejazd rozpoczęły się mowy. Mówiło trzech towarzyszy naszych, towarzyszy z „Bundu” i jeden mówca z PPS.

Na ulicy Piotrkowskiej było 70 tysięcy ludzi. Gdy czoło pochodu dotarło do skrzyżowania Piotrkowskiej z ulicami św. Karola (Franciszka Zwirki) i Pusta (Stanisława Wigury) była godzina 20.45. Tutaj drogie zagroziło im wojsko i policja. Sotnia 3 Uralskiego pułku kozaków — oprócz oficera — dowodził komisarz 4 cyrkulu, G. I. Nikołajew.

„Bez uprzedniego wezwania do rozejścia się

— wspomina inny uczestnik tych zajęć — dano salwy. Jednocześnie poczęto strzelać z bocznych ulic... Tłum w szalonym poplocu rzucił się do ucieczki. Niektóre bramy były otwarte, inne wylamano, uciekano przez bramy, parkany, ogrody, przez przechodnie domy na ulicę Mikołajewską. W ścisłu ludzie padali, podnosili się i znów padali, pchani potężną falą ludzką. Przed bramami utworzyły się stosy z ciał ludzkich... w które kozacy strzelali bez opanowania. Zabijano kobiety, mężczyzn, starców i dzieci”.

Ulicę Piotrkowską od strony ulicy Głównej zamknęła rota 38 Tobolskiego pułku piechoty, a ulicę św. Karola szwadron 46 Perejesławskiego pułku dragonów. Wielu demonstrantów pochowało się do domach. Wojsko i policja rozpoczęły szturm tych domów. Takie zdarzenie opisuje cytowany już specjalny wysłannik „Z pola walki”:

„...gdy kozacy odjechali, towarzysze z „Bundu” i nasi, wśród których byłem i ja, zaczęli budować barykadę, lecz salwy nam przeszkodziły i musieliśmy znów się cofnąć do bram. W tej bramie, do której się cofnąłem, było kilku towarzyszy z „Bundu” i kilku naszych, uzbrojonych w rewolwery; reszta uzbroiła się w kije i kamienie, które powyrzuwała z bruku. Za każdym razem, gdy kozacy zaczęli się zbliżać, witaliśmy ich strzałami i gradem kamieni. Obrona kosztowała nas drogę: padł jeden towarzysz z naszej organizacji i drugi z „Bundu”, wielu też odniosło mniej lub więcej ciężkie rany, lecz zdobyć domu kozakom się nie udało. Gdy zabrakło nam naboju, widząc, że dalsze przebywanie w tym domu równałoby się zgubie, zabraliśmy swych rannych i wyszliśmy przez wyłom w płocie na ul. Wólczańską”.

Również ludzie broniący się w innych domach pouciekali, zabierając rannych, a niekiedy i zabitych.

Oficjalne dane głosiły, że zabito 15 osób, 6 zmarło z ran w szpitalu, 10 osób zostało strąconych, a 8 było rannych. Zważywszy na fakt, iż demonstranci uciekając zabierali ze sobą rannych, zabitych, że wielu rannych nie zgłosiło się do lekarzy, wielkość ofiar masakry była niewątpliwie niezgodna z oficjalnymi danymi. Była wyższa od podanej oficjalnie.

Więść o masakrze na ulicy Piotrkowskiej szybko obiegła miasto. Jak to stwierdził później Centralny Komitet Robotniczy PPS w odezwie „Ostatnie wypadki łódzkie” — „szła ogarnęła wszystkie serca, myśl o zemście przeświadczyła blyskawicą mózgi. Łódź po prostu chciała krwi katów!”. Te zemście postanowiono wywrzeć na winnych, a winnymi — w powszechnym pojęciu ludzi — była policja i wojsko.

6. W BOŻE CIAŁO, 22 CZERWCA 1905 ROKU

procesje przeszły spokojnie. Wojsko i policja stały ukryte w pogotowiu, aby interweniować w razie jakichś niepokojów. Nie było potrzeby. Zaczęły się jednak pojedyncze ataki na policjantów i żołnierzy. O 9 rano strzelono na ulicy Wschodniej do kozaka Abubakira Iljazowa. Ranny zmarł w szpitalu. Na rogu Piotrkowskiej i św. Karola usiłowano pobić rewolwerem Szczepaniaka i kandydata na rewolwerowego Baudkiewicza. Obu udało się zbiec do najbliższego cyrkulu. Pod wieczór zabito na Starym Rynku byłego stójkowego Franciszka Klimkiewicza, którego wzięto za tajnego agenta. Również pod wieczór na ulicy Wschodniej zabito Stanisława Walczaka — stójkowego.

We wspomnianej odezwie CKR PPS pisano o tych wydarzeniach:

„...położono trupem kilku kozaków, stójkowego, jednego rewolwerowego, zraniono oficera kozackiego. Budziły wiadomości o tym radosne echa. Opowiadano z żalem o nieudanym zamachu na kapitana żandarmerii Andrejewa. Podawano sobie z ust do ust gadkę o chłopcu żydowskim, który położony trupem kozaka szedł dalej spokojnie ul. Piotrkowską, przypowiadając: jak psa położyłem, jak psa”.

Wieczorem w kilku miejscach zaczęto stawiać barykady. O godzinie 23.28 Harion Chrzanowski telegrafował do Piotrkowa Trybunalskiego: „Obecnie w dzielnicach żydowskich wywracają latarnie, wznoszą barykady, podpalono państwowy sklep monopolowy, dokonano napadu na urząd pocztowy...”.

SDKPiL ogłosiła na 23 czerwca 1905 roku strajk powszechny. PPS i „Bund” były przeciwne strajkowi. Rozumieli, że musi to doprowadzić do powstania, ale dla zwycięskiego powstania brakowało sił i środków. SDKPiL stawiała na żywiołowość ruchu, uważając, że „rewolucja ludowa ma swoją wewnętrzną siłę żywiołową, z którą toczy się nieublaganie naprzód”. W artykule opublikowanym w „Z pola walki” tłumaczono mechanizm walki w następujący sposób:

„Walczący robotnicy łódzcy urządzają olbrzymie zgromadzenia i demonstracje, bo muszą, bo przebudzona świadomość i solidarność klasowa idą z nieprzerwaną mocą do wspólnej akcji masowej, do tego orzeźwiającego, krzepiącego poczucia potęgi i otuchy, jakie daje zwycięstwo niewolnikowi kapitału i knuta maszerowanie w zwartej masie współbraci. Robotnicy łódzcy odpowiadają na zbrodnie zbiorów carskich jeszcze większymi demonstracjami, bo muszą, bo zbudzeni i odrodzeni duchowo robotnicy nie mogą już ulegać smaganiu z ręki ciemiężców, bo taka uległość zlamalaby ich duchowo, zwicznęła ich wiarę we własne siły”.

Zadne argumenty nie były w stanie zatrzymać wielkiej żądzy pomśczenia pomordowanych, rozprawienia się z ciemiężcami. Odezwa KL SDKPiL wzywająca na 23 czerwca do strajku nie dotarła do robotników, bo 23 czerwca i tak stanęła cała Łódź. Robotnicy ruszyli do walki, do krwawej rozprawy z ciemiężcami. Ale — jak później słusznie napisze „Z pola walki” — „rozgorzyczony, drżący, żądny pomsty na mordcach, robotnik łódzki woła: broń! Broń jest potrzebna, jest niezbędna”. Tylko że broni było mało. Głównie rewolwery, poza nimi kamienie.

7. 23 CZERWCA 1905 ROKU W ŁODZI WALCZONO NA BARYKADACH

Już wcześniej stwierdzono, że druty przeciągnięte w poprzek ulicy utrudniają wojsku poruszanie się. Zrywano więc druty ze słupów i blokowano nimi ulice. Ale okazało się to mało skuteczne, gdyż wojsko strzałami odpędzało demonstrantów i szybko likwidowało przeszkody. Zaczęto więc wznosić barykady. Budowano je z czego się dało.

Na przykład na rogu ulicy Zachodniej i Południowej (Rewolucji 1905 roku) „pośrodku ulicy stał wóz (napelnięty śmieciami), obok niego i na nim piętrzyły się deski, beczki, drabiny, bale, słupy, pały, szłydy”. Taka barykada sięgała niemal wysokości pierwszego pietra. Budowano barykady z czego się tylko dało. Na ulicy Ogrodowej wzniesiono barykadę z bel bawelny, na ulicy Południowej z beczek, na Bałuckim Rynku — z warsztatów tkackich. Nad barykadami powiewały czerwone sztandary.

Jeden z uczestników tamtych wydarzeń tak oto opisuje moment budowy barykady:

„Dochodzę do Przedziałnianej. Widzę od strony Szosy Rokietnickiej tłum ludzi. Zbliżam się; budują barykadę, a tuż niedaleko od tego miejsca inni rozbijają sklep monopolowy.”

— Za pięć rubli — wykrzykuje z humorem młody robotnicarz i podnosząc dużą butelkę wódki rozbija ją o bruk.

Urządzeń sklepu, szafy i bufety ciągną robotnicy na barykadę. Rąbia słupy telegraficzne oraz zewsząd znoszą wszelkiego rodzaju pudła, skrzynie, tacki, bele i deski. Jeden z młodych robotników wdrapuje się na słup przewodów tramwajowych i tam zawieszają sztandar czerwony. Wypoluje to w tłumie radość i pośmieszność, śmieją się oczy i twarze. Lecz niestety jakże krótko.

Nadchodzi bowiem od strony Wodnego Rynku oddział żołnierzy. Rozlega się huk salw — jedna, druga, trzecia. Słychać krzyki, synia się przekleństwa tych, którzy co dopiero z humorem budowali barykadę. W odpowiedzi na sławy karabinowe pada kilka strzałów rewolwerowych. A tu już jęczą ranni”.

Zniszczono wówczas w Łodzi 38 sklepów monopolowych. Wódka lano do rynsztoków Monopolu Carskiego Imperium poniósł z tego powodu 82 tysiące rubli strat. Zniszczono 1360 latarni gazowych. Jak później informował „Rozwój”: „Naprawa uszkodzonych latarni gazowych w ulicach miasta trwać będzie co najmniej 10 dni”. Gazownia nie miała możliwości, aby dokonać naprawy szybciej. W czasie walki zdemolowano też burdel Moszka Goldmana na ulicy Widzewskiej 88. Zdemolowano dom fabrykanta Edwarda Ramisza w odwiecie za brutalne potraktowanie robotniczej delegacji, która przysłała, aby bronić przed wrzuceniem z pracy agitujących za strajkiem. W odpowiedzi na groźbę użycia rewolweru robotnicy wylamali bramę, zdemolowali mieszkanie, fabrykanta obrzucili kamieniami, a córkę tego zranili nożem.

Najdłużej i najzakleklej broniły się barykady na skrzyżowaniu ulicy Wschodniej i Południowej i w parku Kwela (Zródlińska). Walki trwały tam jeszcze 24 czerwca 1905 roku.

wszelkich możliwości ludzkich, żeby Uniwersytet i młodzież akademicka wyszła z tej sytuacji obronną ręką.

Obowiązki rektora objąłem dość przypadkowo. Wcześniej nie leżało to ani w moich planach, ani ambicjach. Zaproponowano mi tę funkcję w sposób na tyle wiążący, że trudno było mi odmówić, zaapelowano w tym wypadku do interesów uczelni. Zgodziłem się, ale z zastrzeżeniem możliwości wycofania się po rocznym okresie, a więc do czasu przewidzianego upływem normalnej kadencji wyborów nowego rektora. Obiecało mi to i tylko pod tym warunkiem zgodziłem się na objęcie funkcji.

— Już sama nietypowość sytuacji była jakby synonimem trudnego okresu.

A. NADOLSKI: — Kadencja moja na dobrą sprawę miała charakter likwidacyjny ujemnych skutków gruntownych zaburzeń, jakie miały miejsce w roku 1968. Do tego jednego właściwie zagadnienia sprowadzały się moje wysiłki, moja podstawowa działalność. Na tym też mógłbym skończyć całą swoją wypowiedź. Niczego więcej ważniejszego nie udało mi się w ciągu tego roku dokonać. Chyba czas był zbyt krótki, aby można było realizować jakieś poważniejsze zamierzenia; inwestycyjne czy szerzej zakrojone programy wychowawcze. Chodziło przede wszystkim o sprowadzenie Uniwersytetu na tory normalnej pracy, z których w znacznym stopniu wykołubił się wiosną poprzedniego roku.

R. SKOWRONSKI: — W tym też czasie powstało Kolegium Rektorów.

A. NADOLSKI: — Nie jestem pewien...

R. SKOWRONSKI: — Uczestniczyłem w jego pierwszym posiedzeniu w Radzie Narodowej m. Łodzi.

A. NADOLSKI: — Ach, tak. To już uszło mojej pamięci. Może dlatego, że wtedy Kolegium jeszcze nie było tak aktywne. Były to początki.

— Jaki był zamysł powołania Kolegium?

A. NADOLSKI: — Chodziło przede wszystkim o stworzenie wspólnej platformy porozumienia, współpracy wszystkich łódzkich uczelni.

— Skutkiem wydarzeń 1968 roku było ograniczenie dotychczasowej samorządności uczelni.

A. NADOLSKI: — Tak. Wyrazem tego był chociażby fakt, iż ja byłem rektorem mianowanym, a nie jak mój poprzednik wybierany przez Senat. Ale poza tym nie odczułem żadnych specjalnych ograniczeń, które w sposób istotny wpływały na moje decyzje, tok postępowania. Nie, nie czułem się skrupowanym.

J. GORSKI: — Dla zapewnienia pewnego porządku chronologicznego naszych wypowiedzi, może ja teraz parę słów o okresie 1972—1975, bo na te właśnie lata przypada moja kadencja rektorska. Jak to już wspomniano po dokonaniu w 1968 roku zmiany w ustawie o szkolnictwie wyższym samorządność uczelni formalnie uległa pewnemu ograniczeniu. W efekcie była także byłem rektorem mianowanym, nie wybranym. Z Łodzią, z jej wyższymi uczelniami łączyło mnie tak zwane pół etatu, które od 1959 r. miałem w dawnej Wyższej Szkole Ekonomicznej, a potem od 1972 r. w Uniwersytecie. Na swoim wydziale byłem trochę znanym, ale inne wydziały patrzyły być może na mnie jak na typowego „zręczka spadochronowego”. Związane z tym były pewne kłopoty aklimatyzacyjne. Muszę jednak powiedzieć, iż środowisko zaakceptowało mnie dość szybko, szczególnie po decyzji, pomimo oporów rodziny, przeniesienia się na stałe do Łodzi.

Uniwersytet w tym okresie był już silną uczelnią. Początek lat siedemdziesiątych był relatywnie niezłym okresem w Polsce, zarówno z punktu widzenia gospodarki, jak i rozwoju szkolnictwa wyższego i nauki. Trzeba sobie jednak zdawać sprawę, iż to, co wówczas osiągnęliśmy, nie spadało z nieba — były pewne możliwości, szanse, które jednak trzeba było umieć najlepiej spożytkować. Zgodnie z moimi poglądami, spróbowałem skłonić otoczenie, z którym współpracowałem do zainicjowania, a następnie pogłębienia działań o charakterze pracy organicznej. Służyć to miało wykorzystaniu możliwości rozwoju i umocnieniu rangi Uniwersytetu, zarówno w regionie, jak i skali kraju.

W okresie, o którym teraz mówimy, Uniwersytet przeszedł etap szybkiego rozwoju, może nawet zbyt szybkiego, podobnie zresztą jak cała Polska. W przeciągu trzech lat zwiększyło się zatrudnienie o mniej więcej 50 proc. Jak to w tej chwili oceniam? Prawdopodobnie była to dynamika zbyt szybka, w rezultacie nie wszyscy młodzi ludzie przyjęli wówczas do pracy na uczelni, sprościli wymaganiom naukowym. Pozwalało to jednak z drugiej strony dokonywać z wielu kandydatów wyboru młodych pracowników. Większość z nich została. Dalej — bardzo szybko wzrastała liczba studentów. Gdy rozpoczynałem swoją kadencję na Uniwersytecie Łódzkim studiowało około 10 tys. studentów, kiedy odchodziłem z funkcji rektora — około 16 tys. — łącznie na studiach studenckich i dla pracujących. Na tle szybkiego rozwoju ogólnego kraju, regionu, w którym to tempie, jak dziś wiemy, tkwiły pewne załamyki późniejszych niepowodzeń gospodarczych, powstała duża możliwość przyspieszenia pomnożenia bazy materialnej uczelni. Staraliśmy się jako rektor szanse te jak najlepiej dyskontować. W tym względzie za największy swój sukces uważam podjęcie budowy nowego kompleksu gmachów, tj. Wydziału Fizyki. Sama budowa była dość skomplikowana, wiązała się ze zmianą lokalizacji oraz dodatkowymi czynnościami, tj. palowaniem podłoża. Udało się jednak w końcu i tę barierę przełamać, oczywiście przy udziale władz partyjnych i miasta. W tym samym czasie zbudowaliśmy kilka nowych akademików, rozbudowano Wydział Prawa, przeprowadzono szereg „rewindykacji” w stosunku do miasta, chodziło m. in. o gmach Filologii przy al. Kościuszki i ul. Wólczańskiej. Tak więc można powiedzieć, iż baza materialna Uniwersytetu rosła proporcjonalnie do zadań, które uczelnia podejmowała.

— Nowe pomieszczenia to rzecz ważna, ale przecież nie jedyna z istotnych warunków prawidłowego funkcjonowania uczelni.

J. GORSKI: — Oczywiście. Istotną była także sprawa wyposażenia uczelni. Znow w tym względzie mieliśmy do czynienia z okresem niepowtarzalnym — było trochę dewiz dla Uniwersytetu. Trzeba było oczywiście bardzo o to zabiegać, chodzić, stukać, szukać itp. Dzięki

temu udało się jednak odnowić w sposób istotny aparaturę naukową w Uniwersytecie; szczególnie wydziały eksperymentalne — Biologia, Fizyka czy Chemia, otrzymały wówczas sporo nowoczesnej aparatury funkcjonującej do dzisiaj. Znajdowały się także środki na zakup książek.

— A problemy? Przecież były.

J. GORSKI: — Było ich co najmniej kilka. Jeśli chodzi o dydaktykę, to próbowaliśmy wymyślić pewne rzeczy nowe — postawiliśmy wtedy na rozwój kształcenia nauczycieli. Uniwersytet Łódzki eksperymentalnie wypracowywał nowe formy kształcenia i doskonalenia kadr nauczycielskich. Kolejny problem to konieczność przeprofilowania kierunków badawczych. W tym okresie w Uniwersytecie, podobnie jak w kraju, nacisk położony na badania aplikacyjne, stosowane, użyteczne bezpośrednio dla gospodarki, dla regionu. Podpisaliśmy cały szereg umów o współpracy, w tym m. in. z łódzkim przemysłem, z jednostkami administracji gospodarczej, a także z jednostkami tzw. makroregionu. Czy to dla uczelni wyszło z pożytkiem? Trudno byłoby w tej chwili na to pytanie w pełni odpowiedzieć. W każdym bądź razie była to pewna tendencja, która w tym okresie wyraźnie się zaznaczyła. Była to możliwość nowych pól badawczych i nowych dochodów dla Uniwersytetu.

Pierwsza połowa lat siedemdziesiątych to w Uniwersytecie Łódzkim duży wzrost doktoratów, a więc awans młodej kadry. A także pewne szanse bytowe dla tych ludzi. Uniwersytet dzięki dobrej współpracy ze spółdzielczością mieszkaniową, dysponował niemalą ilością mieszkań. Tak więc dobry doktorat mógł być niejako premiowany przydziałem na mieszkanie.

Nie tylko myśleć racjonalnie ale też działać

spółdzielcze, jak to się mówi od reki. Nie udało się natomiast w takim samym, widocznym stopniu zwiększyć tempa robienia habilitacji. Wzrosła zaś ilość osób z tytułami profesora nadzwyczajnego i zwyczajnego.

I teraz pewien morał: że działania, o których mówiliśmy, były w dużej mierze możliwe dzięki szeroko rozumianemu wsparciu ze strony władz politycznych i administracyjnych regionu. Było przy tym cały szereg sporów, problemów, ale większość problemów udało się rozwiązać. Wiele rzeczy się zrobiło, sporo z tamtego dorobku owocuje do dziś, choć, przyznać trzeba, iż wśród blasków można także odnaleźć i cienie.

— Owe cienie dały o sobie znać znacznie później. I tak dochodzimy powoli do lat coraz trudniejszych.

R. SKOWRONSKI: — Ja zaczynałem razem z prof. Górkim. Byłem prorektorem w latach 1972—1975 odpowiedzialnym za sprawę rozwoju uczelni. Ten okres mógłbym określić tak: działaliśmy w ten sposób jakby w jakiejś euforii. Polegało to na tym, że rzeczywistość była to chyba jedyny po wojnie okres w dziejach Uniwersytetu, kiedy etatów nie brakowało, podobnie pieniędzy. Stan uczelni lokalowo powiększył się o 40 proc. Podpisaliśmy około osiemnastu porozumień o bezpośredniej współpracy.

— Czyli będąc już rektorem Uniwersytetu, przypomnijmy w latach 1975—1981, w znacznym stopniu, przynajmniej w pierwszym etapie, mógł pan profesor kontynuować proces rozwijania uczelni?

R. SKOWRONSKI: — Tak, choć oczywiście dzisiaj patrzę na cały ten okres mając na uwadze wszystkie późniejsze doświadczenia. Ale wtedy rozwijaliśmy Uniwersytet na miarę możliwości. Było zresztą duże zainteresowanie studentami wyższymi, tworzyliśmy punkty konsultacyjne w Piotrkowie, Tomaszowie, Sieradzu, Kutnie; uruchamialiśmy studia podyplomowe. Działalność nasza była bardzo ekspansywna. Jak ja to teraz widzę? Niektóre z tych porozumień, szczególnie międzynarodowych, dzisiaj w okresie trudnym dla Polski, pewnego izolacjonizmu naukowego, bardzo dobrze owocują. Inne porozumienia, szczególnie jeśli chodzi o przedsiębiorstwa, były czasami syldem współpracy z nauką, którym mogły się dyrekcje tych instytucji i zakładów pochwalić. Na to zjawisko patrzę krytycznie. Daliśmy się złapać w pewne pułapki.

— A inne konsekwencje tamtego dynamicznego rozwoju?

R. SKOWRONSKI: — To także fakt, że dziś uczelnia ma poważne problemy. Myślę o kłopotach z kadrami, bowiem w niektórych grupach pracowników liczba nauczycieli w stosunku do obciążeń dydaktycznych jest taka, że pojawia się problem jak te kadry naukowe wykorzystywać? Jest to także konsekwencja spadku zainteresowania studiami wyższymi. Są trudności z utrzymaniem adaptowanych pomieszczeń, które nie zawsze były przejmowane w dobrym stanie technicznym. Podobnie jeśli chodzi o utrzymanie na takim poziomie aparatury, którą wówczas kupiono. Mamy dziś poważne braki części zapasowych i dewiz na ich kupno. Są to w jakimś sensie konsekwencje dawnego, intensywnego rozwoju Uniwersytetu.

Jest jakby ironia losu, że final tego zdawałoby się jedynie pomysłowego, intensywnego rozwoju, był taki jak był, myślę o wydarzeniach 1980 roku, które nie ominęły także uczelni. Najpoważniejszą ostrzeżeniem było dotknięcie chyba młodzieżą akademicką. Strajk studencki w Łodzi pobli wszelkie rekordy światowe.

— Czy to była klęska kierownictwa uczelni?

R. SKOWRONSKI: — Przede wszystkim była to chyba klęska naszego systemu wychowawczego. Ta zbuntowana młodzież, która w wielu przypadkach mogła mieć i miała rację, w niektórych mocno przesadzała zapominając m. in. o szacunku dla nauczycieli akademickich. A przecież wielu z nich naprawdę na ten szacunek zasługiwało. To było bolesne.

Można sobie postawić pytanie, czy był to kryzys działań wychowawczych, czy też był to kryzys szkolnictwa wyższego w Polsce? Chyba jednak było to i pozostałe nadal zjawisko szersze, a więc kryzys szkolnictwa wyższego. Te niekorzystne tendencje pogłębiają takie fakty,

jak to, że dziś zdobycie dyplomu wyższej uczelni przestało być pewną nobilitacją społeczną. Po drugie — utrzymuje się niż demograficzny, po trzecie przetrzymuje się sytuacja materialna pracowników nauki bardzo podupadła. Do tego dochodzi brak środków dewizowych na aparaturę, książki, czasopiisma...

— Lata osiemdziesiąte to definitywne załamanie się fali wznoszącej, na której rozwijał się Uniwersytet. W tym czasie szczególnego rozbicia przypadła kadencja rektorowi prof. J. Wróblewskiemu. Czy tak pan to ocenia panie profesorze?

J. WRÓBLEWSKI: — Przyznam, że słuchając tych wspomnień nasuwa mi się refleksja, że panom rektorom wypadło wypełniać swoje obowiązki w nieco łatwiejszych czasach, niżli te, na które przypadła moja kadencja rektorska.

Może zaczęło jednak od tego, iż powrócę na chwilę myślą do czasu kadencji rektora Skowronskiego. Wtedy to, a myślę o latach 1979—1980, w naszym środowisku czuło się pewne narastanie opinii, że dzieło się niedobrze. Była to refleksja procesów ogólnospołecznych, na które być może nie zawsze Uniwersytet reagował. Zaczęliśmy się zastanawiać nad modyfikacją modelu uczelni, nad zmianami, które należało wprowadzić. Senat powołał nawet specjalną komisję modelu Uniwersytetu, której przewodniczyłem. Propozycje, nasze były wykorzystane w pracach nad ustawą o szkolnictwie wyższym. Wydarzenia jednak nabierały coraz większego tempa, wkrótce mieliśmy do czynienia z masowym ruchem kontestacyjnym młodzieży, a w okresie strajków z zawieszeniem praktycznie działalności uczelni. W tej trudnej atmosferze dochodziło do słynnych

porozumień łódzkich, odbywały się wiosną 1981 roku wybory w Uniwersytecie. Wówczas to został rektorem. Atmosferę tę znamy, Uczelnia w tym okresie, bardziej niż kiedykolwiek, stanowiła refleksję tego, co się działo w kraju.

No cóż, potem przyszło wprowadzenie stanu wojennego, czas niesychanie ciężkiej próby. Udało się zapobiec bezpośredniemu starciu się porządkowych z młodzieżą studencką, tym niemniej Uniwersytet Łódzki, podobnie jak inne szkoły wyższe zawiesił swoją działalność. W tym czasie trzeba było skupić wysiłki na tym, aby Uniwersytet jako instytucja przetrwał oraz przygotować uczelnie do wznowienia działalności naukowej i dydaktycznej. Ostatecznie, jak pamiętam, 8 lutego 1982 roku wznowiono zajęcia.

Rozwiązania wymagały trzy wielkie problemy: po pierwsze — dydaktyczny, tzn. aby przerwa w studiach nie wpłynęła negatywnie na ich tok, a konkretnie, aby nie stracił tego roku. Drugie zagadnienie stanowił problem wychowawczy, a więc przede wszystkim to stanowisko nauczyciela akademickiego do tamtej rzeczywistości. No i po trzecie — konieczność zapewnienia pełnego funkcjonowania uczelni, a więc i kontynuacja prac badawczych, w tych warunkach jakie w tym czasie istniały. Dzięki wysiłkowi kadry nauczającej i samej młodzieży udało się problemy te rozwiązać.

Olbryznia rolę w tym, że to wszystko o czym mówię się powiodło odegrały kontakty z władzami politycznymi i administracyjnymi miasta, a także współpraca z Komitetem Uczelnianym PZPR. Od tej współpracy i chęci wzajemnego zrozumienia wiele zależało. Udało się również w wielu bardzo trudnych sprawach uzyskać porozumienie z resortem.

W późniejszym okresie byliśmy bardzo silnie zaangażowani w zmiany ustawowe, tzn. w pracy komisji kodyfikacyjnej nad projektem ustawy o szkolnictwie wyższym. Sądzę, że ten projekt, który ostatecznie został przygotowany po wielu wersjach i konsultacjach w ośrodkach akademickich, stanowił bardzo duży krok naprzód w stosunku do poprzedniego stanu normatywnego. Po wejściu ustawy w życie, a właściwie już antycypując ten fakt, zaczęliśmy się w uczelni zastanawiać nad jej statusem, będącym normatywnym przejawem samorządności w Uniwersytecie.

— Można jednak znych zaryzykować stwierdzenie, iż pomimo znanych trudności i przeszkód czyniono w uczelni wszystko, aby zapewnić nie tylko bieżące funkcjonowanie, ale i pewien rozwój. Myślę tu o finalizowaniu poczynań inwestycyjnych.

J. WRÓBLEWSKI: — Tak. Znacznym tego rodzaju osiągnięciem było oddanie wreszcie do użytku gmachu Wydziału Fizyki. Mamy też wreszcie własną aulę Uniwersytetu Łódzkiego.

A teraz, jeśli można sobie pozwolić na refleksję ogólną, to sądzę, że ten okres próby przeżyliśmy stosunkowo dobrze, to znaczy, że zdaliśmy egzamin w czasie, który nie miał precedensu w czterdziestoletniej historii Uniwersytetu Łódzkiego.

— Z relacji panów rektorów widać jak na losach szkoły wyższej odbija się każdorazowo sytuacja ogólna, tj. społeczna i polityczna kraju, szczególnie zaś wszelkie jej załamania, nagle zwroty. Na ile jednak uczelnia, no chociażby taka, jak Uniwersytet Łódzki może wpływać aktywnie znacząco na sytuację społeczną w regionie, kraju?

J. WRÓBLEWSKI: — Pewne ogólne warunki funkcjonowania uczelni są uzależnione od środowiska. Okres, o którym przed chwilą mówiłem jest tego jaskrawym przykładem. Na czym jednak może polegać aktywna rola Uniwersytetu? Po pierwsze — od spełnienia funkcji edukacyjnej. Od tego zależy przecież nauczycielom kadry ludzi z wyższym wykształceniem. Inteligencja średniej i młodych pokoleń (nie mówię o technicznej i medycznej), to przecież wychowankowie naszego Uniwersytetu. Znajdujemy ich w Łodzi i całym regionie. W tym sensie ów aktywny wpływ wyższej uczelni trudno jest przecenić.

Jeśli zaś chodzi o problemy badawcze, to podstawowym dylematem uczelni, tak przynajmniej ja to widzę, jest problem: czy mamy dawać środowisku efekty swej pracy tylko w sensie aplikacyjnym (wdrożeniowym), czy też kontynuować wysiłki w kierunku badań podstawowych, o nastawieniu ściśle poznawczym, które mogą, ale nie zawsze muszą służyć praktyce, lecz szeroko rozumianej kulturze. Problem ten szczególnie ostro występuje dzisiaj. Pewnym niebezpieczeństwem, wynikającym z presji kryzysu jest próba spychania procesu edukacyjnego w kierunku ścisłego przygotowania profesjonalnego, a badań w kierunku ściśle praktycznym.

Swoistością uniwersytetu jako uczelni wyższej jest to, że spełnia funkcje kulturowe przez łączenie badań podstawowych i kształcenie w profilu ogólnym kadr z wyższym wykształceniem, które później kształcą profesjonalistów. Uniwersytet łączy więc prace badawcze, właściwe działalności, placówek badawczych PAN, z pewnymi elementami prac wdrożeniowych, które są zadaniem instytutów resortowych, oraz funkcje edukacyjne, w których — w zależności od szczebla uczestniczą instytucje wychowawcze, a w tym szkoły wyższe o charakterze zawodowym. Potrzeba zachowania właściwej równowagi między tymi rozlicznymi funkcjami jest niezwykle istotną dla uniwersytetu, definiuje jego tożsamość jako uczelni typu uniwersyteckiego.

R. SKOWRONSKI: — Tak się złożyło, że chyba od 1978 roku zaczęło w Polsce preferować szkoły techniczne, rolnicze, inżynierskie i pedagogiczne. Odbywało się to kosztem uniwersytetów, szczególnie jeśli chodzi o inwestycje. W efekcie mamy dziś taką sytuację, że placówki uniwersyteckie znajdują się w najgorszej sytuacji, może za wyjątkiem uniwersytetów w Lublinie i Toruniu. Perspektywy, które w tej chwili uniwersytety opracowały, to nie są żadne perspektywy, i to nie tylko w zakresie bazy. Jest to jeszcze jeden dowód na przyjęcie w kraju kierunku na pewien praktycizm, a także na to, że uniwersytety w tej sytuacji przyjęły orientację na przetrwanie. To jednak w praktyce oznacza stagnację, cofanie się. Jest to zjawisko bardzo groźne. Podniesienie roli i znaczenia uniwersytetów m. in. przez stworzenie im sprzyjających warunków rozwojowych, to kluczowe zagadnienie dla przyszłości kraju.

J. GORSKI: — Na marginesie ostatnich wypowiedzi panów rektorów może i ja zgłoszę jeszcze tych parę uwag. Cały współczesny świat jest systemem naczyń połączonych i te związki ciągle się rozszerzają. Podobnie jest z uniwersyteciem, związkami uczelni ze środowiskiem, regionem, krajem. Te oddziaływania i tu wzajemnie występują.

A teraz kwestia owych wyborów. Zawsze trochę mnie martwi, że my w Polsce często stawiamy sprawę, że coś musi być albo — albo. To podobnie jak z tym „dylematem”: czy myć ręce czy myć nogi? A przecież wiadomo, że myć trzeba jedno i drugie. Dlatego powiedziałbym tak, że ważne jest i rozwijanie badań podstawowych i zamierzeń aplikacyjnych. W tego typu wyborach nie musi być sprzeczności, przeciwności. Trzeba robić i jedno, i drugie. Należy jednak przyznać, że są takie tendencje w uniwersytetach, wyrażające się w stwierdzeniach: dajcie nam pieniądze, a my już będziemy wiedzieli co i jak badać. Tego nigdzie na świecie nie ma. Daje się oczywiście część pieniędzy na tak zwane badania podstawowe, które często nie mają bezpośredniego związku z aktualnymi potrzebami gospodarki, społeczeństwa, ale równocześnie uniwersytety wchodzi w coraz większe kontakty z przemysłem, z gospodarką. Bez tego byłyby bardzo ubogie. W USA w uniwersytetach stanowych z kontaktów z przemysłem pochodzi blisko 50 proc. ich budżetu, a w prywatnych — 70 proc. Biznes daje pieniądze, narzuca też określone kierunki badań. Prof. Szczepański zwykł mawiać: kto płaci to muzyka jego... I trzeci problem — wielką rolę nauki jest formułowanie tzw. sygnałów ostrzegawczych w sferze społecznej, gospodarze itd. Nauka ma uprzedzać decydentów, że pewne decyzje, działania są nieracjonalne i w efekcie mogą prowadzić do szkodliwych skutków. Takie możliwości nauka musi posiadać. Dziś, jak sądzę, obaw w tej mierze być nie powinno.

Uwagi te także odnoszą się do podjętego problemu oddziaływań i uwarunkowań. W tej mierze istnieją pewne określone sprzężenia zwrotne. Na tle procesów stabilizacji, o których mówił prof. Wróblewski sądzę, iż zachodzi pora, aby w uczelni zostały zainicjowane ponownie zjawiska kumulacji pozytywnej. Dotyczy to sfery nauki i dydaktyki, kadry i studentów. Można być obrażonym na wiele rzeczy, ale jest pewna prawda podstawowa, oczywista — że bez pracy nieczego się nie osiągnie. A istnieją określone zagrożenia, a w tym i to, że Polska może ugrzęznąć w marazmie na okres przynajmniej 20 lat. Rolą nauki, środowisk naukowych jest się temu zagrożeniu umiejętnie przeciwstawić. Zrobiliśmy, jak sądzę, dość dużo w Polsce, aby zacząć racjonalnie myśleć, ale wciąż za mało, aby racjonalnie, aktywnie działać. Jeśli i to nam się nie uda, to procesy kumulacyjne, zapoczątkowane w uczelni wywrą wielki wpływ na region. To jest także jedna z szans aktywnego oddziaływania Uniwersytetu na środowisko, o którym mówiliśmy. W sytuacji stabilizacji politycznej i społecznej niepomniernie rolę opiniotwórczą inteligencji, w tym także środowisk naukowych. A ponieważ w okres ten wchodzi, stąd postawa inteligencji, jej chęć działania, będą mały podstawowe znaczenie w nadawaniu kształtów wszystkim wielkim poczynaniom reformatorskim w Polsce, będą decydowały o naszej przyszłości.

— Dziękuję za uczestnictwo w naszej dyskusji.

Dyskusję prowadził i opracował:
KAROL JÓZEF STRYJSKI

1.

Kariery słów w naszym życiu publicznym są zdumiewające — zapewne dlatego, że „u źródeł duszy polskiej na szczytach zbudowano „adattli- we młyny”, jak sądził poeta Tadeusz Miciński — jakże słusnie i przenikliwie. I proroctwo... Od czasu sformułowania tej diagnozy minęło sporo lat, a jej bolesna dosłowność i aktualność nie przemija. Słowa mnożą się, beczniej, nabierają wagi, stają się bytami samodzielnymi, żyjącymi w oderwaniu od rzeczy i zjawisk, z którymi były pierwotnie związane. I nagle znikają, wyparte przez nowe frazesy.

Publiczny obieg słów jest całkowicie niezależny od przekształceń świata materialnego. Oczywiście takie gadulstwo nie jest jakimś specyficznym polskim właściwością, ale nie sposób zaprzeczyć, że u nas rozwinęło się szczególnie obficie... Ten stan rzeczy przynosi sporą porcję wątpliwości i dotkliwych rozterek przede wszystkim publicystom pracującym wyłącznie przecież w dziedzinie słowa. (No, badźmy uczciwi i nie pobłażajmy: nie wszystkim, daleko nie wszystkim...)

Istotą owego wewnętrznego konfliktu polega na tym, że wolens volens przyznajemy się do „pęcznienia” niektórych słów nabierających znaczenia w życiu publicznym, mając przy tym świadomość, że z miedziela słów — nawet gdy oznaczają one nowe i oryginalne idee, poglądy czy propozycje — żaden konkretny byt materialny nie powstaje, nie mówiąc o tym, że i zmiany w świadomości obywateli — odbiorców są wątpliwe, jako że dowiedziano, iż na te przemiany najskuteczniej oddziałują fakty, nie słowa.

2.

„Porozumienie”, często z przymiotnikiem „narodowe”, jest właśnie takim nadużywanym, ponad istotną potrzebę nadymnym słowem, funkcjonującym zupełnie niezależnie od realnych faktów w tej dziedzinie. Świadom tego, z ostrożnym zainteresowaniem przyjąłem — wraz z zaproszeniem do dyskusji — dokument zatytułowany „Hipotezy raportu o stanie i potrzebach porozumienia narodowego” firmowany przez prof. Mariusza Gulczyńskiego, przewodniczącego Komisji Społecznego Dialogu, Porozumienia i Konsultacji Rady Krajowej PRON.

Raport ten ma — wedle słów jego koordynatora — „przedstawić analizę stanu i warunków realizacji porozumienia (...), zarysować potrzeby rozwoju porozumienia, bariery oraz szanse tego rozwoju; sformułować wnioski dla dalszego rozwoju porozumienia, dla samego ruchu (chodzi o PRON — przyp. TS), jego sygnatariuszy i władz państwowych”. Innymi słowy, nb. też autorstwa prof. Gulczyńskiego („Odrodzenie” nr 18 — 85.05.05) — raport jest „do to, by konsekwentnie przezwyciężyć kryzys i zapobiec kolejnemu”.

No i pięknie — znam już dobrze powabny dźwięk tej wielkiej trąby, dmącej słowa... Idzie teraz o to, by tym słowem przywrócić sens najbliższy pierwotnemu ich znaczeniu.

Wszystko, co tu napisałem, powstało niejako na marginesie wspomnianych „hipotez raportu”, przy czym chciałbym zastrzec, że nie jest moim zamiarem ani krytykowanie, ani dezawuowanie bez prof. Gulczyńskiego. Co więcej — ze zdecydowaną większość z nich się zgadzam... Wszakże rzecz istotna i godna uwagi wydaje mi się refleksja o znaczeniu porozumienia jako wartości politycznej, a także o samej „filozofii porozumienia”, i nie tylko o barierach, lecz przede wszystkim o jego celach i granicach.

3.

De omnibus dubitandum — o wszystkim wątpić. Tę maksymę, jako swoją ulubioną przedstawił niegdyś Karol Marks, rozwijając jeden z modnych w ubiegłym stuleciu testów towarzyskich (chyba na prośbę córki).

Myliłby się jednak ten kto by sądził że jest to wyznaczenie notorycznego i cynicznego niedowiarka. Wprost przeciwnie — maksymę tę należy potraktować jako skuteczny instrument poznawczy. Wątpić, ale nie poprzestać na tym; zwątpienie bowiem stwarza sposobność do postawienia pytań dotyczących przedmiotu — w tym najważniejszego: o cel.

Czy można zatem, bez obawy popełnienia świętokradztwa, zwątpić w porozumienie? Czy pytanie o jego cel, a przede wszystkim — o granice, nie należy do rzędu tzw. pytań niezadawalnych?

4.

Jestem prawie pewien, że w naszych wspólnych, obywatelskich dialogach o sprawach państwa, w tym i o samym porozumieniu, nakładają się na siebie rozmaite płaszczyzny poimowania czym ono jest w istocie. Także raport prof. Gulczyńskiego nie jest wolny od tego swoistego pomieszania materii; nie jest to zarzut tylko stwierdzenie potrzeby uporządkowania pojęć.

Już pobieżna analiza wypowiedzi publicznych z użyciem hasła „porozumienie” wskazuje na kilka podstawowych zjawisk czy faktów ze słowem tym związanych. Mamy więc do czynienia z porozumieniem jako bazą wyjściową, zbiorem pryncypiów egzystencji narodu i państwa. Co innego znaczy też porozumienie jako proces społeczny, co innego jako instrument polityczny lub socjotechniczny. Pojawia się też porozumienie totalne — jako absolut i cel sam w sobie. A i to chyba nie wszystko...

5.

Jest w zbiorowej egzystencji każdego narodu zorganizowanego w państwo taki zespół wartości, co do których porozumiewać się nie można. Nie wolno ich uzgadniać — można tylko przyjąć lub nie. W naszym przypadku do takich pryncypiów należą między innymi konsekwencje jaltańsko-poczdamskiego porządku w powojennej Europie, ustroju społecznym, sprawowanie władzy, fundamenty porządku prawnego. Stan faktycznej niezgody w tych

kwestiach oznacza walkę — walkę przeciw racjom stanu, które muszą być broniące siłą. Stan walki dotyczy dwóch kategorii — ludzi aktywnych przeciwstawiających się tym podstawowym zasadom, usiłującym w ich miejsce postawić inne pryncypia, z drugiej części podzielonego świata, oraz tych, którzy kwestionują te zasady, bez alternatywnego programu. Pierwszych należy na pewno wyeliminować, drugich — co najmniej zneutralizować.

Prof. Gulczyński na wstępie swego raportu powołuje się na badania CBOS w kwestii akceptacji porozumienia. Wynika z nich, że około 22 proc. społeczeństwa akceptuje porozumienie, zdecydowanie, zaś około 5—7 proc. jest równie zdecydowanie przeciw. (Większość zachowuje rezerwę, jest obojętna lub w ogóle nie ma zdania). Z tego prof. Gulczyński wywodzi wniosek, że owe 5—7 proc. winno być obiektem walki właśnie.

Jest to rozumowanie całkowicie fałszywe, polegające właśnie na pomieszaniu pojęć. Z faktu, iż ktoś jest przeciw porozumieniu nie wynika wcale, że jest on jednocześnie wrogiem ustroju. (Aczkolwiek na ogół obie te wrogości skupiają się w tych samych osobnikach...). Można bowiem doskonale sobie wyobrazić kogoś, kto bez zastrzeżeń akceptuje pryncypia racji stanu, ale jest wrogo usposobiony do idei porozumienia, gdyż droższe są mu inne

Przy tem nie ma co ukrywać, że obecnie warunki graniczne porozumienia narodowego i jego cele są wyrażone reglamentowane przez władzę. Należy przyjąć jako pewnik, że wielu obywatelom świadomość tej zależności nieco doskwiera; są w każdym razie bardziej „na- jeżeni” niż społeczeństwo — inaczej niż wtedy, gdy mieli poczucie nieco większej autonomii. W tej sytuacji obywatela aktywni znaleźli się w zdecydowanej mniejszości: działacze PRON tworzą nawet w pewnym sensie elitarny krąg, którego separacja jest mimo wielu wysiłków, przełamana bardzo powoli. Chyba dopiero wybory do rad narodowych i zbliżające się wybory do Sejmu przyczyniły się skutecznie do niweczenia barier w tej mierze.

To wszystko są nieuniknione koszty społecznego zastosowanego w grudniu 1981 roku rozwiązania; nie ulega jednak wątpliwości, że musimy je ponieść bez szemrania, gdyż stanowią tylko ulamek ewentualnych strat, gdyby za- niechano użycia siły w stosownym momencie...

7.

„Porozumienie narodowe jest wciąż bardziej potrzebą i zadaniem niż faktem dokonanym”

(1)

Lekcja trudnego języka

TOMASZ SAS

sposoby układania stosunków społecznych — na przykład narzucanie rąk siłą. Tak samo można sobie wyobrazić wroga ustroju kłórnemu droga jest idea porozumienia, tyle że na gruncie akceptowanego przez niego systemu wartości politycznych.

Toteż dzielenie obywateli wedle ich stosunku do idei porozumienia narodowego wcale nie wyznacza obszarów zgody i walki. Chyba, że chodzi o walkę o znaczenie porozumienia jako metody organizacji życia publicznego.

Wiemy wszakże, iż nie o to chodzi. Walka ma dotyczyć przeciwników ustroju, a nie porozumienia, a obu tych obiektów walki raczej utożsamiać nie należy. Przeto rzecz podstawowa byłoby zbadanie, kto jest przeciw panującemu porządkowi politycznemu i społecznemu — kto przeciw Jalicie, przeciw socjalizmowi, przeciw władzy ludu pracującego miast i wsi, przeciw własności społecznej. Nie sądzę, by wynik takiej sondy w procentach odbiegał od przyjętej przez prof. Gulczyńskiego bazy zachowań opozycyjnych, ale może się łatwo okazać, że chodzi o zupełnie innych ludzi.

6.

W tym miejscu docieramy do racjonalnego jądra, do istoty pojęcia „porozumienia”. Otóż jawi się nam ono jako proces społeczny polegający na przyjęciu sposobu uzgadniania jako drogi poszukiwania wspólnych rozwiązań w różnych obszarach życia publicznego — z jednej strony; z drugiej zaś — jako instrument skutecznego zarządzania sprawami państwa, poprzez wciągnięcie grup społecznych do procesu decyzyjnego. Oba te aspekty zasługują na refleksję bardziej szczegółową.

Porozumienie pojawiło się w naszym życiu społecznym jako reakcja samoobronna — twierdzi prof. Gulczyński — na groźbę anarchizacji życia i rozkładu państwa oraz gospodarki. Był to w pierwszej fazie postulat niemożliwy do spełnienia przez główne siły w państwie, jako że były one uwikłane w walkę całkowitą i zdecydowaną w walce walki (Walkę z przeciwnikiem o tak wyrażenie zarysowanym obliczu ideowym należało wygrać bezwzględnie — bez „zawieszenia broni”, bez kondycji kapitulacyjnych...). Ale postulat ten był atrakcyjny dla obywateli, zdetonowanych realnie rysującą się możliwością konfliktu, który pociągnąłby za sobą przede wszystkim utratę poczucia bezpieczeństwa, a jest to wartość szczególnie wysoko notowana, a także długookresowe zniweczenie ekonomicznych podstaw bytowania jednostek i rodzin (też w podwójnym hierarchii wartości pożądanym i godnym ochrony).

W drugiej połowie 1981 roku obywatele nie mieli szans przeformowania swego punktu widzenia na sprawy kraju. Można wprawdzie sobie wyobrazić coś w rodzaju „puczu obywatelskiego” jednocześnie przeciw rządowi i opozycyjnym centrum „Solidarności” i jej kullowskich sterników, ale jego prawdopodobieństwo było bardziej niż nikłe. A poza tym warto sobie uprzytomnić, że tego rodzaju bunt byłby niezwykle łatwy do manipulowania — przy czym łatwiej byłoby pociągnąć wykorzystanie naturalne, biologiczne niejako skłonności mas do anarchizowania.

Użycie siły przez centrum dyspozycyjne, czyli innymi słowy: przez władzę, w sposób zasadniczy zmieniło optykę obywateli w kwestii porozumienia. Wprawdzie stopień akcentacji społecznej dla stanu wojennego był znaczny, ale jednocześnie pożądanym porozumienia w sposób istotny zmalało. Z paru powodów...

Obserwowana przez obywateli stosunkowo wysoka skuteczność działań sił zbrojnych i administracji państwowej zapewne wielu zniechęcała do wspólnego porozumiewania się co do środków i metod organizowania życia publicznego; nadeszło zobojetnienie i ucieczka w prywatność — ta ostatnia podyktowana także koniecznością silniejszego skoncentrowania się większości na ekonomicznych kwestiach egzystencji. Nie do zbagatelizowania jest też pewien aspekt moralny, wywodzący się z tradycji i mitu o szlachetnych przodkach, wstrzegających się stosowania siły w konfliktach wewnętrznych; siła była zawsze domeną obcych potencji, myśmy „dogadywali się jak Polak z Polakiem”... Moc tego mitu odebrała większości z nas na długo zdolność do postrzegania rzeczy i zjawisk takimi, jakimi były w istocie.

(4)

Student w fabrycznym mieście

„Chociaż goło, lecz wesoło”

9.

„Tabarin”, u wielu z nas opóźniał studia, i mobilował do brania dodatkowych prac zarobkowych. Nasz zespół wyspecjalizował się w „polowaniu na jelenia”. Artystą w tych polowaniach był student chemii Kaj. Podaje tylko imiona lub pseudonimy, bowiem wielu z nich piastuje dziś odpowiedzialne stanowiska i po co przypominąć te słodkie grzechy młodości i deprawować młodzież. Kaj bezbłędnie odróżniał facetów z dużą forszą od tych co udawali, że ją mają. Siedział w barku sącząc „sinalko”, a obok jakiś bruchaty jegomość zamawiał francuski koniak. Kaj dyskretnie upuszczał na podłogę banknot, najczęściej 50-złotowy.

— Bardzo szanownego pana przepraszam, ale panu z kieszeni wypadły pieniądze — mówiąc to podnosił owe 50 zł i wręczał zdziwionemu grubasowi.

— Wie pan, to taki drobniarz, widocznie nie zwróciłem uwagi!

— To nie ma znaczenia, że drobniarz — z godnością odpowiadał Kaj. — Jestem studentem biednym, ale uczciwym!

Zaproszony do stolika Kaj certował się, że nie może, bo nie jest sam.

— To dawaj pan tego kolegę — brzmiała odpowiedź. A nasza czwórka już na to czekała!

10.

Byliśmy zaprzyjaźnieni z orkiestrą Braci Łopatowskich, natomiast z orkiestrą Pindrasa mieliśmy na pieńku. Był to znakomity zespół, który niechętnie grał w knajpach, wolał raczej koncertować, a sam szef pan Pindras był liczącym się pianistą-solistą. Narazili się nam, bowiem odmówili akompaniowania Marcie Mirskiej. Postanowiliśmy ich ukarać, a okazja nadarzyła się kilka tygodni później.

W mieście zauważyliśmy duże zielone afisze z krzyżącą czerwioną cziółką: GRA ORKIESTRA BRACI PINDRASS. Nazwisko drukowane było z dwoma „s”, prawdopodobnie dlatego, że brzmiało bardziej zagranicznie. Afisz donosił, że będzie to koncert galowy, a dochód przeznaczony na jakiś szlachetny cel.

W nocy przy pl. Reymonta pojawiły się trzy postacie. Byli to „Julek”, „Grzybek” i ja. „Grzybek” stał „na lipku”, a my z „Julkiem” uzbrojeni w zyletkę i klej pracowicie wycinaliśmy ostatnią literę „S” z nazwiska i nakleiliśmy ją na literę „G”. Akcja „zemsta” trwała ponad dwie godziny, tyle czasu zajęło nam wycinanie i doklejenie literki „S” na całej ul. Piotrkowskiej od pl. Reymonta do pl. Wolności. Następnego dnia zdumieni lodzianie z afiszów dowiadywali się, co robi orkiestra braci P.

Tworzyliśmy kilkudziesięcioosobową grupę, sekcję kulturalno-osiwiatową Bratniej Pomocy UL. Większość to członkowie teatru „Gęsie Pióro”, koleżanki i koledzy z chóru akademickiego, zespoły muzyczne, słowem bracia artystyczne. Byli wśród nas członkowie organizacji młodzieżowych, niezrzeszeni — tych najwięcej, wierzący i ateści. Sprawy ideologiczne nigdy nie zakłócały wśród nas więzi koleżeńskich i przyjaźni. Stanowiąc nasze określałyśmy jasno i niedwuznacznie. Jesteśmy nowym pokoleniem Polski Ludowej, przeciwni rodzimej reakcji i Mikołajczykowi, kochamy naszą młodą uczelnię i jej rektora Jego Magnificencję Tadeusza Kotarbińskiego. Gremialnie braliśmy udział w pochodach 1-majowych, ale również uczestniczyliśmy w manifestacjach 3-majowych.

Były próby przeciągnięcia sekcji, szczególnie jeśli chodziło o chór, w stronę Duszpasterstwa Akademickiego. Chcieli nas do siebie przyciągnąć koledzy z AZWM — „Życie”. Pierwszym oświadczyliśmy, że jesteśmy niegodni, bowiem wśród nas zbyt dużo grzeszników. „Życiowcom” zaś tłumaczyliśmy, że są dla nas zbyt radykalni, a nawet sekciarscy. Obrazili się, gdy „Julek” kierownik sekcji złośliwie oświadczył:

— Was zrodził czyn, a nas tatuś i mamusia! Minęło czterdzieści lat. Aż trudno uwierzyć, że tak szybko. Większość z nas ukończyła studia, inni odpadli. Rozproszyliśmy się po całej Polsce, jedni są u szczytu sławy, piastują godności państwowe, są wśród nich znani i lubiani aktorzy, są naukowcy. Inny się mniej częściej, ale wszyscy mamy jedną wspólną rzecz, której nikt nam nie odbierze: wspomnienia tamtych lat. To były naprawdę piękne dni!

ADAM BIENKOWSKI

szkoly w Piatku. Przyjazd do Vehlafanz 8-osobowej delegacji z kraju na kontrolę praktyk. Jest w niej dyr. Cisak, kuratorzy z Plocka i inne osoby. Kompromitujące zachowanie się niektórych członków delegacji, a szczególnie — wicekuratora Mieczysława Koźluka, nadużywającego alkoholu. Rozmowa między M. Koźlukiem a dyr. Cisakiem na temat tego, czy „Rykala” prawidłowo ryczy”, nagrana przez jednego z Niemców. Handlowy charakter pobytu delegacji. Po powrocie do kraju Rykala przedstawia te fakty na zebraniu ZNP, zarzucając delegacji, że skompromitowała nas w oczach Niemców. Dwa przeczące sobie protokoły z tego zebrania. Zarzuty dyrekcji pod adresem Rykaly: niewłaściwa opieka nad młodzieżą w NRD, przemycanie koczucha, handel koszykami, zabieranie młodzieży chleba, skłonność do chłopców, spanie w pokoju razem z dziewczętami. Opinia o Rykale spisana w RSP Model k. Plocka — bezpośrednim powodem zażycia w pokoju nauczycielskim. Świadczenie nie widzieli pobicia. Komisja w Łęczycy oddała adwołanie Rykaly. Dalej — sprawa przed sądem w Warszawie.

Drugim źródłem informacji był list podpisany przez dyrektora ZSMR w Piatku, Stanisława Cisaka, nadesłany w marcu 1984 roku do redakcji „Odgłosów”, a zaczynający się tak:

„Dyrekcja Zespołu Szkół Mechanizacji Rolnictwa w Piatku zwraca się z uprzejmą prośbą o konfrontowanie z nami przesyłanych do Was relacji, a głównie przez byłego nauczyciela ob. Mieczysława Rykala, z którym w dniu 24. 11. 1983 r. rozwiązaliśmy umowę o pracę bez wypowiedzenia.

Jesteśmy już uczuleni na ww. problem, ponieważ w „Karuzeli” z dn. 16.02. br. bez sprawdzenia podanego materiału wydrukowano artykuł, który za pośrednictwem organizacji politycznych musimy „odkrecać i prostować”. Sprawy prosimy potraktować bardzo poważnie, ponieważ musimy dbać o opinię szkoły w środowisku.

Późniejsze nawet przeproszenie w prasie nie będzie mogło przywrócić bardzo dobrej opinii, jaką cieszy się szkoła i jej aktywi w środowisku.

Zespół obchodzi swoje 20-lecie powstania i jest jedną ze szkół województwa plockiego o pełnym profilu w zakresie mechanizacji rolnictwa. Młodzież, nauczyciele, rodzice uczniów i pracownicy tej szkoły w ramach czynów społecznych zbyt wiele zrobili, aby teraz przez człowieka konfliktowego i zatrudnionego na umowę o pracę w tak krótkim okresie czasu, tj. od 1 maja do 24 listopada 1983 r. „stracić” wszystko”.

Oczywiście łatwo domyślić się, że list ten — jak się później okazało, rozestany do kilkunastu redakcji w kraju i władz różnych szczebli — zniechęcał miał dziennikarzy do ewentualnego zajęcia się „sprawą Rykaly” i składania do przedstawienia szkoły na łamach prasy w jak najlepszym świetle. Po jego przeczytaniu i zestawieniu z artykułem A. Szmarka pomyślałem jednak, że w tej sytuacji tym bardziej powinienem chyba spotkać się z Mieczysławem Rykalą i napisać o jego perypetiach bez względu na to, kto w tym sporze ma rację. A ponieważ nie miałem jego adresu, najpierw polecałem do Piatku porozmawiać ze Stanisławem Cisakiem.

Był trochę zaskoczony moją niespodziewaną wizytą. Podejrziwie dopytywał się, kto nakłonił mnie do podjęcia tego właśnie tematu, nie krył swego złego zdania o dziennikarzach, a zwłaszcza — o Andrzeju Szmarku i Karolu Badiaku z „Karuzeli”, w sumie jednak chętnie zgodził się opowiedzieć mi „jak to wszystko było naprawdę”, bo tamci oczywiście do szkoły się nie pofatygowali.

Dyrektor Stanisław Cisak o Mieczysławie Rykale usłyszał pierwszy raz w 1980 roku. Szkoła w Piatku szukała właśnie jakiegoś miejsca za granicą gdzie można by wysłać uczniów na praktyki wakacyjne. Pisano to tu, to tam, a czas mijał, więc żeby go nie tracić, ówczesny zastępca kierownika warsztatów szkolnych, Wojciech Urbański powiedział, że zna niejakiego Rykala z Błonia pod Łęczycą, który jeździł już na takie praktyki z młodzieżą do NRD. Gdyby z nim porozmawiać może wskazałby, z kim warto tam podpisać stosowną umowę.

I rzeczywiście, Rykala wskazał takie miejsce — kombinat ogrodniczy LPG „Schwante” w Vehlafanz koło Oranienburga. Wkrótce okazało się też, że jest tam bardzo dobrze znany, ma liczne kontakty i w rozmowach z ZSMR w Piatku bardziej reprezentuje interesy strony niemieckiej niż polskiej. Takie wrażenie odniósł przynajmniej dyrektor Cisak, co nie przeszkodziło mu jednak w szybkim podpisaniu umowy, na której zawarcie wyraziło zgodę Kuratorium Oświaty i Wychowania w Plocku oraz władze ministerialne, i w wstąpieniu jeszcze tego samego roku pierwszej grupy praktykantów za Odrę.

Dalsza współpraca Mieczysława Rykaly ze szkołą w Piatku miała dość luźny charakter. Znając doskonale język niemiecki pomagał przede wszystkim jako tłumacz. Złatwiał też różne inne sprawy, ale zawsze na wyraźne polecenie dyrektora Cisaka czy kuratorium, które nigdy nie upoważniło go do podejmowania samodzielnych decyzji, ani też nie wyposażyło w żadne pełnomocnictwa. Niekiedy jeździł do NRD, szkoła zwracała mu koszty podróży, a poza tym dzięki tym wjazdom mógł sobie coś stamtąd przywieźć gdyż otrzymywał wymianę. Słowem musiało mu się to opłacać.

Z początkiem maja 1983 roku w warsztatach szkolnych zwolniło się miejsce po nauczycielu, który poszedł do wojska i dyrektor Cisak — zadowolony z dotychczasowej współpracy — zdecydował się wziąć Rykala do siebie na etat. Skoro miał te kontakty w NRD służył jako tłumacz... Poza tym dyrektor liczył, że kiedy w ZSMR ruszy liceum zawodowe, szkole przy-

da się nauczyciel z dyplomem magistra inżyniera zootechniki. Ale to były plany na przyszłość. Na razie zatrudnił Rykala na okres próbny i to na zwykłą umowę o pracę, gdyż ten nie miał ważnego mianowania. Pracował kiedyś, co prawda, w rolniczej szkole zawodowej w Gaju Nowym pod Piatkiem, jednak było to już kilka lat wcześniej i dawne mianowanie na nauczyciela zdążyło stracić swą aktualność. Nauczyciel Rykala — podkreśla dyrektor Cisak — nie miał więc żadnych uprawnień nauczycielskich i dopiero szkoła w Piatku miała zrobić z niego prawdziwego pedagoga. Póki co wykonywany był głównie do pilnowania uczniów, z którymi jeździł do Kutna do fabryki maszyn rolniczych „Kraj”, gdzie odbywała się praktyczna nauka zawodu. I z tych obowiązków — trzeba przyznać — wywiązywał się bardzo dobrze.

Relacja dyrektora ZSMR w Piatku, Stanisława Cisaka z wydarzeń poprzedzających wakacyjne praktyki w NRD w 1983 roku początkowo wydała mi się dość spójna i wiarygodna. Spokojnie wysłuchałem też dalszego jej ciągu, do którego jeszcze powrócę. Kiedy jednak później zacząłem analizować przedstawione fakty, odniosłem niejasne wrażenie, że coś się tutaj

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Kamikadze

chyba jednak nie zgadza. Co prawda, obecny przy rozmowach z dyrektorem jego aktualny zastępca, Wojciech Urbański potwierdził słowa swego szefa w całości, to przecież właśnie od niego dowiedziałem się podczas pierwszej wizyty w szkole w Piatku, że Mieczysław Rykala mieszkał i nadal mieszka na terenie Zakładu Doświadczalnego Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa w Błoniu pod Łęczycą, gdzie był zatrudniony do 1 maja 1983 roku.

Dlaczego — zadałem więc sobie proste pytanie — dlaczego człowiek, mając miejsce pracy tuż obok domu, przenosi się nagle do odległego o ponad dwadzieścia kilometrów miasteczka? Dlaczego rezygnuje z wygody i decyduje się na codzienne dojazdy do szkoły dwoma autobusami PKS (z przesiadką w Łęczycy), skoro „wykorzystywany” jest tam głównie do pilnowania młodzieży oraz jako tłumacz? Czyżby zaferowano mu aż tak wysoka pensja? Ale nie — w szkolnictwie to raczej niemożliwe. Więc może zadecydowały inne względy? A jeśli tak — to jakie?

Czym prędzej znalazłem teraz spotkać się z samym Rykalą. Prosto z Piatku pojechałem od razu do Błonia. Niestety, nie zastałem go w domu. Zostawiłem swój numer telefonu. Zadzwońił po kilku dniach, mówiąc, że będzie dziś w Łodzi i chętnie ze mną porozmawia. Umówiliśmy się wieczorem w kawiarni „Europa”. Gdy tam przyszedłem, czekał już na mnie z wielką teczką pełną różnych akt i dokumen-

tów. Przed budynkiem stał jego nieodłączny rower, którym porusza się namiętnie. „Jest lepszy i szybszy od tramwaju — wyjaśnił — na wsi nieoceniony, a do pociągu też zawsze jakoś się zmieści. No, i poza tym daje mi pewne poczucie niezależności. Może to pana redaktora dziwi, ale przyzwyczałem się do niego”.

Latem 1965 roku czterech studentów olsztyńskiej Akademii Rolniczo-Technicznej w nagrodę za dobre wyniki w nauce wyjechało na prawie dwumiesięczny pobyt do miejscowości Niemberg w Saksonii. Pracując w tamtejszej spółdzielni rolniczej „Neue Zeit”, poznawali nowoczesne metody uprawy i hodowli, maszyny i urządzenia, które w NRD były już powszechnie stosowane, a u nas wzbudzały na wsiach jeszcze sensację. Jeden z tych studentów nazywał się Mieczysław Rykala i pochodził spod Skierniewic, z biednej chłopkiej rodziny. A że był to chłopak zdolny, pracowity i jeszcze do tego dobrze znał niemiecki, szybko zaskarbił sobie sympatię gospodarzy oraz szczerą przyjaźń studenta z NRD, Friedera Sandiga, który również w Niembergu praktykował.

W siedem lat później, gdy tylko szerzej otwarto granicę na Odrę i Nysie, Mieczysław

Dlaczego to wszystko robił? Ci, którzy znali Rykala od dawna, nie zadawali takiego pytania. Wiedzieli, że nie potrafi siedzieć bezczynnie, myśleć tylko o sobie. Już jako początkujący nauczyciel w Państwowym Technikum Rolniczym w Sedziejowicach dał się dobrze poznać z tej strony, Oświatę rolniczą po wsiach szerzył, prowadził chór i orkiestrę szkolną, był zawsze ze swoja młodzieżą i dla młodzieży. Nie, żeby zaraz coś z tego miał. Ot tak, zwyczajnie, po prostu, z przekonania.

To samo było potem w Błoniu. Jeździł, organizował, prowadził... Konkursy, zawody, wycieczki, teatry amatorskie — taki był jego sposób na życie. Czuł polską wieś jak mało kto i na każdym kroku udowadniał wszystkim, że wiejska młodzież wcale nie musi się nudzić. No, a kiedy jeszcze zaczął z tą młodzieżą wyjeżdżać za granicę...

Co ciekawsze, Niemcom również podobały się jego pomysły i sposób bycia. Przyjeżdżali go serdecznie, jak kogoś bliskiego. A, gdy wieść o polskich praktykantach — o dziwo! zdyscyplinowanych i pracowitych — rozeszła się z Germendorfu po całej okolicy, inne spółdzielnie same zaczęły zabiegać o ich przyjazd do siebie w następnych latach. Płynęły zaproszenia ze Schmachtenhagen, Vehlafanz, Wensickendorfu, Nauen. A wszystko to na długo jeszcze przed podpisaniem oficjalnych między państwowych umów o wakacyjnej wymianie między młodzieżą Polski i NRD. Bez decia w fanfary, zupełnie spontanicznie, dzięki inicjatywie jednego człowieka.

W 1976 roku, po pięciu latach przymusowej banieji, na mocy wyroku Sądu Wojewódzkiego w Łodzi Mieczysław Rykala wrócił do pracy w ZD IUNG w Błoniu, skąd go w 1971 roku w jaskrawo krzywdzący sposób wyrzucono. Obiał wtedy posadę starszego asystenta ds. doświadczalnictwa. Ze szkoła w Gaju pożegnał się — zalem, ale przecież o jej uczniach i młodzieży innych okolicznych szkół nie zapomniał. Dzieki jego staraniom nadal jeździła do NRD na praktyki zawodowe, niezmiennie je sobie chwalał. Toteż kiedy w 1980 roku zwrócił się do Rykaly z prośbą o pomoc Zespół Szkół Mechanizacji Rolnictwa w Piatku, ten nie potrafił po prostu odmówić. A było to tak:

27 lutego 1980 roku przyjechało do Błonia dwóch nauczycieli z Piatku: Marian Jasiello, kierownik warsztatów szkolnych i Wojciech Urbański, z którego bratem Rykala znał się dobrze ze społecznej działalności w ZMW. — „Mieczysław — powiedzieli — ty wciąż organizujesz te wyjazdy do NRD. Mógłbyś nam pomóc. My próbujemy nawiązać jakies kontakty zagraniczne, z NRD, Węzrami, Czechosłowacją, ale — wiesz — nie nam jakoś nie wychodzi”. No to jakże miał nie pomóc?! Zwłaszcza że dla niego nie był to żaden problem.

W pierwszych dniach kwietnia wsiadł w pociąg i pojechał do Vehlafanz. Ze starym znajomym, prezesem LPG „Schwante”, Jürgenem Ebelem omówił całą sprawę, określili warunki, sporządzili wstępne projekty umów... Po powrocie do kraju wystarczyło już tylko wpaść do Piatku, z dyrektorem Cisakiem ustalić dokładnie kto, kiedy i jak. Obie umawiające się strony były z jego misją wyraźnie zadowolone.

W czasie wakacji 1980 roku w Vehlafanz przebywała jedna trzydziestoosobowa grupa uczniów z Piatku pod okiem dwójga wychowawców. Mieczysław Rykala zawiózł ich na miejsce, przedstawił gospodarzom, pokazał wszystko, pobyl kilka dni i wrócił do Błonia, do pracy. W 1981 roku pojechał już dwie, a w 1982 — aż trzy grupy. Praktyki wyraźnie się rozkręcały. W tym czasie jeździł tam jeszcze parę razy — w dni wolne kosztem urloboów, zawsze — podkreśla — za własne pieniądze. Szkoła w Piatku nie zwróciła mu ani złotówki, choć to jej sprawy przecież złatwiał. Różnie o tym można było myśleć, ale najważniejsze — mówi — żeby praktyki były kontynuowane.

Dyrektora Stanisława Cisaka taka współpraca z Mieczysławem Rykalą też chyba nie w pełni zadowalała. Nie krył, że wolałby mieć go u siebie, w szkole — ku zadowoleniu obu stron, rzecz jasna — i nawet z czasem zaczął składać konkretne propozycje. I tak na przykład 14 sierpnia 1982 roku powiedział do państwa Rykalów w swoim gabinecie, że od 1 września mogliby na stałe przenieść się do Piatku, zdzw w szkole będzie wolny etat po takim nauczycielu, Bronisławie Kepińskim, którego koniecznie trzeba stać spławić. Dostaliby też po nim służbowe mieszkanie.

Dyrektor Cisak oczekiwał aplauzu, ale się nie doczekał. Rykala spojrział na żonę, ona na niego, po czym powiedział, że owszem, bardzo lubi pracę z młodzieżą i pewno chętnie skorzystałby z tej oferty, ale jeżeli przez niego ktoś ma być wyrzucony, to... to oni z żoną na razie jeszcze poczekają. Po tym, co sami przeszli... Nie, to w ogóle nie wchodziło w rachubę. I dopiero kiedy innego nauczyciela miano wziąć do wojska... Ale przecież i ten ledwie zbieg okoliczności nie mógłby być dla nich dostateczną zachętą. Po cóż mieliby — jedno lub dwoje — dojeżdżać codziennie z Błonia do Piatku? Tyle niewygody! Chyba, że... Słowem, chodziło o mieszkanie — wyłaśnia Mieczysław Rykala — duże, czteropokłowe mieszkanie w budującym się właśnie internacie, które im dyrektor Cisak obiecywał. Po dwóch niewielkich pokojkach z kuchnią w Błoniu byłoby to wszak prawdziwy luksus — dla nich, a zwłaszcza dla czwórki ich dzieci!

Oto w jaki sposób od 1 maja 1983 roku Mieczysław Rykala został nauczycielem Zespołu Szkół Mechanizacji Rolnictwa w Piatku. W taki sposób został stamtąd w pół roku później z hukiem wyrzucony — w następnym odcinkach reportażu.

C.D.N.



— Ale co, tata?
 — Ale nic się nie pali
 — To skąd ten dym? — do-
 ciekał rezolutny młodek.
 Zafasowany ojciec zaczął u-
 dzielać Mareczkowi jakichś
 wielce kłamliwych wyjaśnień —
 belkotal coś o prochu i petar-
 dach czerwony przy tym ze
 wstydu, bo ludzie słuchali, o-
 gień zaś płonął, dym kocił w
 najlepsze, eksplozie nastenowa-
 ły jedna po drugiej i wyda-
 wało się, że stadion wyleci za-
 raz w powietrze.
 Przestraszony chłopczyk za-
 panował meżnie nad nerwami,
 ale w głowie w dalszym ciągu
 zachodziły skomplikowane pro-
 cesy myślowe, gdyż przez kil-
 ka ostatnich dni Mareczek na-
 glądał się w telewizji różnych
 tragicznych programów, które
 pasowały jak ulał do tego, co
 działo się na stadionie LKS.
 — Tata?
 — Słucham?
 — Dlaczego przyszło tak du-
 żo panów milicjantów?
 — Żeby pilnować porządku.
 — Ale wojny nie będzie?
 — Nie będzie.
 — I nie będą rzucać kamie-
 niami?
 — Kto?

Brawa!
 — Jak powitamy kadry
 Piechniczka?
 Milczenie.
 — Nie wiecie?
 — Nieee!
 — Otóż powitamy ją gwiz-
 dami. Zrobimy próbę. Raz, dwa,
 trzy!
 Stadion, kilkadziesiąt tysię-
 cy ludzi, zagwizdał chóralnie,
 przesywając.
 — Bardzo ładnie — pochwa-
 lił konferansjer. — A teraz
 reakcja pozytywna, powitanie
 kadry Jarmarku. Raz, dwa,
 trzy!
 Stadion zaklaskał niemrawo.
 — Przetrenujemy teraz wiersz-
 zyk — wtracił z boku pomoc-
 nik konferansjera — Jarmark,
 jarmark trzymaj się, bo jak
 przegrasz, będzie źle!
 Powtórzono!
 Na bieżnie wypadły konie i
 kaskaderzy. Mareczek był za-
 dowolony, że może trochę od-

kich pecherzy sprawił ze tego
 dnia zanikły w olemieniu czło-
 wieczyń wszelkie przesady —
 runęły bariery obyczajów pan
 Wstyd z pania Godności
 czynił do innego miasta i
 obydwie zważnione dotąd płcie,
 oddawały naturze co należy w
 zgodnej, koedukacyjnej, nie
 pozbawionej pikanterii atmo-
 sferze.
 Ku szczerej uldze rodzica Ma-
 reczek nie skomentował incy-
 dentu, wczuwając się widocz-
 nie w trudne położenie orga-
 nizatorów (stadiony piłkarskie
 buduje się przecież dla meż-
 czyzn, nie dla kobiet, a jak
 która przyjdzie na mecz, to
 już wyłącznie jej zmarwienie),
 kiedy jednak z powrotem zasie-
 dlił na trybunie, wyjął notes
 i ku zdziwieniu taty zapisał u-
 kradkiem:
**MAM NA JANÓZKA PLAN
 ZASKOCZENIA.**
 Ojciec zamierzał poprawić
 karygodne błędy pierwszoklasy-
 ty, wiedząc skądinąd, że Janu-
 szek, kolega szkolny Mareczka,
 uchodził mimo swego młodego
 wieku za eksperta od spraw
 seksualnych, (wyrwało mu się
 kiedyś w obecności całej zde-
 tonowanej klasy, że jak ma-

Jarmark czyli zgoda płci

— Ci, co rzucał w telewizji.
 — W telewizji rzucał inni
 ludzie na innym stadionie za-
 granicznym. Nie bój się!
 Ale mały myślał.
 — Tata?
 — Co?
 — Milicjanci też są nieprac-
 dziwi?
 — Prawdziwi.
 — To czemu przyszli? Prze-
 cież mówisz, że wojny nie be-
 dzie.
 Ojciec westchnął. Z dwojga
 złego wolał już odrabić z synem
 matematykę, która w
 programie pierwszej klasy nie
 należy bynajmniej do zajęć łat-
 wych. Czerwony ze wstydu jak-
 ko że rodzinnej rozmowie przy-
 słuchiwało się już kilkanaście
 osób ubawionych do żywego i
 czyniacych pod nosem różne
 złośliwe uwagi, pracował nad
 ułożeniem jakiejś inteligentnej,
 choć niewatpliwie szalowanej
 odpowiedzi, która by mogła
 uspokoić skolatana wyobraźnię
 dziecka.
 — Wszyscy żartują — po-
 wiedział — Ogień donosa. Jest
 wesoło i spokojnie.
 Jakby dla zadania kłamliwym
 słowom rozległa się straszliwa
 kanonada i wybuch, od którego
 zadrzały trybuny. Rzekł-
 byś: ktoś rzucał na boisko
 bombe.

— Wojna — rzekł ponuro
 Mareczek, przyglądając się zes-
 połowi brytyjskiemu. Muzycy
 padli na deski estrady i grali
 teraz na leżaku, niby to zma-
 sakrowani przez żadnych krwi
 terrorystów. — Oni jeszcze ży-
 ją, tata?
 — Jakby nie żyli, to by nie
 grali.
 Mareczek przytaknął głową,
 zgadzając się poniekąd z bez-
 bednym tokiem rozumowania
 meczowca.
 — Ale są ranni — zauważył.
 — Ranni?
 — Tak.
 — Skąd ci to przyszło do
 głowy?
 — No bo leżą i się nadziera-
 ją?
 — Osobliwe słownictwo —
 mruknął z przekąsem ojciec —
 Nadzierają?!

— Afera! — zauważył pół-
 głosem nastolatek o bystrzych,
 niebieskich oczkach i pokrytej
 tradzikami twarzy. — Oni wca-
 le nie grają, tylko udają. Gita-
 ry nie są podłączone do wzma-
 cniacza, muzyka leci z play-
 backu. To samo, co by słuchać
 taśmy lub płyty. Za co tu pla-
 cić?
 — Za mecz!
 — Za deszcz, chciałeś powie-
 dzieć.
 Na estradzie odkurzonej przez
 drobny, lecz dokuczliwy mżaw-
 ke zjawił się po występie gita-
 rowców brytyjskich polski
 konferansjer o zdrowym i zde-
 cydowanym poczuciu humoru.
 — Przeciwno kadry Piech-
 niczka wystawimy kadry Jar-
 marku — wrzasnął. — Miał
 bronie szympana, ale rozchoro-
 wał się i będzie bronił koni. W
 rezerwie Jan Tomaszewski.

począć od scen, które mroziły
 krew w żyłach. Pokrzykiwał na
 wdzięczne koniki, oklaskiwał
 dzielnych jeźdźców ale nieba-
 wem scenariusz jarmarczny
 znowu nawiązał w prostej linii
 do brutalnych przejawów ży-
 cia na zachodzie.
 W gaziku, który okrażał bież-
 nie, siedziało pięciu czy sześciu
 zarośniętych osobników z pa-
 pierosami w zębach i butelka-
 mi wódki w ręce. Przed trybu-
 na honorowa jeden z owych
 ponurych stworów doniósł to co
 zostało na dnie i rabnął przez
 łeb flacha innego ponurego
 stworza. Trzask był autentyczny,
 lecz głowa okazała się twar-
 dza od szkła, które rozsypano
 się w drobny mak, podczas gdy
 zaatakowany kaskader — arty-
 sta wypadł z samochodu na
 boisko.

— To tylko żarty, Mareczku! —
 rzekł pośpiesznie nieszczęśliwy
 tata uprzedzając niejako pod-
 chwytiliwe pytanie dziecka.
 — Butelka była nieprawdzi-
 wa? — dociekał młodek natrac-
 na odpryski, których mimo
 zbliżającego się meczu nie ra-
 czono nawet pozbierać z bież-
 ni.
 — Chyba prawdziwa, ale...
 — Ale co, tata?
 — ...ten pan — stękał ojciec
 jest przyzwyczajony.
 — Żeby go bili w główkę?
 — Tak.
 Przyzwyczajony kaskader
 wstał, a jakże, o własnych si-
 łach, rozmasował łysiejący lek-
 ko zaczerwieniony czerep i za-
 częł gonić samochód z rozwrze-
 szczanymi pozorantami, którzy
 udawali chuliganów. Był nie-
 wątpliwie żywym człowiekiem,
 otrzymał autentyczne uderzenie
 najprawdziwszą butelką, więc
 Mareczek w żaden sposób nie
 mógł zrozumieć, czemu starsi
 śmieją się obracając wszystko
 w żart.
 — Tata?
 — Czego? — huknął ojciec,
 który miał już doprawdy do-
 syć całej tej cholerniej impre-
 zy. — Czego znowu, na miłość
 boską, chcesz?!

— Siusiu, — odpowiedział
 chłopczyk z prostotą.
 — Nie wytrzymasz? — testo-
 wał go z gasnącą nadzieją meż-
 czyzna.
 — Stusiu! — powtórzyło
 dziecko.
 — Chodź!

Było to widowisko miłe dla
 oka i dowcipne, o czym za po-
 średnictwem telewizji mogła
 przekonać się cała Polska. Da-
 riusz Szpakowski komentował
 ze swada, a Jan Tomaszewski,
 zapominając, iż jest to tylko
 gra pozorana, napisał się kilka-
 ma wspaniałymi, poradami. Wy-
 nik nie miał znaczenia — dla
 Mareczka przynajmniej kóre-
 go humor uleżał w trakcie me-
 czu zdecydowanej poprawie do
 tego stopnia, iż przeboleł wie-
 le luk i uchybień w programie,
 jak choćby to, że sławne zes-
 pęły muzyczne nie grały tylko
 udawały i że nie było przy-
 rzeczonych skoków na snodo-
 chronie. Za to kaskaderzy po-
 lewali się benzyna i ploneli jak
 żywe uchodnie.

Konferansjer, któremu nade
 wszystko odpowiadał nastrój
 grozy, pouczył widownię, co
 mają robić małe dzieci jeśli
 nie daj Boże zubi się którejś
 rodzicom. Oświadczył też, że
 panu Ryszardowi Tarasiewiczowi
 złodzieje okradli samochód.
 Pewnemu zaś fotoreporterowi
 walczący na kładce zapadnicy
 rozharatali górna wargę i chi-
 rurg musiał ją zszywać.
 Impreza na stadionie LKS
 byłaby genialna, gdyby powie-
 dziano wprost, że chodzi o ka-
 rykaturę widowisk sportowych.
 Komentarza tego jednak za-
 brakło — nie wyszło pewne
 intelektualne uogólnienie, któ-
 re jawnie prosiło o głos.
 Toteż trudno dziwić się Ma-
 reczkowi, iż zmarnotniał, kiedy
 na bieżni rozpoczęła się para-
 da różnych pojazdów — stra-
 szydeł, wśród których budziła
 ponure refleksje samobieżna
 trumna na kółkach.
 Młodek szarpnął ojca za ręk-
 aw i powiedział:
 — To fałszywa trumna, tato!

Ale rozszłoszczony mężczyzna
 pokręcił przekornie głową i
 huknął:
 — Prawdziwa!
 — Fałszywa! — zapłakał
 chłopiec, który miał już ma-
 kabry po dziurki w nosie.
 — Prawdziwa! — upierał się
 ojciec.
 — I kto w niej leży? — py-
 tało dziecko ze zgrozą.
 — Leży w niej, Mareczku,
 scenarzysta — pan, który ten
 jarmark wymyślił.

**ANDRZEJ
 MAKOWIECKI**



Foto: Grzegorz Gałasiński

Rafał Orlewski

Lasek Kurowski

Lasek Kurowski pod Wielunem
W porze przedwiosnia
W beziściłości
Jeszcze krzew zimy zgięty w pałąk
Gra chłodem na stopniałej stronie

Dziewczęca smukłość — z pól — topoli
Wciąż głaszcze pamięć gdy tu wchodzi
Ale spojrzeń wbrew mej woli
Nie chce pozostać tam
Przy drodze

I sus po susie gna przez rowy
Wiedząc że wiek w tej chwili minął
Jak sen powracam tu
Z dziewczyna
W przystromykowy łęg olszowy —

Sonata na ogień

Wokół twych źrenic torf zapłonął
Zrenicie — wilcze doly lipca
Skąd świerszcz allegro con passione
Taniec jaszczurek gra na skrzypcach

Stanełś we mnie zadziwieniem
Jak głóg się dziwi smakiem cierpkim
Ze wiek być może okamgnieniem
A mgnienie szczęścia — całym wiekiem

Na skrzyżowaniu naszych spojrzeń
Gad niepokoju syczy biało —
Jakże ugaszę wielki pożar
Na torfowisku oniemiałym

Aria brzozy

W kolumnach deszczu sływi piorun
Zamyka oczom błyskawicę
Zapala ciało starej brzozy
Na której jeszcze zmysł zieleni

Lecz piorun nie otwiera światła
Ostrogo jak przecięcie wężu
Bo stał się ogniem w słojach brzozy
I z nią już biegnie w zmysł czerwieni

I kiedy runie gmach deszczowy
Metal pamięci rdza pokryje
Albowiem deszcz potwierdzi ciemność
Brzozowych ramion zdjętych krzyżem

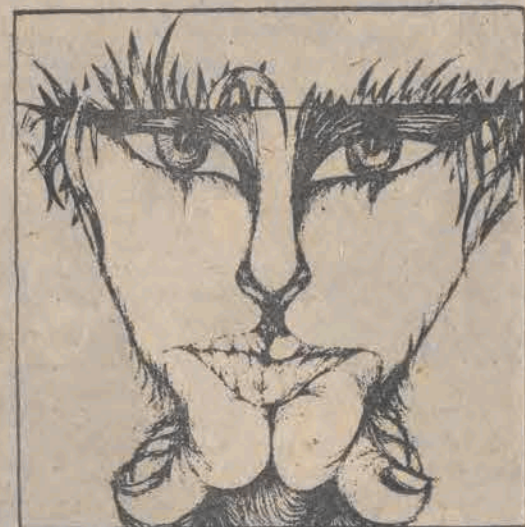
☆☆☆

Jeszcze niesie mnie pomruk
Niegdyś burzy
Ale kiedy się zbliżam
Słyszę tylko echo

Jeszcze sięgam po dotyk
Zielonym wspomnieniem
Lecz mgła pamięć zabiela
W palcach płasek chrząści

Jeszcze wiosna bezradna
W spóźnionym objęciu
Jakże teraz ją lubię
Skoro z krwi zakpiła

Biegnę za dnia obręczą
Stopy coraz cięższe
Obecny dzwoni po bruku
Cisza trawę przedzie



Rys. Zenona Pionk

8 ODGŁOSY

To jedno z fundamentalnych pytań literatury. Usiłuje na nie odpowiedzieć powieść Józefa Heny, posiadająca motto z wiersza Tuwima: „Milczące między nami stanie zjawą złowrogą...”. Zjaw można zauważyć tu kilka, a żaćna nie chce milczeć. Pierwsza to kontakty między Polakami i Żydami. Sprawa ta została ledwie dotknięta. A przecież na przykład problem

Byłoby zbyt proste, aby książka, która zapowiadała się na powieść polityczną, przekształciła się w zwyczajny romans. Próbuje więc Hen również takiego sposobu pisania, który określa się mianem powieści warsztatowej. Narrator trapią wątpliwości natury artystycznej: „Trzeba to pisać zupełnie inaczej. Idealem byłoby, gdyby czytelnik poczuł się przyłapanym. Gdyby czytając spiekił raka. «Ma mnie», tak powinien pomyśleć. «Skąd on to wie?»

którą nazywa „swoją dziewczyną” romansuje z przyjaciółką syna, sypia z żoną dygnitarza.

Nie będę zresztą wyliczał wszystkich jego przygód, aby nie zużyć przedwcześnie ewentualnego czytelnika. Nie tylko tym potrafi zadziwić. Zwolniony z pracy (redakcja poczytnego tygodnika) w ramach kolejnej wymiany ekipy nie decyduje się na podjęcie stałego zajęcia, bo i po co, skoro stać go na częste jadenie i picie w ekskluzywnych lokalach, skoro stać go na obypywanie ukochanej podarunkami. W jakiejś mierze tłumaczyć może go fakt, iż w latach, kiedy toczy się akcja powieści nie było jeszcze (przynajmniej oficjalnie) inflacji. A propos inflacji. Proszę mnie nie nie zrozumieć. Zartobliwy z lekka ton recenzji nie musi oznaczać, iż mamy do czynienia z literacką inflacją. Pewne sytuacje czy chwytły, nie starzeją się nigdy, ani w życiu, ani w literaturze. Zwłaszcza gdy dotyczy uczuć, bądź nawet zimnego seksu. Powtarzając odwieczną prawdę, iż miłości trzeba szukać, a gdy się ją już znajdzie to połączy ona mężczyznę i kobietę na krótki na ogół czas, przypomina Hen również, że za chwilę szczęścia trzeba będzie zapłacić. Wszystko jedno, jaką walutą. Tragiczne, choć niezapewne jasne, zakończenie „Milczące między nami” nie pozostawia najmniejszych złudzeń. Dobrze, że w końcu pisarz okazał się bezlistny wobec swego bohatera, bo przecież niewiele brakowało, a otarlibyśmy się o granicę kiczu. Kicz zaś w życiu bardziej jest straszny niżli w literaturze.

Wspomniany już mistrz pióra z wykładem: „Pan autor strzela, a Pan Bóg kule nosi”. Tak było chyba tym razem. Przypuszczam, iż co innego Józef Hen zamierzył, co innego się ukazało. Ale czyta się dobrze.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

Józef Hen: „Milczące między nami”. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1984, s. 391, nakład 20.000 + 250 egz., cena zł 300.—

Co łączy mężczyznę i kobietę?

żony Żydówki i wspólnych dzieci niekoniecznie musi być czymś powierzchownym, zwłaszcza w momentach różnorodnych napięć. Problem ów staje się w książce Hena wątkiem pobocznym, raczej aluzyjnym. Choć życie ciągle doń wraca — powieść Hena ukazała się w momencie, kiedy z burzeniem mówi się o niektórych tendencyjnych scenach ostawionego filmu Claude Lanzmanna „Shoah”. W każdym razie „Milczące między nami”, rozpoczęte jako powieść o roku 1968 przekształca się nagle a skutecznie w klasyczną love-story. Opowiada o namietności, z której wyrasta szalona i tragiczna miłość podziusiałego mężczyzny do urokliwej młodej mężatki. Wiadomo, że z takich układów nic dobrego na ogół nie wynika. Podobnie jest i tutaj — sprawdzony Don Juan podczas próby pojęcia z wybranką staje się impotentem. Teraz wyłania się problem: jak stać się na powrót stuprocentowym mężczyzną? I to jest ta właściwa złowroga zjawia, która połączyła mężczyznę i kobietę w powieści Józefa Heny. Owo studium utraty i odzyskania męskości uważa należy za interesujące, z pewnością bowiem dorównuje siennemu „Sprzysiężeniu” Stefana Kisielewskiego, zaś powieści Włodzimierza Sokorskiego wyraźnie przewyższa.

Kto mu, draniowi, to wszystko podszeptają? Ale jeśli poczuje się przyłapanym, to zareaguje oporem. Rzuci książkę po kilkudziesięciu stronicach. Czyli ideałem byłaby książka, którą czytelnik odrzuci. A więc pisać tak (idąc dalej tym kierunkiem rozważań), żeby nie być czytany. Ale to byłaby śmierć książki. Więc iść na ustępstwa? Jakże? Gdzie jest granica kompromisu? Ze swymi wątpliwościami zwraca się więc narrator do przyjaciela, znanego pisarza, laureata nagrody państwowej. Mistrz pióra przechodzi nad tym wszystkim do porządku dziennego. Powiada: „Stary, jeszcze tylko my umiemy kochać kobiety — one coś takiego jak twoja miłość znają wyłącznie z książek. Dłabelnie są spragnione uczuć. Często mi ludzie mówią: «Niech pan coś napisze o miłości». Mają na myśli nie turanie się po pościeli, ale love-story. Wystarczy zatytułować książkę *Opowieść o miłości* i zapotrzebowanie na sto tysięcy nakładu murowane (...). Będą recenzje, wywiady, fotografie. Może dodatkowy nakład. Każdy to lubi, każdemu to jest potrzebne, choćby nie wiem jak wierzył”. Tymczasem narrator konserwujemy męskozna (uczestnik jeszcze walk w Hiszpanii) przeżywa kolejną młodość. Uwielbia młodą mężatkę,

„Miscellanea Łódzkie” raz jeszcze

Do mojego zbioru „reference books” poświęconego Łodzi trafiły kolejne zeszyty „Miscellanea Łódzkie”. Do ich jednolitej formy zdążyli się już przyzwyczaić czytelnicy pisma, tyle że nie bardzo wiedza jak nabyć i gdzie, jeśli już nie całość publikacji, to przynajmniej interesujące ich zeszyty.

W „Słowie wstępnym” do 6 zeszytu Małgorzata Laurentowicz-Granas przedstawiła określony program Muzeum Historii Miasta Łodzi, pokrywający się też z koncepcją pisma: „Rejestrowanie kultury wydarzeń przeszłych i współczesnych, a także stymulowanie kultura i wplywanie na jej rozwój sprawia, że przedmiotem zainteresowania jest wielotematyczny obszar zagadnień. W myśl tych założeń Muzeum Historii Miasta Łodzi nie tylko zabezpiecza pamiętki przeszłości, ale z całą intensywnością i świadomością uczestniczy w dniu dzisiejszym, który już jutro będzie historia”. Ta właśnie świadomość wytycza zarówno kierunki działania muzeum jak i omawianego tu wydawnictwa.

Mimo pozornego rozrzutu treści ostatnich zeszytów przestrzegana jest w nich zasada przetrwania pomostów między przeszłością a teraźniejszością, nawet jeśli przeszłość ta jest nieodległa, a teraźniejszość nie wyznacza ścisłej cezur w chronologii. Wydawcom zależy, by w ich przedsięwzięciu edytorskim uczestniczyli interdyscyplinarni twórcy kultury, fachowcy różnych specjalności, nie zawsze profesjonalnie związani z muzeum.

Kolejne zeszyty (4 i 6) „Miscellanea” (5 ukazał się nieco wcześniej i był omawiany na łamach prasy) są w zasadzie monotematyczne. W numerze 4 Jerzy Poradecki w esaju „Poetyckie gry z czytelnikiem” analizuje wiersze czterech łódzkich poetów: Andrzeja Biskupskiego, Jerzego Jarmołowskiego, Mieczysława Kucnera i Ziemowita Skibińskiego, którzy wywodzą swą twórczość z tradycji romantycznej przetwarzając ją składniki tradycyjnnej frazeologii i poetyki w nowoczesny kształt nośników poetyckiego przekazu.

Monika Chybowicz-Brożyńska odwołuje się w tymże zeszycie do źródeł inspiracji twórczej Edwarda Stachury. Artykuł „Twórczość Edwarda Stachury, czyli postawa Zen w sztuce” stwarza nową możliwość interpretacji tekstów przed-

wcześniej zmarłego pisarza zauroczonego filozofia Wschodu.

Artykuł Jolanty Błaszowskiej „Łódzkie oficyny drukarsko-księgarskie i ich działalność wydawnicza w latach 1860—1939 (wybrane zagadnienia)” miał być kłamrą spinającą czas „między dawnymi a nowymi laty”, okazał się jednak niewypałem. „Wybrane zagadnienia”, to w gruncie rzeczy dowolnie wybrane fragmenty biografów zawartych w „Słowniku pracowników książki polskiej” (1972), a i te przepisano z tak absurdalnymi błędami, że nawet wymienianych tu nie sposób. Dobrze chęci autorki nie poszły w parze z elementarną choćby wiedzą z zakresu produkcji wydawniczej i jej specyfiki w różnych okresach rozwoju książki w Polsce.

Wysoko oceniam 6 zeszyt „Miscellanea”, wypełniony w przeważnej części przez „Katalog projektów konkursowych” dwóch ośrodków parafialnych: parafii na Widzewie pod wezwaniem Matki Boskiej Jasnoogórskiej, jako lokalnego ośrodka kultury maryjnego oraz parafii na Dąbrowie pod wezwaniem św. Maksymiliana Kolbego. Laureatami konkursu na ośrodek parafialny dzielnicy Widzew-Wschód zostali warszawscy architekci: Stefan Kuryłowicz i Waldemar Szczerba, zaś zwycięzca konkursu na koncepcję ośrodka parafialnego w dzielnicy Dąbrowa łódzianin mgr inż. arch. Witold Miłto. Rozstrzygnięte w 1981 r. konkursy na budowę sakralne daly okazję do rozważań o architekturze sakralnej w aspekcie historyczno-teoretycznym (artykuł Jakuba Wujka „Niepewność w cieniu tradycji”) i ocenie planu konkursów (artykuł Henryka Jaworskiego „Niektóre problemy projektowania architektury sakralnej na tle dwóch konkursów na ośrodki parafialne w Łodzi”). Losy łódzkich kościołów podczas okupacji hitlerowskiej przedstawił Marek Budziarek w źródłowo udokumentowanym artykule „Wojenne losy kościołów łódzkich (1939—1945)”.

„Miscellanea Łódzkie” trwale zapisują się w dzieło upowszechniania dawnej i współczesnej kultury duchowej i materialnej i życzyć im należy dalszej, owocnej kontynuacji.

ANDRZEJ KEMPA

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko — obyczajowa

POD AUSTRIACKĄ OKUPACJĄ

Jeszcze przed ostatecznym ratyfikowaniem traktatu rozbiorowego (1772) Austriacy zajęli północno-wschodnie stoki Karpat i przyleżały do nich równiny z miastem Lwocwem. W ślad za regularną armią podawali na teren późniejszej Galicji i Lodomerii urzędnicy cesarscy, czereda rozmaitych landratów i kreishauptmannów; traktujących mieszkańców tych ziem jak ludność podbitego kraju. Zaciskał że w bezsilnym gniewie imć Franciszek Karpiński, gdy opisywał w Krasnymstawie w 1787 r. przejazd takiego właśnie urzędnika. Opis ten wydobynam z listu Karpińskiego do podkanclerzego litewskiego Joachima Litawora Chrentowicza:

Ustąpicie, jedzie przez miasto! Strojno, szumno, pętlaczasto! Sama jeźmość pełna sadła, Jakby naraz wolu zjadła, Może ważyć trzy cetnary, Prócz ogromnych cyców pary. Tuż przy niej pociechy tube, Dwoje przy boku Spitzbube.

Ostrzej zareagowała ponoć Katarzyna z Potockich kasztelanowa Kamińska na dworze cesarskim, gdzie zapytana, jak się jej podoba Wiedeń, odpowiedziała:

— Bardzo mi się podoba. Od ostatniego mojego tu pobytu, Wiedeń się znacznie upiększył. Uważam, że od czasu zajęcia Galicji, mieszkańcy kraty z okien powijmowali, bo tych, których się obawiali, wysłano na urzędników do Galicji.

Też samej Kossakowskiej przypisuja słowa, wypowiedziane do cesarza Józefa:

— W Galicji nie ma papierni, a Wasza Cesarska Mość tyle nam galganów przesłała.

Innym znów razem, gdy bardzo się pani Kossakowskiej nanrzykali komisarze cyrkulowi, postanowiła się ich pozbyć raz na zawsze lub przynajmniej nauczyć morenu. Pisze Stanisław Kunasiewicz: (Pani Kossakowska) rozkazała w swoim bawialnym pokoju zawiesić dwa portrety: cesarowej Marii Teresy i cesarza Józefa II, dawszy zarazem sekretny rozkaz jednemu hajdukowi, na to umyślnie przeznaczonemu ażeby pilnował, iżby każdy wchodzący do tego pokoju uczcił portrety monarchów. Była to wyborna samolówka na Niemców. Skoro bowiem tylko pierwszy z nich wszedł do pokoju z kapeluszem na głowie, hajduk nauczonemu powie dział mu, ażeby znał uszanowanie dla miejsca tego.

— Scheln, Polak, stille! — brzmiała odpowiedź.

— Zdejm kapelusz, kiedyś tu wszedł! — przestregal hajduk.

Daremnie jednak Niemiec bowiem lekceważąc przestrozę, nie zdjął kapelusza z głowy. Wówczas hajduk zniecierpliwiony wyciął mu silny policzek, mówiąc:

— Nawet się szanować wizerunki swych monarchów! — i z głowy kapelusza rzucił mu na ziemię.

Takimi to sposobami uczyła pani kasztelanowa Niemców grzeczności. A i dodawać nie potrzebujemy, że urzędnik nie śmiał skarżyć się nawet o policzek.

CO SIĘ KOMU PODOBA

Jan Sapieha, wielki kanclerz litewski, często mawiał, iż pieś jest rzecz, które się każdemu podobają czelku, to jest: suche drwa do palenia, koń doświadczony do jeżdżenia, stare wino do picia, dawni przyjaciele do biesiady, a stare książki do czytania. (Zbranie gładkich i dowcipnych powieści (1790)

JĘZYK KIJOWSKI

W czasach, gdy jeszcze w Kijowie mieszkała liczna kolonia polska, język ojczysty ulewał w tym mieście zabawnym metamorfozom, które dostrzegł i opisał Tadeusz (Tadeusz Pusłowski) w rzadkiej dziś broszurze „Koszalki, opaki i kijowskiej kobiałki” (Kijów 1911):

...prytaczamy tu kilka ciekawych zwrotów, sądząc, że dadzą one możność zorientowania się każdemu przybyszowi Polakowi, którego losy rzuca na bruk Kijowa.

Jeśli więc, oboktrajowce, nadobna kijowianka będzie przekonywała ciebie, mówiąc: „Możesz się pan na mnie polożyć”, nie przypuszczaj, iż jest to pronozycja godna żony Putyfara i nie uważaj siebie za biblijnego Józefa. Kijowianka w tym wypadku pragnie tylko zapewnić, że możesz jej zaufać, że tłumacząc zwrot na język polski „możesz pan na mnie polegać”.

I jeśli usłyszysz z ust kobiety, iż „jechała na zwoszczyku”, nie posiadaj jej o jakiejś zбочenie erotyczne, bo przez ten zwrot określa ona fakt iazyd dorozka.

Również mężczyzna kijowianin twierdzący, że „Jeci na Przerznięta”, nie zasługuje na potępienie. Zaiste, jest on przykładnym małżonkiem lub zdecydowanym zwołennikiem monogamii. Używa czasownika „Jecie” nie w znaczeniu: „czuć pocał miłosny do jakiejś Przerzniętej”. O nie! On chce jedynie powiedzieć, że interesy zmuszają go do pośpiechu, więc: „biegnie na ulicę Prorezną”.

Opracował: **ANDRZEJ KEMPA**

NR 25 (1421), XXVIII, 22 CZERWCA 1985 R.

W terminie od 26 kwietnia do 20 maja br. łódzki Teatr Wielki, odbył długie tournée po RFN, Austrii i Szwajcarii, z „Baronem cygańskim” Johann Straussa II. Było to jedno z najdłuższych i najtrudniejszych tournée artystów łódzkiej opery i baletu. W ocenie zachodniemieckiego kontrahenta i zachodniej publiczności — „Baron cygański” w polskim wydaniu bardzo się podobał.

W jednej z recenzji (gazeta „Fürthener Nachrichten” z dnia 15 maja br.) czytamy:

„Z wielką przyjemnością należy zaznaczyć, że gościnny występ Teatru Wielkiego w Łodzi był przyjemną niespodzianką a i wrecz zachwycał.”

Wszystkie trzy akty tonu w symfonii baro, wzbudziły szczerą zachwyt zawsze pełnej widowni.”

A jak wspominają, oceniają tournée jego bohaterowie — artyści-solisci, odtwórcy czołowych ról?

W rozmowie dla Czytelników „ODGŁOSÓW” zespół wykonawców „Barona cygańskiego” reprezentują: primadonna teatru, odtwórczyni głównej partii kobiecej (Saffi) — TERESA MAY-CZYŻOWSKA, jej znakomity partner tenor (Sandor) — JERZY WOLNIAK, odtwórcy partii drugoplanowych: sopran liryczno-koloraturowy (Arsena) — SYLWIA MASZEWSKA, baryton (hrabia Carnero) — EUGENIUSZ NIZIOŁ.

ŚPIEWALIŚMY W OJCZYZNIE OPERETKI...

Rozmowa z TERESĄ MAY-CZYŻOWSKĄ

— Pani Tereso, o ile wiem, nie lubi pani podróży i nie najlepiej jej znosi?

— Zgadza się, nie lubię podróży, szczególnie podleganie. Na tournée pojedynczymi autokarami, przebywając trasę ok. 7 tysięcy km, z długimi postojami na granicy, bo kontrolne paszportowe trwały zwykle kilka godzin. Pierwszy, krótki postój był w Legnicy, przyjechaliśmy tam bardzo późno, a trzeba było wstać bardzo wcześnie, bo o 5 rano. Najbardziej męczące była podróż powrotna, którą odbyliśmy tuż po przedstawieniu, po godz. 23.00, aby nie zatrzymując się, a przekraczając dwie granice, wykończeni znaleźć się dnia następnego około godziny 15 pod Teatrem Wielkim w Łodzi.

— Który to już pani wyjazd zagraniczny z Teatrem Wielkim?

— Miałam ich niewiele, bo tylko dwa: do Gruzji i RFN.

— Partię Saffi w „Baronie cygańskim” śpiewa pani od łódzkiej premiery?

— W obsadzie „Barona cygańskiego” byłam od początku, brałam udział we wszystkich próbach przedpremierowych, ale termin premiery zbliżył się z moim wyjazdem do Japonii, gdzie śpiewałam „Halkę” w Tokio. Po powrocie i po urlopie weszłam w partię Saffi, którą w ciągu 10 lat zaśpiewałam kilkadziesiąt razy. Ale nie jestem nią ani znudzona, ani zmęczona, bo widzę, że publiczność bardzo gorąco przyjmuje ten spektakl, wciąż zapamiętując widownię w komplectach.

— Na jakim miejscu wśród swoich licznych partii operowych plasuje pani operetkową Saffi?

— Biorąc pod uwagę wszystkie dotychczas wykonane partie operowe, Saffi na pewno jest jedną z mniej wyczerpujących mnie partii, choć potrzebna jest pełna dyspozycja wokalna. Ale to moja subiektywna ocena, bo wiem, że ta rola zaliczana jest do trudniejszych partii sopranowych. Operetka „Baron cygański” ze względu na wymogi wokalne poszczególnych czołowych partii często jest wyzwaliana w operze.

— Jak przyjmowała panią w roli Saffi publiczność zachodniemiecka, austriacka, szwajcarska?

— Wydaje mi się, że najlepiej przyjmowała nas publiczność szwajcarska, reagując na dowcipy słowne i rozumiejąc to o czym śpiewaliśmy. Na widowni można było zauważyć wiele uśmiechniętych twarzy. Szwajcarzy byli najbardziej rozluźnieni. Trochę trudniejsza była publiczność austriacka, mniej żywo reagująca podczas spektaklu, ale przy finale spontanicznie objawiająca swoje zadowolenie. Należy pamiętać, że Austria to ojczyzna operetki. Ogólnie rzecz biorąc, odbiór zachodniej publiczności był różnorodny, jeżeli chodzi o poszczególne miasta i zależało to nie od kraju, lecz właśnie od miasta.



Teresa May-Czyżowska



Jerzy Wolniak



Sylwia Maszewska



Eugeniusz Nizioł

Po tournée...

— Ale nie występowałeś na typowych scenach teatrów operowych, lecz w salach w których odbywają się różne imprezy. A wiadomo, że miejsce w jakim się śpiewa ma swoje znaczenie?

— Tylko raz śpiewaliśmy w typowej sali operowej w Teatrze w Fürth, gdzie dałmy trzy przedstawienia. Zupełnie inna, ale bardzo piękna była sala w Marktoberdorf. Wszystkie sale mieściły się w nowoczesnych gmachach i były ogromne, bo liczące kilka tysięcy miejsc. Tylko z zapleczem bywało różnie.

— Tournée było więc nie tylko długie, ale i męczące?

— Chyba najbardziej z dotychczasowych, ja za najudniejszy dzień wspominam 7 maja, kiedy to po przejeździe 500 km podróży w upale, przyjechaliśmy do Bonn i po bardzo krótkim czasie przeznaczonym na zakwaterowanie i wypocinek, musieliśmy się udać w tym samym dniu do Solingen (100 km dalej) na przedstawienie, a po nim wrócić do Bonn. Bardzo często jeździliśmy po kilkaset kilometrów dziennie, rzadko zdarzało się, że hotel był tam, gdzie występowaaliśmy. Warunki hotelowe różne. Wciąż się rozpakowywaliśmy wieczorem i pakowaliśmy rano.

— A czas na zwiedzanie, zakupy?

— Nie było na to praktycznie czasu, tylko raz w jednym dniu wolnym zawieziono nas do Bonn na zakupy, w Norwimberdze na zwiedzanie mieliśmy 3 godziny czasu. To wszystko w ciągu 4 tygodni.

— Sa jeszcze wrażenia turystyczne, których podczas takich atrakcyjnych wojaży nie brakowało?

— Faktem jest, że była to wspaniała wycieczka, która dostarczyła najpiękniejszych wrażeń i to właśnie pozwalało znieść o wiele przyjemniej te ciągle i długie podróże. No w Szwajcarii zapierała dech, gdy oglądało się z okien autokaru widoki — góry, doliny, zasłoneżone lasy, przełęcz, wadłuki. W Austrii zastana nas widownia i cudownej piękności Jezioro Bodenské położone wśród gór w RFN — góry, doliny, malowniczo położone miasteczka. Było na co patrzeć.

— Co dają nawet tak renowanej śpiewaczce jak pani zagraniczne wojaże?

— Okazję sprawdzenia się przed obcą publicznością, jeśli ona akceptuje śpiewaka, wtedy satysfakcja jest pełna. Ponadto był to dla mnie i kolegów sprawdzian umiejętności i grania „Barona cygańskiego” w języku niemieckim.

— Podobno zostaliście ponownie zaproszeni do tych krajów?

— Tak.

— A zanim to nastąpi?

— Przygotowuję partię Donny Anny w „Don Giovannim” w reżyserii Ryszarda Peryta.

BARDZO SIĘ STARALIŚMY...

Rozmowa z JERZYM WOLNIAKIEM

— Lubi pan swojego Sandora Barinkaya z „Barona cygańskiego”?

— Bardzo, zwłaszcza po tym tournée, choć do operetki jako gatunku muzycznego mam różny stosunek. Sandor jest postacią pełną temperamentu, życia, uśmiechu, a ja ostatnio jestem pełen uśmiechu.

— Kiedy zaczął pan śpiewać tę partię?

— Będąc studentem Wydziału Wokalno-Aktorskiego AM w Łodzi, byłem na premierze „Barona cygańskiego”, w której Sandora Barinkaya śpiewał mój profesor Tadeusz Kopacki. Nie przypuszczałem, że będę go dublował w tej roli w 1981 roku. Wokalnie przygotowałem partię sam, sytuacyjnie przy pomocy asystenta reżysera.

— W niemieckiej wersji językowej śpiewał pan tę partię po raz pierwszy?

— Tak, na początku nie było łatwo, bo nie znam języka niemieckiego. Partii uczyłem się według zapisu fonetycznego. Na pierwszych próbach śpiewałem mi się w języku niemieckim bardzo ciężko, a nie miałem czasu aby jak inni koledzy skupić się tylko na tej pracy. Tournée śpiewa mi się tę rolę łatwiej niż po polsku.

— W RFN, Austrii i Szwajcarii był pan po raz pierwszy?

— W Austrii i Szwajcarii byłem po raz pierwszy, w RFN po raz piąty, licząc przesłuchania wokalne do zachodniemieckich teatrów i gościnne występy teatru z „Don Pasquale”.

— Jak znalazł pan publiczność tych krajów?

— Najlepsza była publiczność szwajcarska, bo reagowała najbardziej serdecznie i spontanicznie. W Austrii i RFN też przyjmowano nas dobrze, choć z innego rodzaju temperamentem. Najbardziej denerwujące było pierwsze przedstawienie, bo nie wiedzieliśmy jak będziemy przyjęci z uwagi na śpiewanie i mówienie w obcym dla nas języku. Wielkim sukcesem były informacje, że ta publiczność rozumie nas lepiej niż swoich artystów, którzy mówią niewątpliwie, podczas gdy my bardzo się staraliśmy mówić dobrze, czysto i w języku literackim. W dobrym samopoczuciu utwierdziły nas brawa po każdej arii, każdym duecie. Stał się nam bardziej rozluźnieni i śpiewaliśmy bez oporów. Tak było do końca tournée.

— Na tournée jechaliście zgodnie z zapotrzebowaniem zachodniej publiczności, która lubi operetki. Jak bardzo?

— Operetki są wystawiane na Zachodzie w najlepszych teatrach z udziałem największych gwiazd operowych, wybitnych dyrygentów i scenografów. W Metropolitan można zobaczyć „Wesołą wdówkę” lub „Zamęt w niepojęciu”. Zachodni impresariowie kupują tylko to, co jest dobre.

— Ale niemiecka wersja „Barona cygańskiego”, którą oglądałem tuż przed Waszym wyjazdem, była uboższa i słabsza artystycznie od tej, którą przez lata całe prezentowaliście łódzkiej publiczności?

— Scenografia, chór i balet, musiały być dostosowane do warunków objazdu, „Metropolitan Opera” w Nowym Jorku też przygotowuje mniejsze skromniejsze wersje swoich niektórych przedstawień na objazd Ameryki. Należy pamiętać, że tak dużych scen jak nasz Teatr Wielki jest tylko kilka w Europie, a więc musieliśmy być przygotowani na mniejsze sceny, choć widownie były ogromne. Na Zachodzie nie ma aż tak wielu teatrów operowych, ale są liczne sceny przystosowane do wystawiania spektakli operowych, operetkowych, dramatycznych, baletowych, widowisk estradowych. W Polsce przyzwyczailiśmy się, że wsy-

stko musi być duże, wystawie, wielkie, bogate, zapominając czasami, że może wystarczyć to, że przedstawienie jest dobrze zagrane i zaśpiewane. Było chyba dobrze, skoro podobał mi się i wszędzie zbieraliśmy wysokie oceny. Występowałem w teatrach, w których programach można było wyczytać, że śpiewały tu wielkie gwiazdy światowej opery, wymieniacz tylko dwóch tenorów Domingo i Carrerasa.

— Czyli?

— Pod względem artystycznym było to bardzo udane tournée, czego potwierdzeniem jest ponowne zaproszenie tego samego zespołu na występy w roku przyszłym.

— A zanim to nastąpi?

— Mam przed sobą cztery zagraniczne konkursy wokalne: w Busseto, Wiedniu, Vervies, Barcelonie oraz zaproszenia na występy zagranicą.

LUDZIE BYLI POGODNI I UPRZEJMI...

Rozmowa z SYLWIĄ MASZEWSKĄ

— Łódzki „Baron cygański” po niemiecku był dla pani premierą, a więc przeżył podwójnym?

— Każde wejście na scenę, nawet w roli już opracowanej, jest dla mnie wielkim przeżyciem. W przypadku „Barona cygańskiego” najbardziej zaskoczył mnie sam fakt obsadzenia w partii Arsena, podczas gdy w polskiej wersji nie grałam. Ta partia jest bardzo łatwa do przygotowania, nawet w obcym języku nie stręczała mi trudności.

— Pani lubi takie role?

— Nie, ale każda partia rozwija śpiewaka pod względem artystycznym. Szczególnie odpowiada mi postać o wielkim ładunku emocjonalnym, dramatyczne w wyrazie, w przebiegu scenicznym problemowe, choć nie od strony wokalne, bo jestem sopranem liryczno-koloraturowym.

— A strona aktorska?

— Zawsze uważałam, że aktorstwo jest równie ważne jak wyszkolenie głosu, dlatego po średniej szkole muzycznej (wydział wokalny) w Krakowie wybrałam nie Wydział Wokalny Akademii Muzycznej, lecz 4-letnie studia w znanym Studio Wokalno-Aktorskim w Gdyni, prowadzone przez Danutę Badaszkową. I nie żałuję. Pełnogłog wokalny pozostał ten sam, a była nim Halina Mickiewiczówna. Nauka w Studio dała mi możliwość opanowania warsztatu aktorskiego m.in. u Henryka Bisty. Zbigniewa Bodęńskiego, Ryszarda Ronczewskiego, Teresy Lasoty. Ponadto — kreując jakąś postać wcielam się w nią bez reszty.

— Jak przyjmowali panią w tej roli widzowie niemieccy, austriaccy i szwajcarscy?

— Najgorętsza była publiczność szwajcarska, podobnie austriacka. Niemcy są bardziej powściągliwi w reakcjach, niemniej na końcu spektaklu nagrodzili nas rzęsistymi brawami, choć zależę w jakim regionie kraju.

— A porównując ich reakcje z odbiorem Polaków?

— Nie potrafię tego porównać, bo nawet wśród Polaków są różne reakcje, w zależności jaka grupa ludzi ogląda dany spektakl. Najbardziej spontaniczni są Włosi, przed którym występowałam w 1984 roku.

— Czego nauczyła się pani podczas tak długiego tournée?

— Może raczej wiele zobaczyłam, poznałam. Poza pracą, która była ciężka, była to dla mnie uroczna wycieczka w sympatycznym towarzystwie. Miałam okazję bliżej poznać kolegów z teatru, jako że w Łodzi pracuję od niedawna.

— Nie zauważyła pani istotnych różnic między pracą tam a tu?

— Nie widziałam jak pracują śpiewacy w tamtych teatrach, nie było takiej możliwości. Moja mobilizacja była taka sama jak przed każdym przedstawieniem w kraju i za granicą, choć tu towarzyszył mi większy luz niż podczas występów na Sycylii.

— O pani wielkim sukcesie na Sycylii pisano i mówiono dużo i głośno?

— Na Sycylii występowałam z Teatrem Muzycznym w Szczecinie, śpiewając po włosku partię Violetty w „Traviacie”, na zaproszenie Centro Iniziativa Musicale. Śpiewałam tam co drugi dzień i było to bardzo wyczerpujące, ze względu na ciężar i odpowiedzialność tej roli. Cały czas przebywałam w hotelu, gdzie „hodowałam” głos. Z tournée sycylijskiego miałam większą satysfakcję, bo patnia Violetty bardziej mi odpowiadała emocjonalnie.

— A tuż po powrocie z obecnych wojaży?

— Wyjechałam do Szczecina, do Teatru Muzycznego, na gościnne występy w „Traviacie”, tym razem ze współtętnym polskim tenorem światowej sławy Ryszardem Karczykowskim w partii Alfreda, który swego czasu też śpiewał w Szczecinie. Było to niezapomniane przedstawienie i ogromne przeżycie.

— Doświadczenia z tegorocznego tournée zapewne zaprezentują przy wyjeździe za rok?

— Postaram się zabrać za intensywny kurs języka niemieckiego, aby móc wygrać niuanse tekstowe. Ponadto bardzo lubię podróże i sprawdzanie się wobec innej nieznannej mi publiczności. To pomaga i odświeża.

— Koledzy nie mieli czasu na zwiedzanie, a pani?

— Troszkę go znalazłam, bo grałam co drugi dzień, a czasami 2-3 dni pod rząd, aby mieć kilka dni wolnych, dla siebie. Najbardziej podobala mi się Szwajcarii, z uwagi na klimat, widoki, ludzi i spokój który tam panuje.

— Co najbardziej utkwiło pani w pamięci?

— Jazda, jazda, bez końca, która wtedy wydawała się męczącą, ale we wspomnieniach jest przyjemnością.

— Co panią zaskoczyło i zdziwiło?

— Podobało mi się to, że ludzie byli pogodni i uprzejmi.

— A teraz szara, polska rzeczywistość?

— Nie jest ona taka szara. Jeżeli kocha się ludzi i muzykę.

MIMO WSZYSTKO SATYSFAKCJA JEST DUŻA...

Rozmowa z EUGENIUSZEM NIZIOŁEM

— Ile lat śpiewa pan w „Baronie cygańskim”?

— Od czasu pramiery, czyli 10 lat, od roku śpiewam Hrabiego Carnero sam.

— Niemiecka wersja językowa nie nastęrczała panu trudności przy nowym opanowaniu roli?

— Języka niemieckiego uczyłem się w liceum, później starałem się stale być w kontakcie z tym językiem, śpiewałem po niemiecku podczas występów teatru w RFN i Finlandii. Partię Carnero w „Baronie cygańskim” opracowałem po niemiecku sam i w krótkim czasie.

— W którym z odwiedzianych przez Was krajów przygotowała najlepszą organizację spektakli i samego pobytu?

— Chyba w Szwajcarii, ile mieliśmy staly pobyt w hotelu przez 5 dni i wszędzie nas dowożono. Organizacja pobytu i przedstawień wszędzie była dobra, dominowała sprawność i punktualność.

— Gdzie oklaskiwano Was najmocniej?

— W mieście Fürth koło Norymbergi, gdzie na budynku teatru wywieszono polską flagę.

— A najchłodniej?

— Wszędzie byliśmy serdecznie przyjmowani, chłodniej było „przejście” pierwszego przedstawienia w Bawarii, ale następnie prawie gorące.

— Czy zauważył pan różnice w odbiorze publiczności tych trzech narodowości?

— Nie zauważyłem, jeżeli już to w tym samym kraju, ale w innym mieście, w innym teatrze.

— Czy zdążył pan zauważyć, jakie gusty operowe mają zachodni widzowie?

— Do tej pory przyjeżdżali tam teatry z przedstawieniami w języku włoskim i widzowie przyjmowali je chłodniej. Łódzki teatr był pierwszym, który przygotował spektakl w języku niemieckim i za to dziękujemy nam dodatkowo. Nie był, czasu na oglądanie innych przedstawień operowych, tym bardziej, że swoją rolę wykonywałem sam, codziennie. Jedno jest pewne, że tamci widzowie ważną, lubią i chętnie oglądają „Barona cygańskiego” na scenie. Świadczy o tym frekwencja na naszych spektaklach. Wielu widzów wykupiło stojące miejsca i przosono nas o dodatkowe przedstawienia.

— Ogólne wrażenia z tego pobytu?

— Mimo trudów podróży, braku czasu wolnego na zwiedzanie, satysfakcja jest duża. Zespół poznał się i zgrał ze sobą, co jest bardzo ważne. Na przedstawieniach panowała duża dyscyplina, przebiegały one zgodnie z planem. Nikt nie chorował. Jeśli chodzi o mnie, to do tej pory nie grałem tego samego przedstawienia 19 razy pod rząd, ale za to nauczyłem się dodatkowej koncentracji.

— Najmilsze wspomnienie?

— Powrót do kraju.

— Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Polemiki • Listy • Opinie

PROCES O „WRZÓD”

Przed kilkunastoma dniami redakcja „Odgłosów” otrzymała z Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL w Łodzi pismo następującej treści:

POSTANOWIENIE

W sprawie skargi Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi przeciwko red. Edwardowi Brylowi, współpracownikowi tygodnika „Odgłosy” w Łodzi.

W wyniku prowadzonych czynności wyjaśniających oraz po zapoznaniu się z materiałami dostarczonymi przez Wojewódzką Stację Pogotowia Ratunkowego w Łodzi, z publikacjami na ten temat drukowanymi w tygodniku „Odgłosy” i „Przegląd Tygodniowy”, a także powołując się na art. 8 Dziennikarskiego Kodeksu Obyczajowego — zawieszam dalsze postępowanie w wymienionej sprawie.

Jak wynika z publikacji w tygodniku „Odgłosy” pt. „Proces o Wrzód” (nr 17/1413 z 27 kwietnia 1985 r.), w toczącym się równoległe procesie strony zawarły przed sądem ugodę. Porwała to domniemywać, iż występująca jako strona pokrzywdzona Wojewódzka Stacja Pogotowia Ratunkowego w Łodzi otrzymała odpowiednią satysfakcję. Stanowi to podstawę do podjęcia niniejszego postanowienia.

Stronom przysługuje prawo odwołania do Sądu Dziennikarskiego w Łodzi w terminie 7 dni od daty otrzymania niniejszego pisma.

Pismo powyższe podpisał Rzecznik Dziennikarski Oddziału SD PRL w Łodzi — Stanisław Ciesonik.

Ponieważ do momentu zamknięcia numeru red. Edward Bryl nie złożył materiału, do napisania którego zobowiązał się w ugodzie zawartej przed Sądem Rejonowym w Łodzi, a właśnie miały być publikowane tego artykułu uzgodniony przed wspomnianym Sądem przez strony, redakcja tygodnika „Odgłosy” oświadcza niniejszym, że nie ponosi żadnej winy za niedotrzymanie terminu przez red. Edwarda Bryla.

CZY DA SIĘ „ODKREŚLIĆ”?

Jestem pełen uznania dla Piotra Sikorskiego za jego wyczucie taktu i zasad prakseologii (skuteczności działania), czemu dał wyraz w opinii „Każdy ma prawo do obrony” (ODGŁOSY nr 22/85). A co do „M dla córki”, to jestem pełen najgorszych przeczuć, tj. że nie uda się sprawy „odkreślić”. Podobnie jest, niestety, z tzw. mieszkaniem funkcyjnym (dawniej „służbowym”), które „masowo” zakłady pracy tracą, nie mając prawa eksmisji naciągaczy na bruk, lecz będące zobowiązane do zapewnienia mieszkania zastępczego. Zresztą często krzywdzącym byłoby określenie „naciągacz” wobec ludzi, którzy nie z własnej winy muszą rozwiązać stosunek pracy, a nadal muszą „gdzieś” mieszkać.

E.T.K.

(Nazwisko i adres znane redakcji)

NIE BRONIE WIDZEW, ALE...

Przesyłam do wiadomości lub ewentualnego wykorzystania tekstu, jaki skierowałem do red. Dariusza Spakowskiego z warszawskiej telewizji. Oto treść tego listu. Jeśli zechcecie wykorzystywać.

Szanowny Panie Redaktorze!
Nie jestem zapalonym kibicem, nie noszę kolorowych szalików, nie brałem udziału w „pociągach grozy”. Wiek? Po 50. Ale transmisji lub meczów słuchałem — jak ostatnio Legia — Widzew oglądam je. Był Pan łaskaw komentować ten mecz. I nie mogę się pozbyć smutnego wrażenia, że wracają czasy. J. Ci ogromny szacunek: gdy chodzi o Legię — żadnemu z komentatorów (do którego — za wszystko inne — miałem zawsze torów z „centrum” nie mogąc pewnie sformułowania przejść przez gardło. Gdy przeciwnikiem jest Widzew — tym bardziej.

Ma każdy z nas oczywiście prawo do kibicowania i do lokalnego patriotyzmu. Gdy jednak rzecz idzie o całą Polskę — winna być widziana w nieco innym wymiarze. Nie bronie Romka, którego wybrak w kategoriach „człowiek” można nazwać chamstwem, a w kategoriach pikarskich — przynajmniej brakiem wyobraźni poprzez narażenie kolegów na twardą walkę w dziesiątkę.

W drugiej połowie meczu, a szczególnie pod jego koniec — powtarzał Pan kilka razy, że „kibice spodziewali się innego meczu”, że gdy gra pierwsza i druga drużyna z tabeli, to... Oczywiście, ma Pan rację. Lecz tu zaczyna się moje wątpliwość: czy przez tyle minut komentarza nie sposób było nie zauważyć, że Widzew właśnie gra w dziesiątkę i „dowiezienie” wyniku remisowego — bezbramkowego jest maksimum tego, co trener od drużyny mógłby wymagać? A to oczywiście musi mieć wpływ na styl i poziom gry. Ze — skoro druga drużyna gra z przewagą jednego zawodnika — to powinna błyszczeć, być skuteczna i dać pokaz „bombowej” gry?

Tymczasem tak nie było. Widzew inteligentnie się bronił, a nawet potrafił groźnie atakować, natomiast legioniści swej przewagi wykorzystywać nie potrafili. W takich sytuacjach trzeba się na coś zdecydować: albo pochwalić tych, którzy grając w dziesiątkę meczu nie przegrali, albo zganić tych, którzy mając przewagę — meczu nie wygrali. Panu zaś, Panie Redaktorze — nie mogło to przejść przez gardło, gdyż de facto Widzew w takiej sytuacji był lepszy, a Legia gorsza. Stąd chyba stwierdzenie, niby słuszne, ale nader skąpe w treści, że: „kibice spodziewali się lepszego meczu”.

I to mnie niepokoi, gdyż powoduje zbyt wiele wspomnień...

WITOLD AFELT

(Łódź)

OD REDAKCJI: Wykorzystujemy, dziękujemy.

KTO PONOSI WINĘ ZA ZŁE PRANIE?

W zasadzie nie jestem donosicielem ani skarżycy, ale gdy mnie — szarego obywatela — robi się za przeproszeniem, po dwakroć „w konia”, to nie mogę się powstrzymać, aby nie wyrazić swojego oburzenia z nadzieją, że pomożecie mi w tym choćby tylko publikując mój list. Cały mój problem wiąże się z praniem chemicznym garderoby w punktach usługowych Spółdzielni Pracy „Czystość”, a zaczyna się tak:

Na jesieni 1984 roku spodziewając się rychłego nadejścia zimy oddaliśmy wraz z żoną jej płaszcz zimowy (nawiasem mówiąc nowy — 1 rok) do prania chemicznego w punkcie nr 136 w Pałanich przy ul. Brackiej 31.

Na nasze nieszczęście w dniach odbioru tego płaszcza z pralni pogoda była na tyle ciepła, że płaszcz po odebraniu z punktu po prostu zawisnął w szafie i dopiero w momencie nadejścia grudniowych chłódów żona zdecydowała się go zalać. I co się okazało? — okazało się, że uległ on tak wielkiemu skurczeniu, że nie nadawał się do dalszego użytku.

Próbowałam oczywiście reklamować usługę, ale niestety, przysługując nam termin składania reklamacji — 3 dni od daty odebrania garderoby — już dawno minął. Więc powiedzieliśmy sobie „trudno”, Polak po szkodzi jest zawsze mądrzejszy, a nowy płaszcz sprzedaliśmy jako szmaty. I w tym momencie sytuacja zaczyna się powtarzać.

Zima się kończy, idzie wiosna, trzeba odświeżyć garderobę. Tym razem do czyszczenia chemicznego poszedł kostium wełniany dwuczęściowy. Punkt usługowy ten sam — nr 136 przy ul.

Brackiej, termin wykonania usługi podobny i wykonanie usługi analogiczne. Ale teraz jesteśmy przecież mądrzejsi.

Żona na drugi dzień odnosi skurczony kostium i składa reklamację. I cóż się dowiadujemy? Ano w odpowiedzi na naszą reklamację (US/497/85 Akta: 279/R/85 Sp-ni Pracy „Czystość” ul. Urzędnicza 36 w Łodzi dot. skurczu kostiumu zleconego do czyszczenia w P. 136 za nr kwitu 441) dowiadujemy się, że to my wypraliśmy w domu garderobę na mokro, tak, aby uległa ona skurczeniu, a następnie oddaliśmy ją do prania chemicznego (pewnie była jeszcze brudna), która to usługa została wykonana prawidłowo — zgodnie z obowiązującą technologią. A w ogóle, to nie ma podstaw, aby uznać reklamację, więc jeśli nam się to nie podoba, to „dalsze roszczenia można dochodzić na drodze postępowania sądowego”. Ludzie — gdzie my żyjemy!

Czyżbyśmy od tego mieli sądy, aby dochodzić solidności wykonania usługi? A gdzie jest hasło „Klient nasz pan!”, „Klient ma zawsze rację!”, a gdzie zwykła ludzka uczciwość, gdzie godność zawodowa? Ja, niestety, nie pójść dochodzić swoich praw na drodze sądowej, bo nie posiadam na to ani czasu, ani pieniędzy, a poza tym nie widzę szans konkurowania z „ekspertami” Sp-ni Usługowej „Czystość”, którzy tak autorytatywnie wydają orzeczenia, co do tego, kto jest winien zniszczenia garderoby. Jedynym słowem brawo fachowości i bezstronności.

Boli mnie tylko to, że jeszcze raz okazało się (a tym razem przekonałem się na własnej skórze i portfelu), że zwykły obywatel nie ma szans dochodzenia swojej słuszności w sporach z oszustami — żeby nie powiedzieć dosadniej — typu Spółdzielnie Usługowe, a więc chyba już najwyższy czas, aby coś w tej materii zmienić.

Proponuję — jeżeli nie uda nam się zmienić jakości i solidności tego typu „usług” — aby zwyczajnie zmienić ich nazwę na bardziej odpowiadającą rzeczywistości. Ale tak, prawdę mówiąc, najgorsze jest to, że znów ubierało mi się trochę garderoby do prania, i co ja mam z tym teraz zrobić?

Z poważaniem

ADAM KEDZIERSKI

(Pabianice)

PS. Nie spodziewam się jakiegokolwiek odpowiedzi z jakiegokolwiek spółdzielni „usługowej”, ale gdyby tak na Waszych łamach ktoś kompetentny wyjaśnił, czy Pani przyjmująca garderobę do prania chemicznego jest zobowiązana dokonać wzrokowo jej oglądnięcia (np. czy nie jest podarta, zdeformowana, lub w sposób widoczny SKURCZONA), czy też jej to zwyczajnie zwisa, bo z góry wie, że wszelkie tego typu felery i tak „ekspert” zaliczą do wad powstałych z winy klienta.

Za odpowiedź na to pytanie byłbym bardzo wdzięczny, gdyż być może pomocna mi ona będzie w przypadku następnego prania.

CIĄG DALSZY SECESJI WŚRÓD NATURYSTÓW

Po opublikowaniu manifestu naturystów odłączonych, otrzymaliśmy od prezesa grupy „starych i prawdziwych” naturystów sympatyczny list, który poniżej drukujemy. Publikujemy także deklarację ideową tej grupy, iżby nasi Czytelnicy mogli porównać i swobodnie wybrać taką ideologię i filozofię gołizny, która im bardziej odpowiada, jeżeli już decydują się na zdejmowanie majtek. Rozumiemy bowiem, że bez powodu robić tego nie można.

Dla ułatwienia orientacji w skomplikowanych problemach frakcji ruchu gołozosów oddajemy oddzielnie sygnowane pochodzące od nich dokumenty, relacje i doniesienia. Naturyści „pierwotni” otrzymują niniejszym symbol „F” — jak fundamentalni, natomiast odłączeni — „S” — jak secesjonisci.

REDAKTOR DŻURNY

Szanowna Redakcjo „Odgłosów”

Prezydium ZG Polskiego Towarzystwa Naturystycznego przyznaje Waszej Redakcji najwyższe wyróżnienie PTN

GRAND PRIX „PASKUDA”

za opublikowanie na łamach Waszego Tygodnika manifestu frakcji jajogłowych naturystów (odmiana twarogłowych) w dniu 4.V.85 r.

Uzasadniamy, że frakcja jajogłowych naturystów nie posiada jeszcze własnego ustanowionego i wybitego w metalu odznaczenia — my takowe posiadamy i zawsze popieramy „nagą prawdę”.

Riposta na ów manifest — patrz — „Polityka” z dnia 24.V. 1985 r. pt. „Goło ale wesoło”.

Łącząc pozdrowienia i dziękuję za życzliwą postawę.

Prezes PTN

SYLWESTER MARCZAK

DEKLARACJA IDEOWA POLSKIEGO TOWARZYSTWA NATURYSTYCZNEGO

Człowiek został oderwany od naturalnego środowiska, wyrwany ze stanu pierwotnej jedności z naturą. Wraz z rozwojem cywilizacji pojawiło się szereg „Chorób cywilizacyjnych” takich jak: zawały serca, frustracje, stany lękowe, stres itp. Dopiero w kontakcie z naturą człowiek odnajduje siebie, zrywając z powszechnym schematyzmem życia zaczyna realizować się w pełni.

Chcemy eksponować wartości współczesnego humanizmu, kształtować postawy moralne na zasadach partnerskich. Chcemy, aby w kontaktach z innymi ludźmi znalazło się ciepło, szacunek, zaangażowanie emocjonalne i otwartość. Chcemy, aby człowiek w twórczej ekspansji miał miejsce na spontaniczność i wyrażanie siebie. Uciekamy od świata przedmiotów i uprzedmiotowionych stosunków międzyludzkich, które rodzą samotność i cywilizacyjne lęki.

Najwyższy stworzył człowieka nagim! Cały świat łączy nas do spotkania z naturą! Nagością na plaży manifestujemy swój protest przeciwko wynaturzeniu życia erotycznego, pornografii, wyrafinowanemu ekshibicjonizmowi. Nagość w naturalnej postaci to antidotum na kompleksy wyrosłe z pruderi. Ciało nagiego człowieka traktujemy jak wytwór przyrody.

Atmosfera nagiego wyciecznika, plażownika i kąpielki wyzwała olbrzymią siłę wychowawczą w stosunku do płci przeciwnej, rodzi tolerancję, ludzie stają się bezpośredni. Mówimy do siebie po imieniu! Nie przeszkadzajmy innym! W kontakcie z przyrodą rozwijamy sferę emocjonalną ukierunkowaną na dbałość o wszystko co żywe.

Będziemy wychowywać ludzi na rzecz ochrony środowiska naturalnego i ochrony zdrowia ludzkiego. Aktywny wyciecznik służy profilaktyce zdrowotnej. Dbamy o estetykę naszego ciała i piękno duszy.

PRADZIAKOWIE BYLI LEPSI

Są ludzie, którzy ciągle „walczą” z nowym, obowiązującym od 1985-01-01 sposobem datowania czyli „numerycznym zapisywaniem dat kalendarzowych kalendarza gregoriańskiego” (PN-82/N-01204), którzy ciągle czują jako wielką krzywdę konieczność podporządkowania się mu. Nie przemawia do nich fakt, że już takie kraje jak USA, Francja, Wielka Brytania, Szwecja przyjęły normy analogiczne, nie przemawia logika, która mówi, że ważniejszy jest rok od miesiąca, a miesiąc od konkretnego dnia, więc w takim porządku powinny stać składniki daty.

Może więc przekona tych konserwatystów-malkontentów

fakt, który odkryłem w antykwariacie, przy okazji wizyty w Poznaniu. Otóż trafiłem tam na reprintsy uciecznych książeczek pt. „Kopa z naddatkami bajek naszych pisarzy dla młodej piły obojej” oraz „Epigrammata, nagrobki, fraszki, ucinki, zarty, grzeczności, oraz myśli zwięzłe i dowcipne, bezimiennych pisarzy naszych (...)” zebrane i wydane przez Ignacego Piotra Legatowicza w Wilnie, pierwsze w 1854 roku, drugie w 1859 roku. Książeczki mają odrębne dedykacje o następującej treści: „Do Biblioteki Jaśnie Wielmożnych Hrabów Działających w Kurniku zapisuje Ignacy Piotr Legatowicz, Miasto Gubernijalne Mińsk 1860 roku Stycznia 8 dnia”.

Okazuje się więc, że nasi pra-... a może prapradziadkowie stowokalali z własnej i nieprzymuszonej woli przepisy polskiej normy.

T. KNYPL

(Oświęcim)

CZY DOBRZE ROBIĄ?

W jedną z niedziel wybrałam się z synem do parku znanego pod nazwą „parku śledzia”. Pogoda była ładna, starszkiem siedzieli na ławeczkach. Mamusia „pilnowały” swych bawiących się pociech. Wszystko wyglądało sielankowo i może byłoby gdyby... No właśnie.

Mamusia jednak jakoś nie bardzo kontrolowały zabawę swych pociech. Wolaly promienie słoneczne i ich opalające właściwości i tylko od czasu do czasu jednym okiem zerkaly, co robią dzieci. A dzieci jak dzieci. Jedno sypało drugiemu piach na głowę, a mamusia nic. Nawet nie zwróciła dziecku uwagi, że robi źle. Może nie chciała przerywać dziecku zabawy i zwracać uwagę, by nie „popaść w kompleks”, (to teraz podobno taka moda). Druga mamusia wolała dziecka zaprowadzić na trawnik i tam pozwolić na kopanie, chroniąc go przed zabrudzeniem się.

Oj, mamusie, kochane mamusie, spojrzcie na siebie trochę krytycznie!

Inne dzieci też urozmaicały sobie zabawę jak mogli, rwały kwiatki, trawę, młode gałązki i jakoś czas leciał.

Byli też przyszli „kolarze”. W wieku różnym, od 3-letniego malucha do młodzieniaszka, któremu to niedużo waz zaczęło się sypać. (A podobno jest zakaz jazdy rowerem w parku). Tych ostatnich trochę się bałam. Bo niech taki dryblas jadąc co sił w nogach wpadnie na dziecko lub na mnie? Może przecież wyrzuci krzywdę. Miałam jednak trochę szczęścia, bo zostałam najechana „tylko” przez malucha. Ucierpiałaj rajtury, w paru miejscach poleciały oczka. Rodzice dziecka nie tylko, że nie powiedzieli — przepraszam, ale mieli takie miny jakby to była moja wina, że śmiałam być na ścieżce, którą jechało dziecko! No tak, chamów się nie sieje, podobno rodzą się sami.

W parku jest placyk, bez drzew, który kiedyś porośnięty był trawą. Kiedyś, bo teraz zostały już smutne resztki. Została wydeptana przez „pilkarzy”. Przechodziliśmy właśnie koło nich i co za pech! (dla mnie), jednemu z nich piłka wypadła za płac i potoczyła się na ścieżkę. „Pilkarz” wybiegł za nią nie zwalając na nic i (jak to mam szczęście) z impetem wpadł na mnie. Co prawda nie przewrócił mnie tylko „trochę potracił” tak, że następnego dnia miałam sporego siniaka na rękę. I znowu zamiast przepraszam, usłyszałam coś, co nie nadaje się do napisania. Tyle o naszej „złotej”, kochanej młodzieży, naszej przyszłości. Choć co mieć do młodzieży pretensję kiedy dorosli nie dają najlepszego przykładu.

Na Starym Rynku odbywał się festyn z okazji Dni Bałut. Dużo ludzi szło na festyn przez park. I to nie alejkami i schodami, ale na przelaj, jak stado baranów (przepraszam za to porównanie barany-zwierzęta). Zaczęłam zastanawiać się, po diabła ja robię inaczej i tłumaczę mojemu dziecku, że nie można w parku jeździć rowerem, chodzić po trawnikach, bo gdyby tak każdy robił, to byłaby sucha udeptana ziemia zamiast trawy, zrywać kwiatów i łamać gałęzi ani też rowców. Mój siedmiolatek zaczyna się już buntować. Dlaczego wszyscy tak robią, a on co, ma być wyjątkiem? Mają go wytykać palcami, że jest odmieńcem? Zastanawiam się, czy właściwie dobrze robię. Może ja nie mam racji, a mają ją ci którzy tak postępują?

ANNA MARCINIAR

(adres do wiadomości redakcji)

FAKTURY...

Na zapleczech sklepów przemysłowych coraz rzadziej spotyka się atrakcyjne, chodliwe towary. Wiadomo, kontrole częstsza. Po co zbytecznie się narażać. Towar leży sobie na widocznym miejscu w sklepie, a nad nim wisi karteluszka mniej więcej takiej treści: „Chwilowo towaru nie sprzedajemy — brak faktury”. Przechodząc na czasach, w sklepie GS „Samopomoc Chłopska” w Wydminach woj. suwalskie, zauważyłem większą partię dywanów. Towar poszukiwany, tym bardziej, że cena na metkach raczej przystępna w granicach 30—35 tys. zł za sztukę. W łódzkiej „Uniwersalu”, „Centrału” ludzie szturmuja stoiska, wyczekują w kolejkach po kilkanaście godzin. A tu jakoś nie widać chętnych do kupna. Czyżby tak było?

— Pytam ekspedientkę: — czy te dywany są do sprzedaży?

— Tak, ale faktury jeszcze nie dowieźli. Czekamy na nią.

Minął tydzień, drugi. Koniec czasów, a faktury, jak nie było, tak nie ma w dalszym ciągu z WPHW w Augustowie. Nie wiem, w jaki sposób i kiedy dotarła powyższa faktura do sklepu. Wiem tylko jedno, że podobne sytuacje stwarzają dogodną furtkę dla „operatywnych” handlowców.

W Łodzi rok temu spotkałem się z podobną sytuacją. W magazynie WPHW przy ul. Brukowej przez pewien czas również nie było faktury. Przyszła faktura po kilkunastu dniach z Opoczna, ale po glazurze, tej ładnej i poszukiwanej — nie było nawet śladu. Kto i kiedy ją wykupił? Pilnowane nadejścia tej faktury i jakoś nie udało mi się kupić wybranej wcześniej glazury, chociaż miałem odpowiednie zezwolenie na jej kupno. Musiałem zadowolić się inną glazurą, by zlecenie nie straciło na swej aktualności. Cóż, bywa i tak.

Glazura produkowana w Opocznie. Dywany w Łodzi. Dwie odległe od siebie miejscowości, lecz procedura ta sama. Towar nie jest dostarczany razem z fakturą. Czyżby jakiś przypadek? Niedopatrznie lub przeczenie? Jeśli tak, należałoby czym prędzej wyeliminować tego rodzaju praktyki w naszym handlu, wyciągnąć odpowiednie wnioski. A być może jest to nowa forma sprzedaży, w znacznej mierze umożliwiająca dokonywanie spekulacji wraz z zorganizowaną „wystawą” poszukiwanych towarów. I to najwięcej bulwersuje klientów, którzy słusznie narzekają na brak operatywności w naszym handlu. Nigdy by mi nie przyszło do głowy skojarzyć sobie te dwa wydarzenia, gdyby nie fakty autentyczne, które miały miejsce w przeciągu jednego roku.

Jedno mnie zastanawia. Dlaczego brak faktur spotyka się raczej w peryferyjnych dzielnicach miast i osiedli, magazynach i sklepach odległych od centrum miasta. W „Uniwersalu”, „Centrału”, i innych większych domach towarowych kraju, tego rodzaju praktyki raczej są niespotykane. Jedne placówki handlowe otrzymują towar razem z fakturą, inne nie otrzymują. Kto i dlaczego wpadł na powyższy pomysł fakturowania atrakcyjnych towarów o większej wartości Skarpetki, garnki, inne drobne artykuły przemysłowe są również towarami poszukiwanymi, ale zawsze można kupić od reki Faktury są dostarczane na czas. Co dziwniejsze. Powyższe towary są dostarczane z tej samej, odległej miejscowości, będące w gestii tych samych handlowców.

WEADYSŁAW BISEWSKI

Kiedy zadzwoniono do mnie z Warszawy i powiadomiono, iż mam wyjechać na Międzynarodowe Dni Poezji do Sarajewa — bardzo się ucieszyłam. Po pierwsze — dlatego, że ogromnie lubię Jugosławie. Po drugie — dlatego, że mocno mnie interesuje działalność zagranicznej konkurencji po piórze. Po trzecie zaś — dlatego, iż zawsze znacznie większą satysfakcję sprawiło mi wiozowanie niż zmrwanie.

Pełna najradośniejszych przeczuć o moim wyróżnieniu powiadomiłam męża, który też się ucieszył, ale jakby trochę mniej i spytał na dodatek, kto oprócz mnie będzie w Sarajewie reprezentował polskie piśmiennictwo. Do Warszawy zadzwoniłam więc z kolei ja i ze zgroza dowiedziałam się, że jada zupełnie sama, a na dodatek Związek Literatów Polskich poza informacją, iż w stolicy Bośni i Hercegowiny bawić mam od 6 do 13 maja 1985 r. w niczym nie może mi pomóc, bo żadnymi bliższymi szczegółami o owej imprezie nie dysponuje. Jak już wznętałam — lubię podróże, wyrosłam jednakże z owych złotych lat, w których z jednaka przyjemnością jedzie się w znane, jak i w nieznanne, poza tym nawet Krzysztof Kolomb nie podróżował samotnie. Dowiedziałam się ponadto, iż z Warszawy do Belgradu polecie samolotem, a dopiero z Belgradu do Sarajewa (chwała Bogu i za to), thuc się będą pociągami.

NIE CIERPIE SAMOLOTÓW

Julian Tuwim miał ponoć oświadczyć, iż nie znosi komunikacji powietrznej, ponieważ w samolocie jest się zanadto w rękach Boga. Od dawien dawna podzielałam w tej mierze pogląd znakomitego poety. Tak więc w moim przypadku sprawdziło się, niestety, porzekadło: „Śmiech rano, płacz wieczorem”. Mogłam wprawdzie z owej eskapady zrezygnować; zadzwonić do Warszawy i autorytatywnie oświadczyć, iż z wielu ważnych i poważnych powodów mój wypad w obce strony nie może dojść do skutku. Ciekawość świata była jednak silniejsza niż babskie fanaberie. Spakowałam manatki, wyszłam z mieszkania i po funelam. Sześciu w piekielnej maszynie zbliżającej mnie co i rusz do Pana Boga lecieli ze mną do Belgradu panowie: Florian Nieuważny i Zygmunt Stoberski, którzy z kolei wybierali się do Słoweni na Zjazd Intelktualistów.

Na belgradzkim lotnisku czekała na nas przedstawicielka Jugosłowiańskiego Związku Pisarzy oraz radca polskiej ambasady, Romuald Czubacki. To właśnie on załatwił nas o stosownej porze do pociągów (ja mu siedziałam na karku najdłużej) zaopatrzywszy nas przy okazji w wykupione za własne pieniądze miejscówki na sliping. Z Belgradu do Sarajewa odjeżdżałam już bez trwogi w sercu, ponieważ zapewniono mi, że na dworcu ktoś na pewno będzie czekał, a jeśli nawet nie, to mam zarezerwowany pokój w hotelu Europa.

Sarajewo jest miastem mniej więcej wielkości Łodzi. Pierwsza sensowna informacja, gdzie mam się udać w razie organizacyjnych niedociągnięć bardzo mnie pokrzepiła. Okazało się jednak, iż w Sarajewie na mnie czekano i to nad wyraz cierpliwie, (spóźniające się pociągi, to jednak nie nasz polski wypalazek). Do hotelu zajęchalam więc w milej eskorcie przedstawiciela ichniejszego związku oraz Orhana Wasilewskiego (syna Marka Antoniego), który to Orhan jest studentem belgradzkiego Uniwersytetu (Historia Literatury Powszechnej).

SAMA W SARAJEWIE

Z tego powodu, iż samolot na linii Warszawa — Belgrad kursuje w określone dni tygodnia, przyjechałam do Sarajewa o dzień wcześniej. Miałam więc trochę czasu na oswojenie się z miastem i z moją nową sytuacją. Pisarze sarajewscy ofiarowali mi albumy przewodnik po swoim mieście (na szczęście w języku francuskim), więc po krótkiej drzemce i opłaconym przez organizatorów śniadaniu (był to jedyny posiłek, którego koszty wliczone były w cenę noclegu) pobiegłam na miejsce straszliwej tragedii z 28 czerwca 1914 r., która to tragedia doprowadziła wrzeszcząc do tego, iż „*Ta, co nie zginęła, wyrosła z naszej krwi*”.

Terrorystom nie stawia się pomników. Żeby jednak upamiętnić wydarzenie, które rozpetawczy pierwszą wojnę światową, całkowicie zmienili polityczną mapę Europy, w miejscu, z którego do areksciecia strzelał zamachowiec, odcisnęto w chodnikowej płycie ślady stóp. Muszę wyznać, iż z dużym wzruszeniem trwałam przy moście Gawrily Principa.

Jeszcze tego samego dnia posługując się sarajewskim albumem zawędrowałam na turecki bazar, aby sobie pooglądać cuda i cudenka. Diety przy szalejącej drożyznie były nad wyraz szczupłe, polska złotówka naturalnie niewymienialna, a waluty stosowniejszej z kraju wywieźć nie mogłam, bo w decydującym momencie zapomniałam numeru mojego paszportu, który znajdował się w Warszawie, a mizerne konto dewizowe w Łodzi. Orient kocha się w błyskotkach. Orient kocha się w złocie, srebrze, miedzi, mosiądzu, szlachetnych i półszlachetnych kamieniach, w pajątkach. Ongiś, na tureckim bazarze w Skopje, podziwiałam damskie, domowe pantofelki haftowane koralikami i cekinami. Bardzo chciałam i ja sprawić sobie takie, ale nie starczyło mamony. Przyrzekłam sobie wówczas, iż na pewno kupię takie, gdy tylko zdarzy się kolejna okazja. I tym razem zasoby finansowe nie pozwoliły na zrealizowanie marzenia.

Migotliwe pantofelki, lampy do złudzenia przypominające swa siostrzyce od Alladyna, cynowe talerzyki, misy z mosiądzu, drewniane kulki półtorametrowej wielkości zainteresowały mnie na tyle, iż mimo cennego albumu zagubiłam się na bazarze i całkiem nie mogłam znaleźć drogi do „mojej” Europy. Cóż z tego, że mam jako tako opanowany francuski, skoro żaden z moich interlokutorów nim nie władał. Nie przydała też się ruszczyzna. To, że udało mi się wy dostać z owego labiryntu budek, domków, straganów — graniczy niemal z cudem. Cuda, jak wiadomo, zdarzają się rzadko. Po powrocie do hotelu mimo serdecznej pomocy ze strony recepcjonistów nie udało mi się telefonicznie połączyć z Łodzią, aby przekazać cenna informację, iż żyję i mam się dobrze. Zdawałam sobie sprawę z tego, że moja przedwyjazdowa historia mocno zdenerwowała najbliższych, a wśród nich i pewna kruszynka, która jest tylko o dziesięć centymetrów niższa ode mnie (o czym na obcej ziemi naturalnie zapominałam) i raczej samodzielna.

Z rodziną nie udało mi się telefonicznie skontaktować do końca. Kiedy bowiem następnego dnia uzyskałam połączenie z Łodzią, „mój numer” milczał, jak nawiedzony. Nie wytrzymałam nerwowo i miałam czekać na kolejne połączenie, wysłałam do męża telegram zawierający cenne, a podane powyżej informacje. Kwota, jaką na ową depezę wydałam przekreśliła całkowicie możliwość zafundowania sobie telefonicznej pogawki.

JAK ZOSTAŁAM SPECJALISTKĄ OD WYWIADÓW

Mój pierwszy dzień w Sarajewie był jedynym, w którym zdołałam na samą siebie, mogłam robić to na co miałam ochotę i bywać tam, gdzie pragnęłam. Już bowiem drugiego dnia przyszło mi uczestniczyć w konferencji prasowej, na której poezje światowej oprócz Jugosłowian i mnie reprezentowali Miriam Brien z Algieru, Helena Knoper z Holandii, Dawid Harcen z Wielkiej Brytanii, Mikola Mogok z Rumunii, Sahidanadan (tłumacz m. in. Zbigniewa Herberta) z Indii, John Kendrick ze Stanów Zjednoczonych i Włodzimierz Cypin ze Związku Radzieckiego.

„Exposé”, jakie wygłosiłam, poświęcone było głównie wysokim walorom polskiej poezji współczesnej. Chwaliłam na odlew. I tych, których uwielbiam i tych, których nie cierpię. Na obczyźnie myśli się jednak kategoriami „racji stanu”. Moje, i wszystkie zresztą wystąpienia poetów niejugosłowiańskich miały wysoce poważny charakter, a to dlatego że wszystkie madre kwestie, jakie tonem wysoce autorytatywnym wygłaszałyśmy, były udostępniane szerokiemu ogółowi przez tłumaczy.

Po konferencji prasowej, ku cichej zazdrości otaczających mnie artystów, udzieliłam wywiadu ichniejszemu piśmie „Oswobodzenie”. Chwalić Boga serbskiego nie znam i, mimo, że srorawiam sobie gazetę, niewiele z mojej wypowiedzi zrozumiałam. I tu uwaga na temat „psychologii jednostki twórczej”: z początku konieczność rozmowy z dziennikarzami trzęsła mnie peszyla, później, gdy już „obrosłam w piórka” uznałam owe wywiady za najnormalniejszy przywilej, który „mi się należy” i byłam zdumiona, gdy jakiś dziennikarz kierował się akurat nie do mnie. Artysta demoralizuje się jednak nader łatwo i pewnie polska prasa wie, co robi, gdy okazuje brak zainteresowania współczesną twórczością.

ZIEMIA SIĘ TRZĘSIE, A JA...

jako specjalistka od wywiadów zadebiutowałam w „Oswobodzeniu”, ostatnia zaś rozmowa, tym razem z dziennikarzem Jugosłowiańskiego Radia, odbyła 12 maja, w piętnaście minut po trzęsieniu ziemi. Jeśli chodzi o tego rodzaju kataklizm, nie jestem już nowicjuską. Kiedy w sierpniu 1978 r. przebywałam w Ochrydzie, tam też się ziemia trzęsła. Właśnie wówczas poinformowano mnie, jak należy się zachowywać w takich wypadkach. Wiem już więc, że trzeba stać przy drzwiach, jak najszybciej odnieść, jeśli nie jest naturalnie możliwe natychmiastowe opuszczenie budynku. Moja technika ratowania się w momentach zagrożenia nie znalazła zastosowania w praktyce. Epicentrum kataklizmu znajdowało się na szczęście dość daleko. Ja natomiast z takim „doś-

DOROTĄ CHRÓSCIELEWSKĄ

Krzysztof Kolomb nie podróżował samotnie

wiadzeniem” nie umiałam rozpoznać, iż przewrócona lampa, szklanka, co bez powodu leży na podłodze, wywalone krzesło, to właśnie „to”. Gdy więc rozpoczynałam akcje ewakuacji — było już po strachu. Nawiasem mówiąc, nawet mi do głowy nie przyszło, że Telewizja Polska niemalże równocześnie z Jugosłowiańską poinformuje o wypadkach między innymi i nioia rodzinę w kraju, i że owa rodzina miała się martwić o to, jak ja tym wstrętnym samolotem przyfrune na Ojczyznę Iono, kłopotła się, czy uszlak cało kataklizmowi. Informacja, iż „*ofiar w ludziach nie ma*” wyraźnie uszła jej uwadze. To zresztą, że trzęsło się o sto kilometrów ode mnie — też.

FILM. KÓREGO NIE OBEJRZAŁAM

Clou w mojej bośnihercegowińskiej karierze stanowił jednak nie „ziemiowstrząs”, ale film, jaki Jugosłowiańska Telewizja nakręciła ze mną i o mnie. Aż żal dusze ścisła, że się nie zobaczy. Najpierw robono mi migawki podczas najrozmaitszych wieczorów autorskich (ja czytałam swoje wiersze, Orhan Wasilewski ich tłumaczenia). To jednak nie wyczerpało pomysłowości tamtejszych telewizyjnych realizatorów i postanowiono zrobić ze mnie aktorkę wykorzystując w tym celu mój pobyt w jednym z najpiękniejszych miast Hercegowiny w Poczitelju. Scenariusz wyglądał mniej więcej tak: ja spoconą i rozczochraną siedzę przy ogrodowym stoliku nad brzegiem Naretwy. Vis a vis mnie góry, z lewej strony kaktusy, z prawej — cyprysowy gaj, a ja, jak gdyby nic, siedzę sobie i czytam wiersze z tomiku, jak leci, po kolei, byle dużo. Stoliczek był bardzo ładny, biały, misternie wyplatany. Realizatorom nie odpowiadał jednak kolorystycznie. Aby zadowolić ich gusta, nakryto go straszliwie brudną, turkusową serwetą. Gdy zaprostawałam z kolei ja, realizatorzy dali mi na migi do zrozumienia, że plamy na małym ekranie będą niewidoczne.

Gdy przeczytałam wszystko, co ze sobą przywiozłam, zaproponowano mi kolejne ujęcia. Na niebotycznie wysokich obcasach (w takie buty, idiotka, ustroiłam się na wycieczkę do wysokogórskiego miasteczka) miałam spacerować między kaktusem a zagajnikiem. Podejrzewam, iż mój dziarski chód mocno przypominał sposób pokonywania przestrzeni charakterystyczny dla wielkiego Byrona, który to poeta był kulawy. Gdy się już tak w te

i wa wte nalaziłam, posadzono mnie nad samym brzegiem Naretwy i kazano przybrać taką minę, jaka mięwam, gdy bisze wiersze. Jakoś nigdy jeszcze nie pisałam wierszy przed lustrem, nie bardzo więc umiałam nadać twarzy stosownego wyrazu. Wreszcie jednak realizatorzy byli ze mnie zadowoleni: ja z głęboką melancholią wpatrywałam się w rwącą rzekę, a oni krečili. Moja nieumiejętność przystosowania się do życzeń filmowców brała się między innymi stąd, że podejrzewałam, iż przez karierę aktorską ominie mnie darmowy obiad, który w Poczitelju fundowali artystom organizatorzy. Na ich koszt udało mi się uczestniczyć w dwu biesiadach, a ja byłam (przedostatni) dzień przed powrotem do Polski) biedna, jakbym ślubowała ubóstwo.

Wszystko jednak zakończyło się pomyślnie. Na wielkie i bezpłatne żarcie zdążyłam, a na dodatek realizatorzy nieszczerzego filmu zafundowali mi jeszcze Różicę — cudowne, czerwone (po ichniejszemu: czarne) wino.

Poczitelja z wiadomego powodu prawie nie obejrzałam. Z nieba zresztą lał się żar, meczety były za wysoko i za daleko dla moich obcasów. Udało mi się zwiedzić jedynie tutejsza galerię obrazów. W Poczitelju znajduje się Międzynarodowy Dom Pracy Twórczej. Od wypoczywających tu malarzy wymaga się, aby pozostawili galerii jedno ze swych zainspirowanych pysznymi widokami płócien.

STARY MOST

Spośród miast i miasteczek, które zwiedziłam, największe wrażenie wywarł na mnie szesnastowieczny, turecki Mostar. (Most Stary). Ów stary most, od którego nazwę przyjęło miasteczko, to cudo z białego kamienia łączące dziś przęgi Naretwy, a dawniej islamską i chrześcijańską część osady. Ów most nie tylko jednak łączył, lecz także i dzielił. Ma swoje romansowe legendy. Było to ponoć ulubione miejsce samobójstw młodzieży płci obojga, która ze względu na różnicę w wierze nie mogła się połączyć wezłem małżeńskim. Zdesperowani kochankowie skacząc z mostu ginęli w spienionej i lodowatej Naretwie. Mostar jest najcieplejszym miastem Jugostawii. W lecie nader rzadko temperatura spada tu poniżej 45 stopni Celsjusza, zima natomiast temperatura zerowa traktowana jest jako ciężki mróz. Przepływająca przez gród Naretwa jest jednocześnie jedną z najchłodniejszych rzek. Jej temperatura prawie nigdy nie jest wyższa niż 7 stopni Celsjusza. Jugosłowianie bardzo lubią wywczasować w Mostarze. Turcy z Polski przyjeżdżają tu od wielkiego dzwonu. Bardziej ich ciągnie oddalony zaledwie o godzinę drogi Adriatyk.

Przed wycieczką do Mostaru jedna z najwybitniejszych poetek Jugosłowiańskich, Dara Sekulic, powiedziała mi, iż zobaczę jedno z najpiękniejszych miast Hercegowiny, a tak naprawdę to i jeden z najpiękniejszych zakątków świata. Przyznaję, że jej nie uwierzyłam. Okazało się, że miała rację. Proszę sobie wyobrazić: jasnyniebieskie niebo, wysokie, dzikie góry oraz wtopione w krajobraz strzeliste, białe minarety i smuklejsze niż nasze topole, ciemnozielone, prawie czarne cyprysy. I jeszcze Naretwa. Zielona jak szmaragd. W Sarajewie było chłodno, nawet zimno. Tu w kontemplacji nie przeszkadzał mi nawet tropikalny upał.

TAK, JA TO PRZEŻYŁAM?

Odpowiedzialny za moje dobre samopoczucie podczas Zjazdu Orhan Wasilewski towarzyszył mi wiernie podczas oficjalnych wystąpień. Na spotkaniach towarzyszkich radził sobie musiałam sama. Swego czasu dość biegle władałam francuskim. Później, kiedy już całkiem serio zajęłam się działalnością przekładową z literatury rosyjskiej ruszczyzna stała mi się bliższa. Tak mi się przynajmniej wydawało. Nie wzięłam pod uwagę faktu, iż tłumaczone przeze mnie teksty mówiły najczęściej o miłości, tęsknocie, rozstaniu, spotkaniu, urodzie ukochanego czy ukochanej. Odzwierciedlały one wypadki liryczne rozgrywały się na tle rozbuchanej przyrody, więc zamieci śnieżnej, burzy z błyskawicami, w najbanalniejszym razie podczas nocy wiaździstej. Słownictwo więc jakie opanowałam całkiem nie nadaje się do towarzyskiej konwersacji. Kiedy przyszło mi rozmawiać z przemiłym i świetnym poetą, Włodzimierzem Cypinem (był niedawno w Łodzi) ze zgrozą skonstatowałam, że mówię językiem niesłychanie ubogim. Ale przecież Polak potrafi! Spiełam się, wzięłam w garść i zaczęłam gadać: błyskotliwie, swobodnie, dużo i przedko. Tylko że jak spostrzegłam, mina mojego interlokutora była wciąż mniej wyrażna. Dopiero, gdy już się nagadałam do syta pojełam, że posługuje się wcale nie rosyjskim, ale swoistym i śmieszonym volapikiem, złożonym ze słów białoruskich — tak zaowocowały długie miesiące spędzone nad tekstami Jakuba Kolasa — i ukraińskich, które to poznałam tłumacząc wiersze Lesi Ukrainki. Jakoś jednak się rozumieliśmy.

Z Algierką, a właściwie z zamieszkująca Algier Francuzką rozmawiałam w jej języku rodzimym, rozumiejąc naturalnie pięte przez dziesiąte, bo pani Miriam, to nader energiczna dama, więc ciągle zapomniała, iż ma do czynienia z cudzoziemką, do której trzeba mówić wolno, wyraźnie, konstruując przy tym wypowiedzi maksymalnie proste.

Z Johnem Kendrickiem, jako że on oprócz angielskiego znał tylko niemiecki dogadywałam się... po serbsku. Kendrick to nie tylko poeta, reżyser telewizyjny i aktor, ale i sportowiec. Jako taki brał udział w Sarajewskiej Olimpiadzie z 1984 r. Sportem się nie interesuje (mam w domu szalejąca dwójka kibiców, więc uważam, że to wystarczy), a na dodatek jestem osoba dobrze wychowana, więc nie spytałam Johna w jakiej konkurencji startował i jaki wynik osiągnął. Myślę, że mu się powiodło, bo bardzo się tym swoim udziałem w irzyskach chwalił.

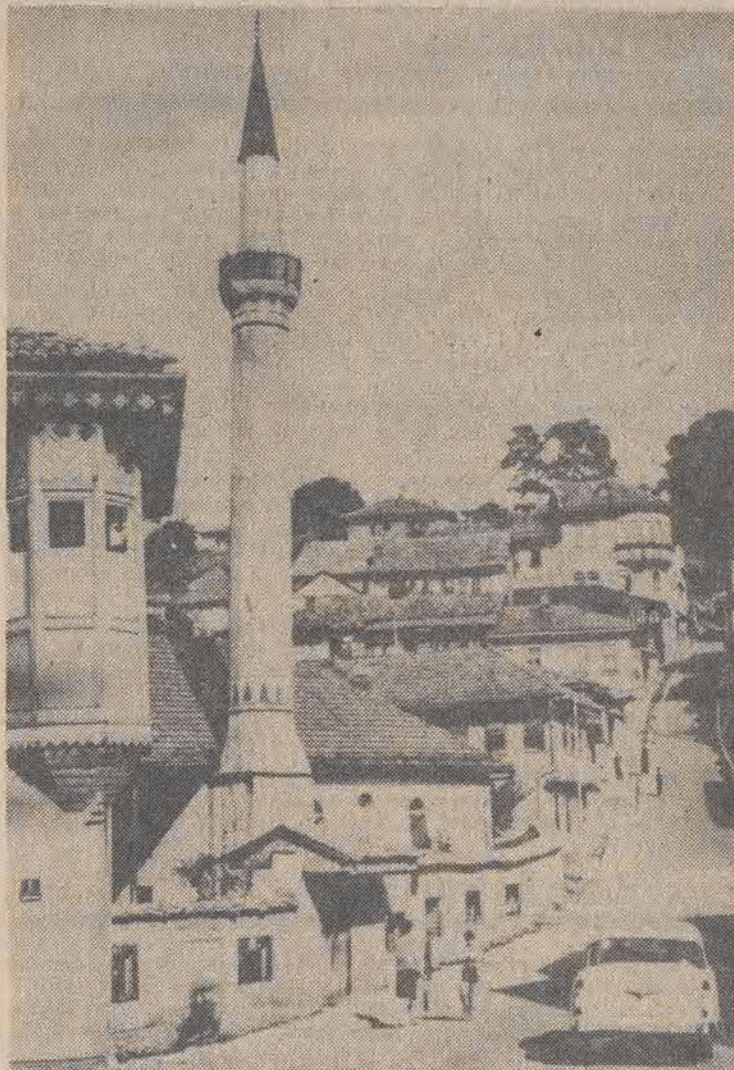
Podczas Sarajewskiego Spotkania zdarzały mi się momenty ostrej tęsknoty za domem. Kiedy się jednak wypełniły dni i przyszło wracać, przyznaję, było mi trochę żal. Gdy już dojechałam moją kuszetką, która tym razem zafundowali mi organizatorzy, do Belgradu, znów o mocno niestosownej porze (byłam na miejscu o 7 rano) zaczęłam zawracać głowę Romualdowi Czubackiemu, który notabene dzielnie znosił towarzystwo nie tylko moje, ale i Floriana Nieuważnego i Zygmunta Stoberskiego, bośmy się w budynku ambasady znów spotkali. Zygmunt Stoberski, ongiś ambasador PRL w Jugostawii, zna Belgrad jak własna kieszeń. Oprowadził więc nas po najpiękniejszych zakątkach miasta. Trzymałam się dzielnie, póki nie nadszedł czas odfrunienia. Samolot, jakby wyczuł, że go nie lubię: bez przerwy wadał w jakiejś dziury powietrzne, potem zaś wzbijał się na wyższe pułapy licho wie po co. Okropność.

A, TYMCZASEM W DOMU..

Na Okeciu oczekiwał mnie mąż z Murzyniakiem, które to po bliższym przyjrzeniu okazało się moja Joasia. Prawdziwa niespodzianka czekała mnie jednak dopiero w domu. Mieszkanie, zdanem męża i dziecka, wydmuchane, wychuchane na mój przyjazd wyglądało zupełnie tak, jakby właśnie w Łodzi ziemia się trzęsła. Ukochany kundel swojej pani, który czasem przypominał teriera, wyglądał całkiem, a to ze względu na linie, jak wyżeł. Zaprowadzenie ładu i porządku odłożyłam jednak na stosowniejsze czasy, zbliżał się bowiem Łódzki Festiwal Poezji, a dla pani domu, co strasznie nie lubi zmywać, każda okazja, która pozwoli tego akurat nie czynić, jest dobra.

Po powrocie do kraju przeczytałam świetnie napisaną książkę mojej przyjaciółki, znakomitej poetki Lucji Danielewskiej „Kwiaty dla Szeżany” (Poznań 1985). Okazało się, iż na kilka lat przed mną w sarajewskim festiwalu uczestniczyła właśnie Lucja. Rozkochana w Jugostawii i jej i między innymi sarajewskim spotkaniem poświęciła swą prozę. Wielka mi sprawiła swoja książka frajda.

A w Sarajewie było pięknie, uroczyście i wzruszająco.



Wydział prasowy Watykanu opublikował 2 marca 1981 r. oświadczenie, które było zagadką dla wielu obserwatorów. Wskazywał na katolików przypominano w nim postanowienia prawa kanonicznego odnoszące się do wolności słowa oraz to, że obowiązujący kodeks „zakazuje katolikom pod karą ekskomunikacji wstępowania do stowarzyszeń masonskich lub podobnych”. Zagadkowe w tym oświadczeniu było to, że nie było żadnego aktualnego powodu do opublikowania czegoś takiego. Postanowienie mówiące, że niedopuszczalna jest przynależność katolika do loży masonskiej i grożąca za to automatyczną ekskomunikacją obowiązywała od 1738 r. Dlaczego Watykan właśnie teraz, w marcu 1981 r., ponownie zwrócił na to uwagę? Odpowiedź nie kazała długo na siebie czekać i pokazała, że wywiad wewnętrzkościelny funkcjonuje przynajmniej tak samo dobrze, jak prywatna służba tajna Licio Gellego. Komunikat Watykanu nie powiedział oczywiście nic o tym, jak ci wszyscy dobrzy katolicy, którzy znajdowali się na listach członków P2, powinni doprowadzić do zniknięcia ich nazwisk z tych wykazów zanim wpadną one w ręce władz włoskich. Dla członka P2, Roberto Calviego z tego nierozwiązalnego najwyraźniej problemu miały wynikać fatalne skutki.

Kiedy dosięgnął go wreszcie jego los, mógł to — o ironio! — zawdzięczać swoim stosunkom z Licio Gellim, swoim protektorem i obrońcą. W 1981 r. włoski aparat wymiaru sprawiedliwości ciągle jeszcze starał się wyjaśnić bliższe okoliczności zainscenizowanego przez Sindonę uprowadzenia siebie samego. Policja przeszukała 17 marca 1981 r. wielkopanska wille Gellego w Arezzo i jego pomieszczenia biurowe w fabryce włókienniczej w Gioie. Funkcjonariusze aparatu ścigania poszukiwali dowodów na to, że Gelli maczał palce w zorganizowaniu tajnej wizyty Sindony w jego starej ojczyźnie; to, co znaleźli, było kluczem do źródła wszelkich niesześcięć i doszłszy zła, do skandalu. W szafie pancernej Gellego odkryli wszelkie i tajne dokumenty rządowe.

Listę członków P2 czytało się dosłownie jak wioskę „Who's who”. Siły zbrojne reprezentowało na niej 50 generałów i admirałów, aktualny rząd — dwóch wysokiej rangi ministrów; do nich dochodzili jeszcze przemysłowcy, dziennikarze (wśród nich redaktor naczelny CORRIERE DELLA SERA i liczni redaktorzy tego pisma), 36 deputowanych do parlamentu, gwiazdy piosenki, naukowcy i wysocy urzędnicy policji. Było to państwo w państwie. Często mówiono, że Gelli planował rozciągnięcie swojej kontroli nad Włochami. Nie jest to zupełnie szusne: on miał je już pod kontrolą.

Funkcjonariusze aparatu ścigania nie znaleźli jednak żadnych śladów samego wielkiego mistrza. Przygotowania do tej akcji prowadzone w najściślejszej tajemnicy, co oznaczało, że wiedzieli o nich tylko nieliczni, godni zaufania wyżsi funkcjonariusze policji i — oczywiście — Licio Gelli. W porę więc wyjechał do Ameryki Południowej.

Skandal, jaki po tym nastąpił, doprowadził do upadku rządu i nadal znacznego przyspieszenia dochodzeń prowadzonych przez mediolski wymiar sprawiedliwości przeciw Calviemu. Sędziemu Muccii zastąpił jego kolega, Gerardo d'Ambrosio. Od zamordowania sędziego Alessandrino minęły ponad dwa lata — dwa lata bezczynności. Nowy sędzia śledczy, który mógł prześledzić na kompromitujących dokumentach znalezionych w szafie pancernej Gellego, po dwóch miesiącach był z dochodzeniem już tak daleko, że mógł aresztować Calviego i osadzić go w celi więzienia w Lodi.

Teraz rozległ się apel do wszystkich dobrych przyjaciół o przyście z pomocą człowiekowi, który tak często pomagał innym wyjść z kłopotów (finansowych); po aresztowaniu Calviego głos w parlamencie podnieśli Bettino Craxi, silny człowiek w Partii Socjalistycznej, i Flaminio Piccoli, przywódca Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej, wyrażając się pozytywnie o samym aresztowanym i jego banku. Watykan zachował milczenie. Było to zrozumiałe o tyle, że musiał on poświęcić całą swoją uwagę znacznie ostrzejszemu kryzysowi: siedem dni przed aresztowaniem Calviego papież Jan Paweł II napotkał na Placu św. Piotra Mehmeta Ali Ağca, co o włos nie skończyło się śmiercią głowy Kościoła rzymskokatolickiego.

Podczas gdy katolicy na całym świecie modlili się, by papież przeżył, Roberto Calvi w swojej celi więziennej łamał sobie głowę nad problemem, który o wiele bardziej leżał mu na sercu: nad swoim własnym przetrwaniem. Przez swoją rodzinę zaczął wywierać nacisk na Marcinkusa; Watykan powinien, jak chciał tego Calvi, przyznać publicznie, że przez całe lata współpracował z nim ręką w rękę.

Po wielu daremnych telefonach synowi Calviego, Carlo udało się wreszcie osiągnąć Marcinkusa. Wyjaśnił biskupowi z naciskiem, jak poważna była sytuacja jego ojca i jak bardzo pomógłby mu gdyby Watykan przyznał się do swojej współodpowiedzialności. Z uwagi na bardzo rygorystycznie strzeżone w Szwajcarii tajemnice bankowe należące do Calviego Banca del Gottardo w Lugano nie mógł ujawnić prawdy, ale Bank Watykański jest sam sobie panem, a więc stosownymi oświadczeniami mógłby pośpieszyć Calviemu z pomocą. Marcinkus nie myślał jednak o publicznym przyznaniu się do współodpowiedzialności. Synowi Calviego oświadczył więc: „Jeżeli byśmy to uczynili, wówczas ucierpiałaby nie tylko IOR i reputacja Watykanu. Straciłbyście rzy tym również wy, ponieważ nasze problemy są także waszymi — obłemami!”

Tak też było w rzeczywistości: oba banki były ze sobą wewnętrznie powiązane, i to już od lat. Biskup Marcinkus stanął przed dylematem. Powiedzenie prawdy oznaczałoby narazenie Watykanu na gniew włoskiej opinii publicznej. Milczenie oznaczałoby zostawienie na lodzie Calviego połączone z nadzieją, że tajemnica pozostałaby głębokie i utrzymujące się nadal uwikłanie Watykanu w ciemne interesy Calviego i że po jego procesie znowu przeszłoby się nad tym do porządku dziennego. Biskup Marcinkus zdecydował się na to ostatnią drogę. Bez wątpienia w podjęciu tej decyzji odgrywało rolę rozważanie, że ze wszystkich kryminalnych poczynań Calviego tylko dwa były przedmiotem zbliżającego się procesu: przypadek „Toro” i przypadek „Credito Varesino”; Calvi sprzedał sobie samemu po bardzo zawyżonym kursie akcje obu tych firm. W trakcie tej operacji Calvi popełnił przestępstwo polegające na nielegalnym wywozie kapitału z Włoch. Mediolski wymiar sprawiedliwości miał nadzieję, że w tym przypadku będzie mógł udowodnić mu naruszenie przepisów. Marcinkus ze swej strony liczył na to, że jeżeli zainteresowanych nie zawiodą nerwy i będą milczeli, wszystko będzie można zakwalifikować jako drobny wypadek przy pracy bez poważnych następstw. Calvi nie był tak ufny, jak jego porywczy przyjaciel od interesów z Watykanu. Za mało podszkoleny uważał jego hasła o potrzebie przetrwania. Tymczasem w międzynarodowym świecie bankowym mocno potrażano z niedowierzaniem głowami, że Roberto Calvi ze swej celi więziennej nadal kierował interesami Banco Ambrosiano.

Siódmego lipca wymiar sprawiedliwości oskarżył oficjalnie Michele Sindonę o podżeganie do marnotrawstwa (na Giorgio Ambrosolinim) Szczególnie interesująca jest reakcja Calviego na ten fakt; następnego wieczoru podjął próbę samobójstwa. Zajął środki nasenne i podciął sobie żyły. Motywy tego wyjaśnił potem następująco: „...z czegoś takiego, jak rozpaczyliwy impuls wewnętrzny. Ponieważ we wszystkim, co mi wyrażano, nie było ani krztu sprawiedliwości. Nie mówię tu o procesie”. Gdyby rzeczywiście chciał odebrać sobie życie, wystarczyłoby mu tylko przemycić do swojej celi i zażyć zalecaną przez Gellego dawkę narkotyków. Nie wywarło to specjalnego wrażenia na jego sędziach. Dwudziestego lipca skazano go na cztery lata pozbawienia wolności i grzywnę w wysokości 16 mld lirów. Jego adwokat natychmiast odwołał się od tego wyroku i Calviego za kaucją wypuszczono na wolność. W ciągu tygodnia po zwolnieniu z więzienia rada nadzorcza Banco Ambrosiano jednomyślnie zatwierdziła go na stanowisko dyrektora generalnego banku. W międzynarodowym świecie bankowym znowu z niedowierzaniem potrażano głowami. Było tak, jak powiedział to biskup z Chicago: przeszło się nad tym do porządku dziennego.

P2 najwyraźniej nadal była czynnikiem władzy. Włoski Bank Państwowy nie poniósł żadnych zastrzeżeń wobec powrotu Calviego na jego stanowisko. Rząd włoski nie poczynił żadnych przygotowań, by położyć kres tej złej grze, w wyniku której na cze-

le jednego z największych banków w kraju stał człowiek skazany za poważne uchybienia finansowe.

Z krytyką wystąpił jeden jedyny bankier: Roberto Rosone, urzędujący dyrektor Banco Ambrosiano, doradzał pilnie włoskiemu Bankowi Państwowemu, by zabiegał o odwołanie Calviego i zastąpienie go byłym przewodniczącym zarządu banku, Ruggiero Mozzana. Włoski Bank Państwowy pozostał jednak głuchy, przeżył najwyraźniej szacunkiem dla potęgi P2 i wpływów politycznych, jakie z biegiem lat kupił sobie Calvi.

Druga potencjalnie zagrażająca imperium bankowemu Calviego sytuacja wytworzyła się w Peru i Nikaragui. Aby uwrócić się z nią Calvi zmobilizował pomoc Marcinkusa. Podczas procesu biskup odmówił mu wszelkiej pomocy, ale teraz był gotów udzielić wsparcia, by zapobiec ujawnieniu operacji kryminalnych przeprowadzonych wosnime przez nich obu.

W czasie procesu Calviego Watykan podał do publicznej wiadomości, że papież Jan Paweł II powołał komisję składającą się z 15 kardynałów i postawił przed nią zadanie zbadania finansów Kościoła rzymskokatolickiego. W rzeczywistości komisja ta miała za zadanie opracowanie propozycji umożliwiających pomnożenie dochodów Watykanu.

Biskup Paul Marcinkus nie wchodził w jej skład; miał jednak uczucie, że jako szef Banku Watykańskiego może wnieść duży wkład w jej prace, jeśli chodzi o zawile problemy finansowe watykańskie. Wielokrotnie prowadził rokowania z tymczasem skazanym i wypuszczonym na wolność za kaucję Calvim. Efektem rokowań było oficjalne opublikowanie przez Bank Watykański informacji, że jego zadłużenie jest o prawie miliard dolarów większe, niż dotychczas zakładano. Odpowiadało to dokładnie sumie wierzytelności banków Calviego w Peru i Nikaragui, a dokładniej mówiąc kredytów, które zapewniły one wielokrotnie wspomnianym już pozornym firmom panamskim. Gwarancje tych ogromnych kredytów były równe zeru. Dla odpowiedzialnych w Peru i Nikaragui było to straszne. Kto zapłaciłby w razie czego rachunek? Do kogo konkretnie należały te tajemnicze firmy panamskie? Kto pożyczyl sobie tak duży pieniądze nie mając żadnego zabezpieczenia? Martwili się przede wszystkim kierownicy filii peruwiańskiej, gdyż ich wierzytelności opiewały przecież na okrągłą sumę 900 mln dolarów.

Tak wyglądały sprawy, kiedy w sierpniu 1981 r. Calvi i Marcinkus zainscenizowali swoje największe oszustwo.

„W imieniu Boga” — tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Dokumenty miały być znane jako „listy patronackie”. Nie dają się one do tego, by wzbudzić u jakiegoś katolika zaufania do moralnej nieskazitelnosci tych w Watykanie. Dokumenty te noszą nagłówek firmowy Istituto per le Opere Religiose i datę 1 września 1981 r. Ich adresatami były Banco Ambrosiano Andino w peruwiańskiej Limie i Ambrosiano Group Banco Commercial w Nikaragui. Tekst przygotowany i podpisany na polecenie biskupa Paula Marcinkusa przez Luigi Menniniego i Pellefino de Strobla brzmi:

„Szanowni Panowie.

...niniejszym potwierdzamy, że bezpośrednio lub pośrednio kontrolujemy większość udziałów w niżej wymienionych (firmach) Manic S. A. Luksemburg, Astolfine S. A., Panama, Nordeop Establishment Liechtenstein, U. T. C. United Trading Corporation, Panama, Bellatrix S. A., Panama, Starfield S. A., Panama, Belrose S. A., Panama.

Potwierdzamy także fakt zadłużenia (tych wymienionych firm) u Panów w wysokości wynikającej z załączonego wykazu sald na 10 czerwca 1981 r.”

Z załączonego wykazu wynikało, że zadłużenie wymienionych firm u samej tylko peruwiańskiej filii Ambrosiano wynosiło 907 mln dolarów.

Personel kierowniczy w Nikaragui i Peru odetchnął z ulgą. Ludzie ci mieli teraz wykazane czarno na białym, że tak wiele pieniędzy był im winien nikt inny, jak sam Watykan. Tym samym za długi te ręczył Kościół rzymskokatolicki. Lepszych gwarancji nie mógłby sobie życzyć żaden bankier.

Cała sprawa miała tylko jeden mały haczyk. Dyrektorzy banków w Peru i Managuil nie wiedzieli wszystkiego. Był jeszcze jeden list. Napisał go Roberto Calvi z datą 27 sierpnia 1981 r. Adresatem był Bank Watykański. Marcinkus otrzymał go zanim Bank Watykański przyznał się do swojej odpowiedzialności za wspomniane wyżej miliardowe długi. List Calviego zawierał najpierw formalną prośbę o owe listy patronackie, w których Watykan miał dać do zrozumienia, że jest właścicielem firm luksemburskich, panamskich i w Liechtensteinie. Z wyznania tego, jak wyraźnie zapewnił Calvi, „nie wynika jednak dla IOR żadne zobowiązanie”. Jego list kończyło zapewnienie, że Bank Watykański, niezależnie od tego, co się wydarzyło, nie poniesie „w przyszłości żadnych szkód lub strat”. Tym samym ootajmienie znowu zwolniono Bank Watykański od odpowiedzialności, która oficjalnie miał przyjąć.

To poufne pismo Calviego do Marcinkusa mogło uzyskać jakieś znaczenie prawne tylko wówczas, gdy o tego istnieniu i dokładnej treści poinformowano dyrektorów filii Ambrosiano w Peru i Nikaragui. Ponadto ta umowa między Calvim i Marcinkusem wymagałaby zatwierdzenia większości głosów przez zarząd Banco Ambrosiano w Mediolanie. Wreszcie, aby uzyskać moc prawną, jego pełna treść powinna była być przekazana do wiadomości akcjonariuszom Banco Ambrosiano, włącznie z wieloma małymi akcjonariuszami w Mediolanie i okolicy.

Porozumienie między Calvim i Marcinkusem w formie udokumentowanej w obu listach spełniało „bez wątpienia kryteria przestępstwa kryminalnego. Fakt, że historia ta zrodziła się dokładnie w trzecią rocznicę wyboru Albino Lucianiego na papieża, nadaje całej sprawie jeszcze bardziej pląsawy charakter. Człowieka, który postanowił zlikwidować korupcję w Watykanie, zastąpił na tronie papieskim ktoś, kto z całego serca wierzył biskupowi Marcinkusowi.

Do kolejnego makabrycznego zbiegu okoliczności doszło, kiedy 28 września 1981 r., w trzecią rocznicę śmierci Albino Lucianiego papież Jan Paweł II mianował Marcinkusa zastępcą przewodniczącego komisji pontyfikalnej dla państwa watykańskiego. Oznaczało to nic innego, jak tylko to, że Marcinkus został praktycznie gubernatorem lub szefem rządu państwa watykańskiego. Objęcie tego stanowiska było automatycznie związane z nominacją na arcybiskupa. Obok swego nowego urzędu Marcinkus zachował dotychczasową funkcję szefa Banku Watykańskiego.

Jego pochodzenie litewskie, jego tradycyjnie bliiski stosunek z

Polakiem i znajomość trudności jego narodu, jego osobista bliskość z papieżem z uwagą na pełnione funkcje osobistego ochroniarza i „szefa bezpieczeństwa” podczas podróży zagranicznych, wszystko to razem spowodowało, że Paul Marcinkus znalazł — osobie Karola Wojtyły najpotężniejszego protektora i obrońcę, jakiego mógłby sobie tylko życzyć członek Kurii. W oficjalnym stanowisku Watykanu Sindona, Calvi i inni podobni są złoćyńcami; na których wyrafinowane oszustwa dali sięabrać naiwni, prostoduszni duchowni. Istnieją tu tylko dwie możliwości — albo Marcinkus przez lata całe okłamywał papieża Jana Pawła II i pozostawał go w nieświadomości, albo był on i test we wszystko wtajemniczony; w tym wypadku sam powinien stanąć pod przegięciem.

W tym samym czasie, gdy Karol Wojtyła ze swoją godną uwagi charyzmą przed całym światem oświadcza, że mężczyzna, prostoduszni duchowni, Istnieją tu tylko dwie możliwości — albo Marcinkus przez lata całe okłamywał papieża Jana Pawła II i pozostawał go w nieświadomości, albo był on i test we wszystko wtajemniczony; w tym wypadku sam powinien stanąć pod przegięciem.

W tym samym czasie, gdy Karol Wojtyła ze swoją godną uwagi charyzmą przed całym światem oświadcza, że mężczyzna, prostoduszni duchowni, Istnieją tu tylko dwie możliwości — albo Marcinkus przez lata całe okłamywał papieża Jana Pawła II i pozostawał go w nieświadomości, albo był on i test we wszystko wtajemniczony; w tym wypadku sam powinien stanąć pod przegięciem.

Ze swojej siedziby w stolicy Urugwaju, Montevideo, Licio Gelli utrzymywał stały kontakt z Roberto Calvim. Wielki mistrz, który ciągle jeszcze pociągał za ważne sznurki i ciągle jeszcze wymuszał na bankierze duże sumy pieniędzy, telefował wczesto, kiedy Calvi przebywał w swojej willi w Arezzo. Zna Calviego, Clara i jego córka, Anna potwierdziły, że poza nimi numer telefonu znali tylko Gelli i Umberto Ortolani — „czerwony telefon” P2. Gelli nigdy nie wymieniał swego nazwiska, gdy przy telefonie była pani Calvi lub którejś z jej dzieci i pytali, z kim rozmawiają. Używał zawsze określonego pseudonimu: Luciani.

Wielki mistrz P2 używał w kontaktach z Calvim pseudonimu Luciani już od 1978 r. Dlaczego właśnie tego nazwiska? Czy jako pozostałego wspomnienia o określonym wydarzeniu? Czy jako stałej, dyskretnej groźby, że on, szantażysta par excellence, zna bliższe szczegóły tego wydarzenia i mógłby ujawnić swoją wiedzę, jeżeli nie otrzymywałby regularnie wystarczających ilości pieniędzy? Bez wątpienia Gelli otrzymywał pieniądze tak jak do tej pory. Calvi płacił mu aż do sortkiego końca. Bądź co bądź wielki mistrz Calvi wpadł we Włochy i musiał osiaść w Ameryce Południowej; a włoski aparat wymiaru sprawiedliwości ścigał go z wielu przyczyn: dlatego nie mógł zapewnić Calviemu dużej protekcji. Za co więc te miliony dolarów, które po każdym telefonie „Lucianiego” wpływały na konta Gellego? Calvi ocenił, że na końcu Gelli i Ortolani zebrali około 500 mln dolarów.

Kilka miesięcy przed wybuchem skandalu z P2, a więc w czasie, kiedy wielki mistrz przebywał jeszcze we Włochach, Calvi podjął zupełnie wyraźne próbe zerwania wszelkich mostów do Gellego. Dlaczego unikał podchodzenia do telefonu? Dlaczego członkom swojej rodziny polecił by mówili, że jest chory lub nie ma go w domu? Sądząc z wypowiedzi rodziny Calviego, Gelli, nie nasycony zbieracz tajemnic i kompromitujących informacji, musiał mieć coś, co umożliwiło mu utrzymanie Roberto Calviego w reku. Cóż to musiała być za tajemnica, która znał Gelli, i jaka okropna musiała ona być, skoro Calvi na samo tylko wspomnienie nazwiska Gellego poclił się ze strachu na całym cielem?

Gelli panował nad Calvim aż do jego śmierci. Kiedy zagwiżdzał, Calvi podrywał się. W końcu 1981 r., na życzenie Calviego stanowisko jednego z zastępców przewodniczącego zarządu Banco Ambrosiano objął Carlo de Benedetti, dyrektor generalny firmy Olivetti. Calvi słusznie obiecywał sobie po tym człowieku pozytywnego wpływu na wizerunek Banco w oczach opinii publicznej. Gelli i Ortolani w Urugwaju odnotowali natychmiast te nowości z przerażeniem. Przewodzący człowiek w zarządzie — to kłóciło się z ich zamiarem kontynuowania plądrowania Banco Ambrosiano.

„Luciani” chwycił za słuchawkę i wybrał numer prywatnego telefonu Calviego w willi w Arezzo. Od tego momentu Calvi u-trudniał życie człowiekowi z Olivetti, którego sam sprowadził do Banco Ambrosiano. „Musiał pan być szczególnie ostrożny”, powiedział do Benedettiego. „P2 kompletuje pana dossier. Radzę panu być ostrożnym, ponieważ wiem o tym”. Niecały miesiąc później Benedetti zrezygnował ze swej funkcji w zarządzie Banco Ambrosiano.

Grupa akcjonariuszy Banco Ambrosiano z Mediolanu wysłała do Jana Pawła II obszerny list ze skargą, zaopatrzony w szczegółowy, dokumentujący wszystko załącznik. List nosił datę 12 sierpnia 1982 r. i był jednym niszczącym atakiem na bank. Wskazano w nim na stosunki między Marcinkusem, Calvim, Gellim i Ortolanim. Akcjonariusze byli oburzeni szczególnie tym, że właśnie ten kiedys znany, katolicki Banco Ambrosiano i Bank Watykański wdały się w sojusz z tak niecznymi ludźmi, (...).

List kończył się usilną prośbą do papieża Jana Pawła II o radę i pomoc. Mimo że papież mówił wieloma językami, w tym także włoskim, mediolańscy dali przetłumaczyć list na polski i poczynili niezbędne kroki gwarantujące, by ani następca Vilofa, Casaroli, ani ktokolwiek inny z aparatu Kurii nie miał możliwości przechwycenia go zanim trafiłby w ręce papieża. Autorzy listu do dziś damennie czekają na odpowiedź. Nie otrzymali nawet formalnego potwierdzenia, że ich list dotarł do adresata.

Calvi wiedział o tym liście i wiedział także, iż napisano go i wysłano za zgodą jego urzędującego dyrektora, zastępcy przewodniczącego zarządu, Roberto Rosone'a. Ze swoim przyjacielem, z którym był po imieniu i bratem z loży P2, Flavio Carbonim rozmawiał o niebezpieczeństwie, jakie snrowadzały na bank starania Rosone'a o zaprowadzenie porządku.

Flavio Carboni miał wszędzie dobrych przyjaciół i stosunki. Do jego zaufanych należeli także obaj królowie podziemia rzymskiego, Danilo Abbruciati i Ernesto Diatavelli.

Rankiem 27 kwietnia 1982 r., kilka minut przed ósmą, Rosone wychodził ze swego mieszkania. Miał szczęście, że mieszkał bezpośrednio nad filią Banco Ambrosiano, która jak wszystkie banki włoskie jest cała dobe strzeżona przez uzbrojony personel. Kiedy Rosone wyszedł na ulicę, zbliżył się do niego jakiś człowiek i otworzył ogień. Rosone trafiony w nogi upadł na ziemię. Strażnicy bankowi odpowiedzieli ogniem. Kilka sekund później na ziemi leżał również zamachowiec. Był martwy. Był nim Danilo Abbruciati.

Następnego dnia na próbie zabójstwa Rosone'a, 28 kwietnia Flavio Carboni przekazał pozostałemu przy życiu drugiemu szefowi rzymskiego podziemia 530 000 dolarów. Zadanie zostało wprawdzie spartaczone, ale Calvi był człowiekiem, który płacił swoje rachunki — oczywiście pieniędzmi należącymi do innych.

Calvi, który bez wątpienia polecił zamordować swego zastępcę, pośpieszył się z odwiezieniem rannego i nie zapomniał przy tym także o obligatoryjnym bukietcie kwiatów „Madonna! Cóż to za świat zwiariowanych. Chca na straszny Roberto, by w ten sposób zdobył w swoje ręce grupę, która jest warta 20 000 miliardów lirów”.

C.D.N.

Fragmety książki Davida Vallona
„In God's Name”

W kręgu fantastyki

Dlaczego okrucieństwo? Instynkt myślowy jest jednym z najstarszych. Nie będę go porównywał z instynktem przedłużenia gatunku, jednakże przez wiele tysięcy przedłużenie gatunku zależało od tego, jak powiodło się myślowym plemieniom, od tego ile zdobyły przynęty.

Łoziński poruszał się po hallu hotelu nieśpiesznie, miękkimi krokami. Równie miękkie, płynne były jego gesty, zaś aksamitny głos pełen szczeroci przekonywał. Łoziński miał wygląd zewnętrzny człowieka, który po prostu nie może nie mieć racji. Nawet oklepamy frazes w jego ustach wydawał się odkryciem. Jednakże Ratinow uporczywie nie poddawał się hipnozie.

— Puste słowa — powiedział wznosząc ramię — Puste słowa, które nie mają mocy. — Po prostu słowa, którymi chce pan zamaskować właściwy cel polowania, jakim jest zabójstwo. Pogoń i zabójstwo.

— Niech pan posłucha — Łoziński wyciągnął rękę w geście protestu — czy wyglądam na zabójcę? A Benjamin? A Margarita?

— Nie wyglądam, zgodził się Ratinow. — Ale to nie ma znaczenia. Macie w kieszeniach licencje na zabójstwo, te wasze licencje na odstrzał.

Margarita uśmiechnęła się, popatrzyła na Beniamina, a potem na swoje odbicie w lustrzanej powierzchni stołu.

— A propos, co pan jadł dziś na obiad? — zapytał nagle Łoziński.

Ratinow wykrzywił usta w grymasie lekceważenia.

— Wiem co chce pan powiedzieć. Tylko że rzecz zupełnie nie w tym.

Ale Łoziński nie zamierzał odmówić sobie przyjemności użycia przygotowanego argumentu.

— A właśnie, że w tym. Dziś na obiad jadł pan sztukę mięsa wołowego. Wól ten nie tak dawno spacerował po zielonych polach z dzwoneczkami na szyi. Miał dobrą mordę i ładne oczy. Może to rzeczywiście okropne, ale przed usmażeniem na ruszcie usmiercono go lub jak kto woli — zabito, bo to jedno i to samo.

— Nie należy mieszać zdobywania pokarmu z zabijaniem dla przyjemności.

— Dlaczego tylko dla przyjemności? Czyż nie podoba się panu odzież ze skórek monsów? Najdelikatniejsze jedwabiste futro, Nie da się z nim porównać żadnej imitacji. To przecież prawdziwy cud przyrody. A w jaki sposób może pan regulować ich liczebność na planecie?

— Nie sądzę, by bardzo potrzebna im była taka opieka — sceptycznie zauważył Ratinow.

— I nie ma pan racji. Krótko przed pojawieniem się człowieka na Dorianie populacja monsów była bliska wymarcia. Prawie nie posiadały naturalnych wrogów, co doprowadziło do zgubnych następstw. Wspaniałe warunki pogodowe, obfitość pożywienia i w efekcie nieunikniona katastrofa — gwałtowny wzrost liczebności, regres i degeneracja gatunku.

— Niezupenie masz rację — cicho powiedział Benjamin, który po raz pierwszy wnieśli się w spór. — Słyszałem inną opinię na temat przyczyn gwałtownego spadku liczby monsów. Przypuszcza się, że przyczyną była epizootia. Jakiś wirus — mutant... Coś takiego zdarzało się niedługo również i na Ziemi...

— Większość w danym przypadku sądzi inaczej.

— Powiedział pan: prawie nie posiadają naturalnych wrogów? — przerwał Ratinow — Co to znaczy „prawie”?

— To także nie w pełni jasny moment w ekologii planety — uradowany możliwością przewrótka nieprzyjemnego sporu Łoziński usiadł tak, by jednocześnie widzieć swego rozmówcę i Margaritę i zaczął wyjaśniać.

— To „prawie” oznacza, że tak w ogóle to drapieżniki tu są, tyle że jest ich stosunkowo mało i gromadzą się w określonych strefach Lasu. Chociaż warunki w tych strefach nie różnią się niczym od warunków w innych rejonach.

— Rezerwat? — Rezerwat? — Łoziński ze zdziwieniem podniósł brwi, a potem uśmiechnął się.

— Na to wygląda, że trudno wyobrazić sobie monsy w roli troskliwych panów tych drapieżników. Jeśli chodzi o poziom rozwoju to monsy znajdują się na poziomie o wiele niższym od ziemskich kockodanów, choć mają z nimi określoną cechę wspólną. Dobrze rozwinięte górne kończyny, na przykład. Ale już ich mózg jest wyjątkowo prymitywny. Ale i pan o zagadkach planety może powiedzieć niemało. O ile wiem przyleciał pan na Dorianę nie dla rozrywki tylko w związku ze znalezieniem naskalnych rysunków?

— Tak — kiwnął głową Ratinow — tylko że opowiadać nie ma jeszcze o czym. Nic jeszcze nie widziałem i nie mam nawet wyrobionej własnej opinii na ten temat. Znam te rysunki tylko z fotografii. Mam nadzieję, że jutro w Mieście dowiem się o nich czegoś więcej. Ale zagadka jest rzeczywiście niezła. Rozumu na planecie nie ma, a rysunki nie są takie znów stare.

— ...nie odkryto — cicho powiedział Benjamin.

— Co pan powiedział? — Wydaje mi się, iż mówiąc o rozumie właściwiej byłoby użyć zwrotu „nie odkryto”.

— Nie widzę szczególnej różnicy — zaproponował Ratinow. — Specjaliści od Doriany gwarantują, że rozumne istoty na planecie nie zostałyby zniszczone. Te rysunki to jedyny dowód. Rzecz jasna, jeśli to nie mistyfikacja.

Otworzyły się drzwi i do hallu weszli ludzie w błyszczących od wilgoci pelerynach, z jednokowymi plecakami i schowanymi w futerałach karabinami. Przybyła jeszcze jedna grupa myślowych. Ratinow podniósł się.

— Przybył aerokar z miasta. Czas na mnie. Udanego polowania.

Głos kierownika faktorii był monotonny i nudny jak deszcz bez przerwy kropiący z szarego nieba na helmy myślowych.

— Każdy z was ma prawo zabić tylko trzy monsy — mówił Sool — tylko trzy. Nie wolno zabijać stworzeń w wieku do dwóch lat i samiec z małymi. Nie wolno wychodzić poza granice wyznaczonego na polowanie sektora. Nie wolno stosować hipoprzynęty i akustycznych paralizatorów...

— Boże, jak mi to obrzydło! — szepnęła do Łozińskiego Margarita. — Cztery raz w przeciągu ostatniej doby słucham tego samego. Żeby choć szuk dała pozmieniała.

Łoziński nachylił się nad uchem Margarity i Benjamin nie usłyszał co jej odpowiedział.

— ...Nie wolno polować ponad wyznaczony czas, a konkretnie: po upływie dwóch dob liczonej od chwili obecnej.

Sool zamilkł i z minuty przyglądał się stojącym przed nim myślowym. Jego obojętny wzrok wędrował z jednego na drugiego.

— To co, możemy iść? — powiedziała głośno Margarita.

Sool nawet się nie poruszył. Margarita z rozdrażnieniem zagryzała wargę i szarpnęła ramię karabinu.

— Ani jeden argument na usprawiedliwienie

BORYS RUDIENKO

Polowanie

naruszenia jednego z wymienionych przepisów nie zostanie wzięty pod uwagę — powiedział w końcu Sool. — Ten kto naruszy przepisy polowania na zawsze pozbawia się prawa odwiedzania rezerwatów i natychmiast zostaje wypędzony z Doriany.

Podniósł rękę z chronometrem.

— Wasz czas rozpoczął się!

Dwanaście trójek myślowych, rozchodząc się w wachlarz, ruszyło ku granicy lasu ogrodzonego gęstą siatką deszczu. Łoziński szedł na czele swej trójki, za nim Margarita, ostatni — Benjamin. Przy pierwszych drzewach Benjamin obejrzał się i wydało mu się — tylko wydało, albowiem z takiej odległości niczego nie można było być pewnym — że z postaci Soola u wrót Faktorii emanowała pogarda dla odchodzących.

Rano młodzianka brunatna samiczka urodziła dwójkę ślepych, bezwłosych dzieci i Supermózg wreszcie obudził się. Zerknął na las mnóstwem par oczu i uświadomił sobie, że znowu istnieje. Jedyny Rozum stworzony przez planetę. Pierwotny gospodarz lasu.

„Jak długo trwał niebyt — pomyślał — i jakież on nieprzyjemny”.

Był cudowny ciepły dzień i Supermózg, mimo pragnienia myśli, które wybuchło w nim po długim okresie bezczynności, pozwolił sobie na chwilę słabości i zachłysnął się cudem istnienia.

„Wskutek czego nastąpił niebyt? — przypomniał sobie Supermózg — Przecież zdaje się wszystko szło tak dobrze i prawidłowo. Co go poprzędzowało?”.

Niebyt poprzedzała Śmierć. Tak było zawsze i Supermózg dobrze to wiedział. Ale co było wcześniej? Przecież wszystko układało się tak pomyślnie. Okrutne surdy zostały odegbrane daleko od granic terytorium plemienia. Młode pędy krzewów zasadzone z początkiem pory ciepłych deszczy lada moment powinny były dać pierwszy urodzaj... I coś się stało.

Supermózg przypomniał sobie. Przed Śmiercią przyszedł Ból, kiedy upadł i zawierzgał kończynami samiec z suchych Zarośli. W ślad za nim, w takich samych konwulsjach, padły jeszcze dwa monsy i Supermózg przestał widzieć świat ich oczyma, choć jeszcze przez jakiś czas odczuwał ich ból.

W ten sposób przychodziła Choroba. Jak zawsze, jak i wcześniej. Ale tym razem jej wybuch spowodował wytrzebienie większej części plemienia i Supermózg umarł również. Był martwy bardzo długo, tak długo, że zdążył zapomnieć wiele rzeczy. Tych, których ominęła choroba i śmierć wskutek starości pozostało bardzo niewiele.

Supermózg rozejrzył się. To było takie przyjemne widzieć wszystko od razu, jednocześnie setkami i tysiącami par oczu. Na kamiennym płaskowyżu pozostała tylko jedna rodzina, choć pokarmu starczyłoby tu dla dużego stada. W tym sezonie doskonale rosły korzenie północnika. A nad Czarną rzeczką zrobiło się ciasnowo. Pojawiło się wiele dzieci. Trzeba było przesiedlić dwie rodziny znad Czarnej rzeczki na płaskowyż. Tym Supermózg zajął się w pierwszej kolejności...

— Ten las jakby wymarł — powiedziała Margarita. — Gdzie te pańskie monsy?

— Zbyt jest pani niecierpliwa, Rita — uśmiechnął się Łoziński — Niech pani bierze przykład z Beniamina. On też jest pierwszy raz na polowaniu. Co prawda nie ma w sobie żyłki hazardu. Nigdy nie zrozumie uroku pogoni. Prawda, Benjamin?

— Nie wiem — odparł Benjamin. — Być może masz rację. To po prostu ciekawość.

— Ciekawość? Też nieźle. Ale jeśli dobrze zrozumiałem, to nie tylko monsy interesują cię w tym lesie.

— Moglibyśmy iść o wiele szybciej, gdybyśmy nie marnowali czasu na rozmowy — powiedziała chłodno Margarita.

— Pada dziś — powiedział szybko Benjamin — jesteś pewien, że zdołasz odnaleźć ślady?

— Swego pierwszego monsa wytropiłem dzieśmi lat temu — niedbale odparł Łoziński.

Ruszył szybciej, posuwał się sprężystym, długim krokiem, jakby się ślizgał po mokrej trawie. Wysoki i silny, z czarną kręconą brodą jakby stał się częścią tego lasu.

Z lewej, w odległości trzech kroków, nagle wzdęła się ziemia. Potężny kawałek darni oderwał się od swego łoża, pomknął skokami pomiędzy drzewami. Łoziński szybkim ruchem pochwylił podniesiony przez Margaritę karabin.

— Nie trzeba. Skoczek to nie trofeum dla nas.

— O mało nie strzeliłam.

— Ma pani wspaniały refleks — pochwalił ją.

— Tylko, że ten wystrzał mógł kosztować licencje. Może na razie odda pani karabin Beniaminowi?

— Nie — powiedzieli jednocześnie Benjamin i Margarita.

— To jest oczywiście — poprawił się po sekundzie Benjamin — jeśli ci ciężko...

— Niechętno mi — kategorię uciecia Margarita.

— Można by pomyśleć, że boisz się broni, Beniaminie — powiedział Łoziński.

— Nie lubię jej. Nie chcę wystawiać się na pokusę. Nie chcę zabijać.

— To nie zabójstwo — cierpliwie powiedział Łoziński. — Nie płacz pojęt. To polowanie. I nie tylko polowanie. To także sanitarny odstrzał. Monsy zaczynają chorować, kiedy ich liczba przekracza ekologiczną normę i wtedy ginie ich znacznie więcej.

— Zdaje się, że rozpoczyna się stary spór — powiedziała Margarita. — Znowu tracimy czas.

W czasie gdy trwał Niebyt, las zmienił się. Zdziczały kołonie północnika, a pnie palm wys-

trzęli wysoko w niebo. Nie zdziwiło to Supermózga, przecież spał tak długo. W lesie pojawili się obcy, niepodobni do wszystkiego tego, co znał od tej pory. Na razie jeszcze ich nie widział, wyczuwał tylko ich obecność. Obcy nie byli podobni do skoczków, surd i innych mieszkających lasu. Dysponowali rozumem. Spróbował włączyć się w ich system nerwowy, ale nic z tego nie wyszło. Był zaskoczony. Nieznane istoty nie zamierzały wesprzeć jego wysiłków, po prostu nie słyszały go. To było niezrozumiałe. Postanowił przemysleć wszystko nieco później, kiedy pozna lepiej obcych. Teraz natomiast do załatwienia było wiele ważnych spraw. Należało wypędzić z lasu samca surda, który zszedł z gór. Samca szybkiego, silnego i bardzo niebezpiecznego. Zwierzę tylko co pożarło skoczka i drzemało w pobliżu zakola jednego z małych dopływów rzeki Czarnej. Stado monsów latwo da sobie z nim radę, doszedł do wniosku Supermózg i trzy dziesiątki puszystych zwierzątek z najbliższych rodzin otoczyło półkolem śpiącą surdę...

Ostra trawa prostowała się za ludźmi nie zachowując śladów. Ponure szare światło przesączało się przez gęsto splecione korony drzew w akompaniamentem szmeru długich kropli deszczu.

Atak gwałtownego, nie mającego żadnej realnej przyczyny niepokoju minął, nim Benjamin zdołał zdziwić się.

„Czyżby nerwy?” — pomyślał, ciesząc się jednocześnie, że ani Margarita, ani Łoziński nie zauważyli tej jego trwającej minutę chwili słabości. Łoziński nagle zatrzymał się, podniósł rękę.

— Ślady — powiedział glucho.

Na lekko pochylonym zboczu gliniastego wzgórza widniały łańcuszki półkolek. Janki już wypełniły się deszczówką, ale ich zarysy pozostały wyraźne. Łoziński zrzucił z pleców karabin i plecak.

— Koniec. Odpoczywamy. Benjamin, ustaw namiot pod tym drzewem.

— Dlaczego? — zapytała Margarita. — Wcale się nie zmęczyłam.

— Ja się zmęczyłam — uśmiechnął się Łoziński — Benjamin również.

Benjamin zamierzał zaoponować, ale Łoziński powstrzymał go krótkim gestem. — Na dogonienie stada trzeba nam będzie sporego zapasu sił. Dlatego musimy odpocząć!

Zaszyli się w namiocie i zjedli po tubce koncentratu pokarmowego. Potem Benjamin wsunął puste tubki do utylizatora i poprzez kłape namiotu wyspał na zewnątrz garstkę popiołu. Teraz szmer deszczu wywoływał wrażenie przytulności. W półmroku Margarita sprawiała wrażenie maleńkiej i bezbronnej, Benjamin odwrócił się udając, że poprawia zamek plecaka.

— Beniu, nie żałujesz, że poszedłeś z nami? — cieniutkim głosem, po dziecięcemu zapytała Margarita.

— Dlaczego — odpowiedział mężczyzna. — To dobry odpoczynek, nie gorzy niż w kurorcie.

— Zmordowałam cię, wlokę za sobą — powiedziała łąkawkie kobieta.

— Sądzę, że Benjamin nie jest z tego powodu specjalnie zmartwiony — wymamrotał sennie Łoziński.

— A mógłbyś zastrzelić surdę, Beniu? — zapytała Margarita.

— Po co?

— Przypuszcmy, że ona na mnie napadła — rozciągała słowa niczym uczennica odpowiadająca przy tablicy.

Łoziński przyznał w swoim kąciku.

— Sool mówił, że surda nie napada na ludzi — odpowiedział Benjamin. — To kiedyś uważano ją za niebezpieczną. Tymczasem żywi się ona skoczkami i monsamami.

— A gdy się ją ściga? Wtedy również nie napada?

— Nie wiem... Być może w sytuacji bez wyjścia...

— Nie znajdziesz się w takiej sytuacji — uspokoił dziewczynę Łoziński — bo polujemy na monsy. Nie należy psuć cudownego sportu bezsensownymi „jeśli”. W ten sposób można daleko zajść.

— Pan jest zbyt praktyczny, Łoziński — powiedziała Margarita.

— Ten stan najbardziej odpowiada temu, czym zamierzamy się zająć — spokojnie odparował mężczyzna.

— Słyszycie? — powiedział Beniu. — Kończy się deszcz.

Rzuciły się naprzód zbite w ciasny, wrzaskliwy kłębek. Chwył ten dział niezapowiedziany. Nigdy nie dochodziło do starcia. Tak było i tym razem. Surda podskoczyła w miejscu, zawyla w panice, rzuciła się do wody, z wody na przeciwległy brzeg i ogromnymi skokami precz z lasu, ze straszego lasu, w którym zdobył napada pierwsza.

Teraz surda ta nie ośmieli się pojawić w lesie przez okres kilku pełni, do czasu, aż nie trze się w jej zwierzęcej pamięci ślad tego, co wydarzyło się. Oddział dla odstraszania pokrzytał jeszcze za drapieżnikiem i monsy rozbiegły się do rodzin.

Właśnie w tej chwili Supermózg po raz pierwszy zobaczył obcych. Zobaczył ich oczyma samca z białą plamą na grzbiecie. Stworzenia wielkości surdy, o ciemnozielonej błyszczącej od deszczu skórze, poruszały się na tylnych kończynach, ściskając w przednich dziwnie pałki.

Samiec z białą plamą na grzbiecie uniósł się wysuwając z trawy puszysty pyszczyk ze zdziwionymi okrągłymi oczyma.

Błysnęła błyskawica i zapadł mrok...

(dokończenie w następnym numerze)

Przekład: MICHAŁ SIWIEC



Rys. Janusz Szymański-Glanc

1

Sport

Kontuzja Bogdy

Ponieważ kontuzjowana Bogda Madej, podpora naszej reprezentacji, wyjechała do Wiednia leczyć lekotkę w klinice doktora Jelinka. Kierownictwo zmuszone było wystawić do gry kogoś z ławki rezerwowych. W zasadzie należałoby dać szansę zdolnemu juniorowi, może nawet trampkarzowi, ale takich w naszej firmie nie ma, bo zostali powołani do odbycia służby wojskowej w zaprzyjaźnionej stołecznej drużynie. Na naszej ławce rezerwowych siedzą tylko starzy, obciążeni reumatyzmem, zwłknięciami, pozrywanymi ścięgnaми weterani, z którymi nie chcieli podpisać kontraktów nawet menażerowie z Galkówka i Ksawerowa. Wybór był więc praktycznie żaden, przeto Kierownictwo, zawsze stawiające na wariant ofensywny, sięgnęło do naszych akt osobowych, a że ja właśnie jestem zameldowana na Widzewie (Wschód), dostałam życiową szansę. Szansy tej nie zmarnuję!

Zajrzałam do poniedziałkowych gazet, żeby felieton nasyć wiadomościami aktualnymi, lecz na kolumnach sportowych zamiast relacji z boisk i stadionów natrafiałam na słowieszcze, tytuły: „Wisła... soada!”, „Odra coraz niżej”, „Pulica goni Warteł”, „Zarozni! Dawno tuż ekolodzy przestrzegali, że mogą być straszliwe kłopoty z wodą, no i stało się. Przeczytałam te komunikaty o stanie wód słownych rzek Polski i dowiedziałam się jeszcze, że Bzura goni resztkami słońca. Narzew, sięgnęła dna, Malanaw nie może wyjść z dolki, a Proсна znajduje się w dolnej strefie stanów niskich Brakowało tylko danych, co się dzieje na Bugu we Włodawie i na Sanie w Przemyslu.

Rzuciłam okiem na tabelę i ucieszyłam się, bo oto nareszcie opublikowano dane o dochodach różnych grup zawodowych. Bravo minister Nieckarz! W większości tabel na czele są górnicy, niżej hutnicy, jeszcze niżej stoczniowcy, włókiennicze, chemicy, metalowcy. Tabele zamykają „Budowlani” (Łódź), „Kolejarz” (Koszulki) i „Cukrownik” (Chybie). Ciekawostką jest fakt że w czółowce tabeli plasują się fachowcy robiący w firmie o nazwie „Legia”. Nie bardzo wiem o jaką legię tu chodzi, ale sadząc po nazwiskach pracowników i znając poprzednie ich miejsca zamieszkania, przewidyuję że mamy do czynienia z Legią Cudzoziemską.

Kolejny z redakcji podpowiedział mi, że prawdopodobnie rzeczony tabelę odnosi się jednak do sportu, bowiem w sporcie amatorskim trzeba z czegoś żyć. Podejrzywają oni, iż zawodnicy najpierw pracują osiem godzin, w wielkich zakładach pracy, a dopiero potem idą trenować i grać mecze. Stąd od jedynego źródła ich utrzymania biorą się takie nazwy drużyn jak: „Górniki”, „Hutniki”, „Stoczniowcy”. Może to prawda — ale z czego w takim razie żyją członkowie zespołu „Kabel” (Kraków)?

Na tych samych sportowych kolumnach prasowych znalazłam garść wiadomości historycznych, obalających kłamliwe mity oraz wadliwe przekazy kronikarzy. Ostatnie sprawdzone i wielokrotnie potwierdzone informacje głoszą, że: „Chrobry przegrał pojedynek z Lechem”. „Piast rozgromił Zawiszę”, „Urania i Concordia idą łeb w łeb”.

Niepokojące wieści dochodzą z Radomia, gdzie do „Broni” skrzykiwana jest usportowiona młodzież. W Zabrzu osiłki o silnych pięściach garna się do „Walki”, zaś w Skarżysku „Granat” sposobi się do szturmowania Tylko w Jaworznie zanosi się na zmianę nazwy klubu, bo co to za „Victoria”, która regularnie dostaje baty.

Na zakończenie kilka wiadomości ornitologicznych: „Pelikan obniża loty”, „Orzeł przylatuje na Okęcie”, „Sokół atakuje lidera”.

Niech będzie mi wolno debiut mój zakończyć słowami słynnego komentatora, reaktora Dariusza Szpakowskiego: „Nie wiem co się stało z piłką, ale wiem, że tak tak i państwo ugrzęzła ona w siatce”.

REZERWOWA II

2

Śmieć

W miarę postępu cywilizacji ludzie produkują coraz więcej śmieci. Najpierw człowiek wyrzucał ogryzioną kość. Później wyroby z tej kości, później różne błyskotki z brązu czy żelaza, gdy się oczywiście pomsuły. I archeolodzy mają dziś co robić. Grzebią w ziemi, aby znaleźć to, co starożytni ludzie wyrzucali. Ale w miarę postępu śmieć staje się coraz obfitsze. Dziś mamy już gigantyczne cmentarzyska rzeczy i człowiek wnał na pomysł, że to, co wyrzuca może przecież przetworzyć, że są to surowce wtórne. Jest to wielkie odkrycie, z którego nie wszyscy potrafia sobie zdawać sprawę.

Spółczenstwa bardziej uprzędkowane i zdyscyplinowane potrafiły z tej prawdy wyciągnąć już poważne korzyści. Raz użyty papier zbiera się jako makulaturę, z której robi się ponownie papier. Stworzono w tym celu całą gałąź przetwórstwa w przemyśle papierniczym, gdyż raz już użyty papier ma tę wadę, że jest zadrukowany, a więc pokryty farbą. Farbę tę trzeba wywabić, aby makulaturę można było ponownie użyć do produkcji papieru. I my oczywiście w wywabianiu farby z papieru stoimy w tyle za innymi, możemy więc spokojnie sprzedawać makulaturę innym państwom. Korzyść z tego minimalna, bo wszystkim znane są kłopoty z papierem a tysiące ton makulatury nadal się marnuje.

Jeśli dobrze rozzejrzeć się po naszym mieszkaniu, to okaże się, że żyjemy wyłącznie wśród surowców wtórnych. Niemal wszystko nadaje się do ponownego przetworzenia. Świadomość tego jednak jakoś do nas nie dociera i codziennie marnujemy ogromne skarby na co nie pozwala sobie żadne wyżej zorganizowane społeczeństwo.

Co powoduje, że jesteśmy takimi marnotrawcami?

Są tego dwa powody. Pierwszy — niezbędne są takie działy przemysłu, które bywały w stanie zużyć w maksymalnym stopniu surowce wtórne. Drugi — niezbędny jest system ich skupu. I tu mamy tego psa, co jest pogrzebany. Bowiem pro-

blem surowców wtórnych, to nie tylko odzyskiwanie tego, co można powtórnie przetworzyć, ale również tego, co można bez wielkiego trudu ponownie użyć. Na przykład butelki. Ile trzeba było wysiłku, aby iakos stworzyć system odzyskiwania butelek od klientów. Już to jakoś działa, choć jeszcze daleko od ideału.

Dowiedziałem się teraz z „Dziennika Łódzkiego”, że Wydział Przemysłu Terenowego, Drobnej Wytwórczości i Usług UML podpisał wiosną porozumienie z przedsiębiorstwami handlowymi i „Wtórpołem” na zbieranie kapsli i starych baterijek. W sklepach miały być wystawione pudełka, w które ludzie — zupełnie z dobrej woli i potrzeby odczucia wewnętrznej satysfakcji — mieli wrzucać zbierane w domu kapsle i stare baterijki. Niektórzy nawet przynosili. Ale nie wszędzie wystawiono takie pudełka. Cała impreza wzięła w łeb, ale pozostało piękne porozumienie. W wymyślaniu różnych umów i porozumień, to my jesteśmy najlepsi na świecie. Tylko korzyści z tego żadne.

Igor Sikirycyki siedząc kiedyś na zebraniu i wysłuchując różnych apeli szybko stworzył następującą fraszkę:

„Jeśli z krowy chcesz mieć mleko, byk potrzebny nie apele”.

I miał rację. Fraszka ta jak jał nasuje do problemu surowców wtórnych. Apelami w tej dziedzinie nie się nie osiągnie. Ludzie muszą mieć z tego korzyści.

Kiedyś pukali do moich drzwi harcerze i pytali, czy nie mam makulatury lub pustych butelek. Zawsze coś dostawali i makulaturę, i butelki. Teraz makulaturę wyrzucam na śmietnik. Mnie się nie oplaca po prostu chodzić z makulaturą do punktu skupu. Ten sam czas, który stracę na chodzenie z makulaturą mogę wykorzystać w inny sposób — odcząc na przykład — i korzystać z tego będę miał znacznie wyżej. Człowiek powinien wiedzieć, ile kosztuje jego czas i tak, jak ja, robią inni. Znam ludzi, u których „Wtórpoł” w piwnicy znalazłby same skarby. Ale do tych ludzi trzeba dobrać.

Coraz częściej spotykam podczas wyrzucania śmieci ludzi z workami, którzy grzebią w śmietnikach i coś tam wyjmują. To znaczy, że się im to oplaca. Mój znajomy miał wątpliwą przyjemność mieszkać w jednym bloku ze śmieciarzem. Człowiek ten spędzał dnie na grzebaniu w śmietnikach. Ale nie na własnym osiedlu. Tu działał inni. Któregoś dnia z jego piwnicy i mieszkania wywieziono ogromną ciężarówkę... tektury. Tyle tego nazbierał.

Wielekroć już pisałem o surowcach wtórnych w swoim długim życiu. Odbyłem wiele rozmów na ten temat i zawsze z uporem powtarzam, że by system odzyskiwania surowców wtórnych był sprawny, żeby przynosił oczekiwane rezultaty, musi opierać się na materialnym zainteresowaniu. Na zainteresowaniu w ogóle. Są ludzie, którzy chętnie odstąpią surowce wtórne, beda je zbierać w domu dla paru groszy. I są tacy, którzy chętnie je dadzą, aby pozbyć się tylko śmieci z domu. Ale do nich trzeba dotrzeć!

Opowiadano mi, że niegdyś po wsi jeździł „smot”. Miał na furce takties garzki i inne suweniry, którymi obdarowywał gospodynie oddające mu słoiki, butelki i inny smolec. Jakoś mu się to oplacało. Dziś czekamy, aby ludzie przynieśli surowce wtórne do zbieraczy i aby byli jeszcze z tego zadowoleni. Taką metodą niczego nie odzyskamy. Chyba że nam na tym nie zależy, bo nie potrafimy tego, co jest do odzyskania przerobić. Niech się więc marnuje, skoro tacy jesteśmy bogaci.

LUCJAN BOGUSZ

3

Nagle zastępstwo

Książ chuligan

Mój znajomy ekonomista i informatyk zwrócił mi uwagę, że zajmuję się ostatnio — nadmiernie jakby — rzeczami wysoce niepoważnymi, telewizją mianowicie.

Zgadzam się mniej więcej, choć niechętnie, bowiem bardzo nie lubię nie mieć racji i poruszam dziś temat niesłychanie poważny.

Otóż w latach mojej wczesnej młodości istniało takie humorystyczne powiedzonko „ksiądz-bikiniarz”. Humorystyczne, albowiem było to pojęcie wysoce abstrakcyjne, bez desygnatu. Czarna sutanna tak doskonale wykluczała ówczesne atrybuty bikiniarza (młodszym przypomnę: samodziałowa marynara, kuse, wąskie spodnie, kapelusz-naleśnik, jaskrawo kolorowe koszule, krawaty i skarpetki) jak, np. nieobecność wody w basenie wyklucza możliwość odbycia w nim zawodów pływackich.

A oto że zdumieniem dowiedziałem się, że istnieje coś w tym rodzaju: książ chuligan! Jakis młody wikary gdzieś na Mazurach wymyśla ludziom od chamów i nieuków, a nawet leje w mordę niewinnego człowieka na przystanku PKS (notabene klasycznym miejscu porachunków wiejskich chuliganów).

Wydarzenie jest jaskrawo szokujące, choć — niestety — wcale nie tak osobliwe. Nie tak dawno Jan Rem cytował niektóre smaczne cytaciki z kazań różnych księży, które wcale nie były żadnymi tam atakami politycznymi, zażnymi wypadkami propagandowymi — były zwykłym chuliganstwem.

Ja otóż jestem zdania, że książ chuligan jest człowiekiem i tak każdy, ma system nerwowy, i jak każdy może wyjść z siebie. Co innego mnie niepokoi: sądzę, że zawód kapłana może być wysoce stresujący. Piszę te słowa jak najbardziej poważnie! Weźmy choćby takie wystąpienie spowiedzi. Czego się ten biedny książ chuligan nie nasłucha! Najokropniejszych okropieństw. A jeszcze musi starać się zrozumieć penitenta, w jakis sposób się z nim zidentyfikować, przejąć się jego losem i jego paskudnymi postępami. I wreszcie rozgrzeszyć. Czyli wybaczyć... Jeśli jest człowiekiem porządnym i wrażliwym, nacierpieć się musi strasznie. A przecież wysłuchiwanie spowiedzi nie wyczerpuje listy stresujących sytuacji w życiu kapłana.

Toteż, jeśli mamy w ogólnej populacji dorosłych mężczyzn X procent chorych psychicznie, neurotyków, farmakomanów, alkoholików itd. itp. to skłonny jestem zrozumieć, że w ogólnej liczbie księży może być to nawet 2X procent.

Piszę to wszystko także dlatego, żeby nie być posądzonym

przez Czytelników o to, że chodzi mi o jakies zdystryktowanie kapłanów jakiegokolwiek wyznania. Nie jest to felieton ani antyreligijny, ani nawet antyklerykalny.

Chodzi mi o coś zgoła innego. Szczególna rola społeczna księdza, szczególny autorytet, jakim cieszy się w środowisku wierzących nakłada na niego szczególną odpowiedzialność — jeśli napisałem, że nie należałoby się dziwić, iż wśród księży może być więcej neurotyków, niż wśród ludzi innych zawodów, to nie zmienia to faktu, iż wśród księży chuliganów nie powinno być wcale...

Wreszcie nie tylko o księży chodzi. Jest przecież takich zawodów więcej: lekarze, naukowcy, pracownicy sądowictwa — żeby wymienić pierwsze z brzegu. A przecież głośna jest sprawa dyrektora szkoły oskarżonego o gwałty dokonywane na uczennicach, a przecież niedawno wydarzyło się w Poddębicach niesłychane curiosum kryminalno-medyczne — student piątego roku medycyny oskarżony jest o gwałt na... trzynastoletniej pacjentce miejscowego szpitala!

A więc lekarz, a więc nauczyciel. Przedstawiciele zawodów w znacznym stopniu porównywalnych z kapłaństwem: ten sam wysoki poziom stresów i obciążeń psychicznych i ten sam wysoki poziom społecznego autorytetu, szacunku, zaufania i odpowiedzialności...

Nie jestem Kassandra w spódnicach, nie jestem podatny na nastroje katastrofizmu społecznego. Wiadomo skądinąd, że konsumpcyjne społeczeństwa kapitalistyczne rodzą nieporównywalny z naszym stopień społecznego zwyrodnienia. Jednak, kiedy dowiaduję się z prasy, że pijana prostytutka zabiła nożem człowieka i że na Mazurach ksiądz pobił chłopaka, to ta druga wiadomość robi na mnie większe wrażenie. Właśnie dzięki swojej wyjątkowości, właśnie w zestawieniu społecznych oczekiwań od księdza, nauczyciela, lekarza.

To groźny symptom. To jest właśnie przysłowiowe puszczenie ryby od głowy. Dokąd to zmierza?

Książ chuligan! Tego jeszcze nie było, tego nikt nie wymyśli!

ANDRZEJ KAROL

4

Lewym okiem

Zdziwienie brzytwą

Jak się dowiadujemy z notki redakcyjnej „Przeglądu Tygodniowego”, „Jan Pietrzak, wykrywszy superatę w swojej

firmie, postanowił podzielić się nią z naszą (t.j. „Przeglądu”) redakcją”.

Czyli kabaret „Egida” ma za dużo tekstów (także tekstów Pietrzaka) i upłynnia nadwyżki w „Przeglądzie”. Jeden z tych nadwyżkowych tekstów zawiera takie zdanie: „Chłop jak koń, siwieje, za babami gania, a pani się brzytwą dziwi”. To bardzo ładne, choć oczywiście niegrammatyczne: dziwić się brzytwą (zamiast, jak powiedziałyby nudny purysta od języka: dziwić się brzytwie). Ja też dziwię się brzytwie, kiedy na przykład w tym samym numerze „Przeglądu” czytam o dyskusji sejmowej nad sytuacją w gastronomii. Sytuacja wiadomo jest zła, o czym wszyscy wiemy. A dlaczego jest zła? „Pracownicy gastronomii całe nieszczęście widzą w ustawie przeciwalkoholowej”.

Ustawa obniżyła marżę na alkohol, po to aby gastronomia nie widziała swego interesu głównie w serwowaniu wódki, żeby lepiej zarabiała na podawaniu dobrego jedzenia niż na odbijaniu flaszek, a jednocześnie żeby nie wszyscy konsumenci przeszli na bezmarżowe chłanie po bramach. No i masz teraz z tego „całe nieszczęście”. Ustawa poza tym ograniczała godzinę wyszyciu — z tego też nieszczęście. W Żywcu obroty gastronomii spadły do 10 proc. A w ogóle wszystko źle: z powodu niskiej marży na alkohol „z lokali wyższej kategorii korzystają osoby zainteresowane głównie upijaniem się. Wskutek tego zakład traci klasę, uciekają z niego wybredniejsi bywalcy”. Za mała marża, więc piją. Jednocześnie z powodu obniżenia marży spadła ilość zakładów gastronomicznych o 10 procent; za mała marża na wódkę — to nie ma gdzie zjeść obiadu. Można kęćka dostać.

Co proponują rzecznicy interesów gastronomii? Podnieść marżę — ale wtedy, jak wiemy, kelner w ogóle nie podejrze do stolika dla niepijących, bo mu się nie oplaci; no to znieść ograniczenia sprzedaży alkoholu, dopuścić ją także w godzinach nocnych. Innych sposobów uzdrowienia gastronomii nie widać. Jedyny wniosek, jaki padł w tym zakresie w dyskusji sejmowej — „aby kelnerzy terminowali najpierw w barach mlecznych, a później przechodzili do lokali wyższej kategorii. Może dzięki temu również zestaw potraw byłby bogatszy”.

Nie rozumiem, dlaczego miałby być bogatszy. Nie wiem, po co w barach mlecznych kelnerzy, dotychczas ich nie było i nie ma. Jeśli nastana — to oczywiście ceny w tych barach podskoczą w czwórnasób, a emeryci przejdą na żywienie się korzonkiem leśnym.

Cały ten pęd do jedwabnego życia z podawania ludziom wódki, wódki i jeszcze raz wódki, zaleca się w kraju, który bje rekordy światowe w pijaństwie. W kraju, gdzie — jak czytamy znów w tym samym numerze „Przeglądu” — lekarze z pielęgniarkami i zaproszonymi gośćmi piją na nocnym dyżurze w szpitalu (w Poddębicach), a potem pijany gość idzie na salę i gwałci chorą trzydziestoletnią dziewczynkę. W tych samych Poddębicach, w których „już w południe trudno dostać chleb, ale sklep monopolowy otwarty jest do 22, w soboty zaś do północy...”

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Gryń patrzył na niego, nie pojmując z jakiego powodu gniewa go ten chłystek. Dlaczego nie? — powtórzył w myślach A dlatego, że nigdy nikt nam w życiu nie pomógł. Nigdy!

— Co ty myślisz, że jesteś pepkiem świata? Takich strajków są setki, może tysiące i oni nigdy robotom nie dali pomocy. I tak jest już. Willman, że sami sobie musimy zacząć radzić.

— Stary jesteś a głupi! — Nie dawał za wygraną. — To całkiem co innego. Tu stanęliśmy przeciw komunistom. Jak dobrze pójdzie, poprze nas cały kraj. Ty wyobrażasz sobie, co będzie, jak pójdą za nami w Łodzi, w Warszawie, i gdzie tam jeszcze żyją ludzie? To będzie rozpięducha na całego! I wszystko się wreszcie zaważy. Cały ten burdel. Bo jak tu żyć? Wszystkich trzymają za gardło, ani forsy, ani demokracji, ani nic. I co ty masz z życia, Gryń? Zapieprasz, aż ci w krzyżu trzeszczy i ledwie ci starczy na zarcie. To ma być ta władza ludu? Ten raj?

Było w tym trochę racji. Nietawo się żyje, przecież dlatego tu w stoczni i tam w Gdańsku skoczyli sobie ludzie do gardel, że już mieli dosyć wszystkiego. To prawda. Ale Gryń patrzył na Willmana z rosnącym zdziwieniem. Zawsze na zebraniach związkowych gorliwie potakiwał, popierał, zgłaszał wnioski.

Albo kiedy dyrektor szedł przez hale, był pierwszym, który zdejmował czapkę. Willman był starszy od Grynia, koło sześćdziesiątki. Co to za facet? — pomyślał. — Gniada, nie człowiek.

— Raj, nie raj — powiedział głucho. — Ty tu przyjechałeś już na gotowe ale ja trochę pamiętam, co tu było w tym miejscu, gdzie teraz tak pyskujesz. Same gruzy i połamane dźwigi. To jednak coś znaczy, nie?

Popatrzał dokładnie, szukając jakiegoś wsparcia. Ludzie słuchali, nie chcieli im się wtrącać, ale byli ciekawi, co z tego wyniknie.

— Agitator się znalazł! — krzyknął Willman.

— Słyszcie!

Ludzie milczeli.

— Ty wierzysz, że ten zasrany burdel utrzyma się, Gryń? Ani myśl o tym! Te wszystkie gadki czerwonych psu na bucie się zdadza! Oni zawracają nam w głowach, a tak naprawdę, to chcą utrzymać władzę. Cały świat byłby chcieli zaharapć, poprzewracać świat w tyły! Im mało tego co mają! I to ma być życie? W Ameryce to się żyje, sam wiesz. Każdy ma samochód, domek, robotę i może odkładać dolary na czarną godzinę. I nikt nie goni go na żadne zebrania.

— Ale policja tam się też nie pierzy, stary. Jak trzeba, to puszczają pały w ruch, a jak chcą, to i do pierdła zamkna takich podskakawców jak ty.

— A ty byś i mnie chciał zapudłować, co Gryń? Nie podoba ci się że prawde mówię?

— Może i chciałbym, gdyby było za co — pomyślał nieoczekiwanie.

Jak ktoś je polski chleb, to niech przynajmniej na Polskę nie płuje. Willman — powiedział twardo — Ty byś chciał, żeby tu przyszedli Amerykanie, albo może Niemcy, co? I żeby krew się lala, jak za okupacji, i żeby była wojna? Z kim, stary capie? Z nami?

— Oni nas zostawia w spokoju. A jak sami wyróżni komunistów to i obojętne jest bez wojny. No co, nie mam racji? Iu ich test? Dla czterech wypadnie jeden, wystarczy nas, tylko dobrze złapać ich za gardło i tuż po nich. Czego się bać? Czapkami ich zakryjemy!

— A czepiał, a broń, a wojsko? I sama Polska, tak myślisz?

— Nie sama, Tamci pomogą. Nie zostawia, nie bój się!

— Tak jak w trzydziestym dziewiątym, co? Jak Anglia i Francja? A ty głupi Polaczku, zrób za nich brudną robotę, a potem niech cie szlag trafi! Jesteś dureń, Willman!

Krag wokół nich zaciętnie się i zgestniało. Słychać było oddechy, nawet milczenie ludzi stało wokół nich jakby zrylonie, jak twarda, ciężka ściana. Także gracie porzucili karty, zbliżyli się do nich. Patrzyli nieruchomo, niepewni kto ma rację, a czyja przegrana. Ci dawał tu powiedzieli coś, o czym niedługo myślał, może nieraz rozmawiał z innymi. Bo były to sprawy takie jak chleb, ziemia, ziarno i siew: jest to polski rząd, i jest to Polska, czy nie jest? Jest to miejsce nad Wisłą i Odra, gdzie człowiek ma coś do gadania, czy nie? I może żyć, czy też tylko chwilowo, jak w hotelu?

— Wyrzucić komunistów? — powtórzył Gryń.

— A co, komuniści to nie Polacy?

— Co ich tak bronisz Gryń? A już wiem — uśmiechnął się drwiako Willman — Przecież ty należysz do partii. Nosisz ich czerwony znaczek, te legitymacje. No, pokaż wszystkim, jakieś taki bohater. Na co czekasz? Boisz się, że damy ci w dupę? A może ci się należy?

Gryń milczał. Czuł jak gniew miesza się w nim z lekciem. Nie wiedział ilu takich jest tu jak Willman, a ilu stanie w jego obronie, nie był pewny niczego. Ale przecież nie będzie mi taki gnojek płu w talerz — myślał gorączkowo. Nie dam się, niech to diabli, nie nasram we własne portki!

— Jestem w partii. No to co? A mało jest nas tutaj? Razem jesteśmy z wszystkimi. A ty chcesz nas na katownie? Jak Niemcy.

— Zostaw go, Willman — zawołał ktoś z tyłu. — Czego się czepiasz człowieka?

— A bo to człowiek? — powiedział Willman. — Przecież widziałeś Broni tej czerwonej zaryzy! I nic mu nie przeszkadza, że naszybek pozabiali Ludzi zabili! To tacy jak on są winni! Bo bez nich tamci nie miałby odwagi!

— A ty kto jesteś? — Gryń zrobił krok do przodu. — To wy pchaliście głupich chłopaków



rys. Janusz Szymański-Gienc

do przodu, Polaków na Polaków! A sami staliście z tyłu! I jeszcze teraz śmiesz mówić... — Gadasz od rzeczy — przerwał tamten. — Ja nigdy stąd nie wychodziłem. I nikogo do niczego nie pchałem. Rozumiesz?

— Zawsze umiesz wyjść na swoje, Willman. I wczoraj też dupę lizalesz dyrektora, jak ci się to opłaciło. A teraz podskakujesz, bo myślisz, że już nadeszła twoja pora? I co będzie, jak wszystko to się odmień? I każdy pójdzie wreszcie do domu? Będziesz tu sam siedział i czekał na helikopter, żeby cię zabrał do raju?

— Odmieni się, czy nie odmieni, pożyjemy, zobaczymy. Ale jak już raz ludzie ruszyli po swoje, przedź czy później dojdą do celu. Nie teraz, to za pięć lat. I szlag was trafi, Gryń, zobaczysz!

Edek myślał szybko, jak komputer. Przebiegały mu przed oczyma migające obrazy: tak, prawda, ludzi zabili; palił się gmach partyjny; szły tłumy rozkrzyżowane: sklepy rozbiłali, kartki z nowymi cenami w oknach wystawowych; płacząca kobieta w szarej sukni; chłopaki niosą kamienie w rekach; miasto pełne biegających ludzi; źle, źle jest, kto zawinił niechaj odpowiada, ale przecież to nasz kraj, Boże jak im to powiedzieć?

— Tobie to łatwo gadać, człowieku, warczysz jak pies, bo jesteś sam! Ale powiedz, jak się nazywasz? No powiedz?

— Czego chcesz? — tamten zamrugł oczyma.

— Nazywasz się Willman! A ja Gryń, a tamten Korycki! No nie słyszysz? Kim jesteś, skąd się tu wziąłeś?

— Jestem Polakiem — zrozumieli i wściekli się. — Nic mi nie zarzucisz! Od dziada pradziada!

— Możesz i z naszych — odrzekł powoli. — Ale myślisz tak, jakbyś miał dawniej folkliste i nosił mundur Wehrmachtu. Bo żaden Polak nie będzie chciał nieszczęścia ścigać na swój kraj. Zaden, słyszysz? — Gryń wiedział, że mówi rzeczy podle, może krzywdził człowieka, ale był taki gniew i chwila taka, że nie sie nie liczył.

— Ty gnojku! — wył rozwścieczony Willman. Chciał się rzucić na Grynia. Ale ktoś go powstrzymał za rękę, ktoś wszedł między nich.

— Czego podskakujecie — powiedział twardo Korycki. Gryń wymienił jego nazwisko, jakby wywołał i teraz zdecydował się wic wtrącić do sprawy. — Mało mamy biedy? Jak przyjdzie czas i okazja, powiemy wszystko, co myślimy i co kto jest nam winien. Ale teraz spokój! Jeszcze tego brakuje, żebyśmy sami skakali do gardel. Ma być spokój!

— Dobra — zgodził się Gryń. — Skończmy z tym. Tylko niech on nie świeci mi przed oczyma moja partyjnością. To on chce, a nie ja, żeby jeden był przeciwko drugiemu! I podjudza ludzi!

— Ja podjudzam? Ja? — mamrotał Willman, z wściekłością nie wymawiając wyraźnie słów. — To ty zacząłeś!

— Bóg zaczął — rzekł Korycki — a ludzie muszą skończyć.

Rozeszli się w przeciwnie strony. Gryń i Willman. Edkowi było głupio: właściwie co mu tam Willman! Człowiek, jak to człowiek. Niepotrzebnie może go kropał, jak kulakiem w żołądek, tym nazwiskiem. Różni są ludzie, różne mają miana, ważne co w środku, w sercu, a nie na języku. Ale to był zwykły gnoj, aż śmieszdział!

Wyrzuty sumienia przygluszyły chwilowo pamięć owych oskarżeń, które miotał Willman. Właściwie, jak to jest? — myślał Gryń. — Jestem w partii. I zachowuję się tak, akbym nie był. Rząd, można powiedzieć, robotniczo-chłopski, jak pisza czasami w gazetach, przy odświętnej okazji — a rządzi tak jakoś, jakby

tam robotników nie było. I nie ma — zaśmiał się w duchu, wyobrażając sobie na przykład siebie, tak jak stoi, za biurkiem dyrektora departamentu, czy choćby urzędnika niższej rangi. Nie te czasy. Nie matura, lecz chęć szczenia — przypomniał sobie slogan z plakatu wojennego w Lubostowie, namawiającego, aby chłopcy tacy jak on szli do szkół oficerskich. Teraz wszędzie magister, inżynier, dyrektor. No i może musi tak być, inne czasy. Ale o robotnikach powinni stale pamiętać. Inaczej znów będą rozróby, zawierucha przeleci przez kraj, jeśli szybko zapomna.

Pokaż tę legitymację — przypomniał znów Willmana. O co mu szło? Żeby mnie w kark, w kark i zgiąć jak gałazkę: on nakazuje, a ja słucham, jak pana i popuszczam w portki ze strachu? Niedoczekanie twoje — złoślił się. Co by się takiego stało, jakbym ja pokazał, pomachał mu przed nosem? Ale jak to pogodzić, tu czerwona legitymacja, a tu strajk przeciw własnemu rządowi. Co tu do cholery nie gra? — myślał rozgoryczony. — Albo ja nie nie rozumiem, albo oni u góry, albo też świat w ogóle przewraca się do góry nogami.

Partyny — żuł to słowo i miętosił. — A co ja mam w partii do gadania? Kto mnie o co pyta, kto w ogóle mnie kiedy spytał, jak żyję? Czy jest mi źle na duszy, ciężko na sercu, czy lekko? A może mnie się to nie podoba, że nawet Wójcik, swój chłop, bardziej słucha KW, niż nas, patrzy w górę a nie pod nogi? Ale komu to powiedzieć, i jak? Uderzył pięścią w dłoń, jakby wyładowywał w ten sposób swój gniew i bezradność.

Wielu ludzi w tych godzinach roztrząsało w myślach swoje sprawy, ważyło, co więcej znaczy, los jednego czy wszystkich. Nie każdy wiedział dokładnie, jak to nazwać, co czuje. Byli jak na pokładzie rozhuśtanej szalupy, wokół której fala przelewa się, wznosi i opada, raz wyżej, i wtedy serce podchodzi do gardła, raz jakby nieco mniejsza, i wówczas ożywa nadzieja. To, że tak łatwo poszli wówczas na strajk, było proste. Trudno przecież stać w miejscu, kiedy tam stocznicy w Gdańsku! Co by to znaczyło? Że są szmaty, nie ludzie! I było zresztą o co, bo jakieś tak, bez pytania, trach i wyżej ceny, a ty żyj sobie i radź jak potrafisz? Albo te kombinacje, żeby obciąż zarobki. Prawda, nie zawsze było tak trzeba; normalny czas — normalna praca a dopiero czego nie zdążył to po godzinach. Albo jak terminy wiesz nad stocznią. To nie żarty, zagraniczny kupiec! Wic każdy kombinuje. Robili wolniej w dzień, kończyli po godzinach. I przecież wszyscy o tym wiedza: ci na górze, w dyrekcji, a chyba jeszcze wyżej. Może nawet licza to, godzina do godziny, złoty do złotego i wychodzi im, że nie jest nam znów tak źle, ludzie jakoś żyją. Ale to nie jest ani sprawiedliwe, ani też tak, jak trzeba. Jeden drugiemu oczy mydli, taka to robota!

— Ale z drugiej strony, który to już dzień stoi stocznia? A każdy dzień, jasne to, miliony. Może da się odrobić, gdy się ludzie zapra i popracują, jak dla siebie. Inaczej może być kiepsko. Powiedza, że tyle stracił przez nas, wic musimy pocierpieć, sami chcieliśmy, to sami cierpiemy sobie, nie ich interes. No nie, to się nie uda! Za strajk jak za pracę — przecież to uzgodnione i wpisane gdzie trzeba, obiecał Baduga i musi dotrzymać! Ale kraj? Tam, gdzie nic się nie działo, i ludzie robili swoje? Kraj może nam powiedzieć, że za nas i że na nas oni tyrali, a my sobie baki zbijaliśmy. Walczyliśmy też za nich, niech nie pokrzykują!

Trudno było rozwikłać pytania, nie słuchać myśli obolalych i pełnych niepokoju. Co będzie potem? Wyrzucą na bruk? Będą udawali, że nie się nie stało? A może powymijają po jednemu, jak raki z kosa? Gryń widział kiedyś w te-

lewizji taki program: biała dygocaca mysz została wpuszczona do labiryntu, z którego było tylko jedno ukryte wyjście. Biegła jak oszalała, nosem uderzała w ślepe ścianki, szukała w przerażeniu drogi. W prawo? Biegła szybko, znów nic. W lewo? I po kilku zakrętach, koniec. I tu i tam, znowu przed siebie. Ruchliwy nos wdychał rozpaczliwie powietrze, tupały drobne stopki ogon włożył się za nią tak jakos bezradnie. Meczylili zwierze, dla nauki, ale ono o tym nie wiedziało; jeśli umiało myśleć, musiało krzyczeć w nieogłosy o ratunek. Ono tu, mała mysz, między skomplikowanymi, pokretnymi korytarzami, a nad nią ktoś, kto zbudował to wszystko, a teraz patrzy przez chłodne okulary, co ona zrobi, znajdzie wyjście, czy zdechnie z przerażenia? Gryń poczuł się tak jak właśnie ten ogłupiały z leku okruszek życia, ta mysz, której nikt nie wskazał drogi.

Wszedł do pokoju, w którym Wójcik siedział zamysłony, czy może spał z otwartymi oczyma. Trzymał w palcach papierosa, który tlił się nieużytecznie; słupek białoszarego popiołu był długi na centymetr i dopiero teraz upadł na biurko pomiędzy papiery.

— To ty, Gryń? Jak tam idą sprawy?

— A jak mają iść? — wzruszył ramionami —

To ty, sekretarzu, powiedz, jak długo jeszcze? Wójcik patrzył na Grynia bez słowa. Był zmęczony, nie chciał mu się rozmawiać. Ale po chwili odpowiedział.

— Wszyscy czekamy, człowieku. Nic, tylko czekamy, jak na zbawienie.

— Ludzie skaczą sobie do gardel — Edek usiadł. — Jak to dłużej potrwa, to brat brata będzie bił po mordzie za byle słowo. Co dalej?

— Musi być koniec, wszyscy tego chcą. Tylko sposób trzeba znaleźć. Taki, żeby bez wstydu, i o to im chodzi, Gryń.

— Koniec? — zapytał — Koniec ze wszystkim?

— Ze wszystkim? — zdziwił się Wójcik.

— Ano tak. Bo to, co było do tej pory, wszystko sekretarzu, szlag trafił. Trzeba od nowa. Jak ludzie zapytają, musisz im powiedzieć, i to prawdę!

— Jaką prawdę, Gryń?

— A taką, na przykład, dlaczego to się wszystko stało?

— Sam nie wiesz? Co?

— Nie wiem. I mówię ci, Wójcik, że jak to się już skończy kto wie, co zrobię. Może z tobą zostanie, a może nie. Bo to nie tak. Jak to być może, że zwalili nam na łeb cały ten gips, ci tam z Warszawy, buchalterzy! Dla nich i ty i ja, to tylko cyferka na papierze. Jeden dodać jeden równa się dwa. A może wcale nie dwa? Może półtora albo trzy? Ja chcę żyć jak człowiek, rozumiesz? A nie tak żeby ktoś przestawiał mnie jak pionka, raz tu a raz tam. Najpierw w tył, potem do przodu, a potem jeszcze w bok.

Wójcik myślał: Co się z tym chłopem dzieje? I mnie niekiedy, mnie też nie wszystko udaje się unieść na plecach, i ja też mam nieraz dosyć wszystkiego, do jasnej cholery! A jeszcze teraz gadaj tu z tym, wyjaśnij. Co mam mu wyjaśnić? Że sam nie rozumiem?

— Myślałem, że jesteś mocniejszy — powiedział. — A ty, Gryń, jak galareta...

— Mów o sobie! — odwrąknął.

— Mnie też z niewyspania ręce się trzęsa, jak starej babie — zgodził się Wójcik. — Ale trzeba myśleć. Nie bać się, szukać wyjścia.

— A jest jakieś? Popatrzysz jutro ludziom w oczy?

— Ty nie potrafisz? Nie będziesz mógł?

— Mnie zostaw, ja nie im nie zrobiłem.

— A ja?

Milczeli dość długo. Edek nie chciał tego, aby on podejrzał, że chce tu pyskować przeciwko niemu, czy w ogóle... No, ale przecież, jak dzień przychodzi po nocy, nadejdzie ten nowy czas, i co wtedy?

— Każdy z nas robił coś dla tego kraju. Sza budowa, no wiem. Przecież widzę — powiedział. — Ale czy to plan był zły, czy małowstrowie nie tacy... I teraz kawał ściany zwalił się, tylnki podpadły, jeszcze dom nie gotowy, a już trzeba remontu!

— A w naszym życiu jest inaczej? — Wójcik popatrzał uważnie. — A ty wszystko zrobiłeś coś sobie planowa? Co chciałeś, to już masz, czy ciągle musisz szukać, kombinować? Wszystko ci wychodziło?

— To moja sprawa. A to, co ci tam, z góry robia, każdemu z nas daje po kościach. Biedy i wypaczenia, zobaczysz, znów tak będą mówić. A tu trzeba jasno, ten a ten — to i to! I dobrze się przyrzec i parę razy przymierzyć, żeby pasowało. Nie widzisz jaki burdel? Nawet tu w naszej stoczni. Sam wiesz.

— No to weź, rządź tą stocznią!

— Ja? Dlaczego ja mam to robić?

— A kto?

Wstał Wójcik z biurka, zaczął chodzić po pokoju, odsunął krzesło pod ścianę, na swoje miejsce kopnął ze złości płachtę gazety leżącą pośrodku, żeby nie płała się tu pod nogami.

C.L.N.

JUŻ ZA DWA TYGODNIE „WIELKI LAS”